

Laureaci Złotego Grosza • Aborcja po polsku • Kuchnia: Bikont, Makłowicz

PRZE KRÓJ

NUMER 10/2907

11 MARCA 2001 r.

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)



CEZARY BARYKA

idzie na wódkę

ISSN 0033-2488



Indeks 371424 • Y-9013-C

BATYCKI

LEATHER COLLECTION

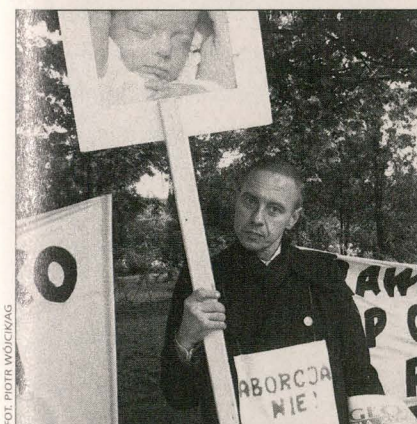


POSZUKUJEMY PARTNERÓW DO FRANCHISINGU TEL./FAX +48 55 247 23 50, e-mail: batycki@post.pl

■ SKLEP FIRMOWY 'BATYCKI' UL. ZGODA 9 WARSZAWA ■ 'GALERIE CENTRUM' ■ CENTRA HANDLOWE: GDYNIA - 'KLIF' ■ OLSZTYN - 'REAL' ■ ŁÓDŹ - 'PIOTRKOWSKA 250' ■ POZNAŃ - 'AUCHAN' ■ RZESZÓW - 'EUROPA II PLAZA' ■ RZESZÓW - 'LECLERC' ■ WARSZAWA - 'PROMENADA' ■ SKLEPY: BIAŁYSTOK 'CONTESSA' UL. LIPOWA 18 ■ CIECHANÓW 'ANNABUT' UL. ZIELONA ŚCIEŻKA 5 ■ GLIWICE 'DOMINO' UL. DWORCOWA 38 ■ JELENIA GÓRA 'SOBOL' UL. 1 MAJA 27 ■ OLSZTYN 'APUS' STAŃKOWIEJSKA 14 ■ RZESZÓW 'GB-PRESTIGE' UL. JANA III SOBIESKIEGO 4 ■ WŁOCŁAWEK 'GRAZYNA' UL. WITOSA 2 ■



18 STRZELAJĄ DO MNIE Z GRUBYCH ARMAT. – To świńska operacja. Człowiek się poczuł jak w stanie wojennym. Niech ci spoceni sobie biegną, ja pójdę truchtem, a i tak się spotkamy. Taka postawa pozwala zachować przytomność umysłu i dystans – mówi LECH FALANDYSZ w rozmowie z KAZIMIERZEM TARGOSZEM.



24 WIOSNA NA SKROBANKI. Nasza dziennikarka zadzwoniła pod numery telefonów podane w ogłoszeniach prasowych i w jeden dzień umówiła się na zabieg usunięcia ciąży z pięcioma ginekologami – BARBARA PAJCHERT.

52

MÓJ KAŻMIRZ.

Tylko Kazimierz nadawał się na krakowski Montmartre – miasto sztuki. Biedny i brzydki, opuszczony przez prawowitych mieszkańców, przepity i skurwiony, mógł przygarnąć na swoich zaplutyłach i śmierdzących wodą ulicach artystów, bo jedynie oni potrafili być z niego dumni – ZBYLUT GRZYWCZAK.



NUMER 10
11.03.2001

OKŁADKA: FOT. JACEK SZYMCZAK/FORUM

Od redakcji CZECHOT w „Przekroju”	4
Przekrój tygodnia	6
Laureaci „Złotego Grosza”	11
Antoni Pawlak Czy warto czytać „Przedwiośnie”	14
Barbara Pajchert Dlaczego powinniśmy pamiętać o marcu 1968	28
Juliusz Burgin Wspomnienie przymusowego emigranta	30
Wojciech Czuchnowski Dziennikarze opuścili dom Wielkiego Brata	32
Mieszanka firmowa	34
Aleksandra Zdrojewska Portret TOMASZA KRZYSICY	36
Agnieszka Wrzesień Jak to z Dniem Kobiet bywało	38
Genesis według Mieźiana	41
Galeria Wojowniczy irańskie	42
Bikont grzebie w starych „Przekrojach”	48
HOFF o modzie	50
Klub smakosza – PIÓRO, BIKONT I MAKŁOWICZ	59
Dierzysław Prosnak Zarobić na szalonych krowach	62
Internet Wirtualne konta	64
Sport Szalikowcy Cracovii demolują miasto	65
Kwestionariusz Prusa Odpowiada EWA BEM	66
Instrukcja obsługi telewizora	67
Książki DAREK FOKS o historii XX w. w obrazkach	68
Plastyka Rodzina MARII DESKUR	70
Teatr MONIKI ŻÓŁKOŚ wrażenia z „Miłości na Madagaskarze”	72
Film Z FILIPEM BAJONEM rozmawia TOMASZ PRZYBYŁKIEWICZ	74
Muzyka AKURAT teraz LAZARUS pyta o „Pomarańczę”	76
Szatnia – PODSIADŁO	78
Krzyżówki	80
Co Pan na to, Panie LEM	82
Rozmaitości	84

**PRZE
KRÓJ**

Założył w Krakowie Marian Eile

WYDAWNICTWO „PRZEKRÓJ” Sp. z o.o.

ADRES: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3
lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533,

e-mail: prze_red@przekroj.pl;

TELEFONY – łączy centrala: (012) 422-18-33,
422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37

fax (012) 421-49-29, 422-70-61

PREZES ZARZĄDU I DYREKTOR: Leopold Stefański

REDAKTOR NACZELNY: Maciej Piotr Prus

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Piotr Bikont

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Bożena Kalinowska

SEKRETARZ REDAKCJI: Marcin Baran

SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko,

Józef Lubiński, Andrzej Ruchałowski

DZIAŁY:

Kultura: Benjamin Lazar, Tomasz Przybylkiewicz,
Dobrosław Rodziewicz, Jacek Ziemek (p.o. kierownika)

Ludzie i obyczaje: Izabella Bodnar,
Wojciech Czuchnowski (kierownik), Barbara Pajchert,
Justyna Tawicka

Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska,
Janusz Marjan (kierownik), Leszek Peters

Formy: Marcin Fedisz (kierownik), Stefan Rokita,
Agnieszka Wrzesień, Bogna Wernichowska

Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Leszek Mazan,
Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz

Pracownia graficzno-komputerowa:

Piotr Gidlewski (grafika), Maria Klich,
Joanna Sroka (kierownik)

Dział fotograficzny: Joanna Dyczek, Marcin
Kędryna (fotoedytor), Bogdan Krężel, Jan Zych

Korekta: Anna Rudnicka, Małgorzata Strakowska-
Szczurek, Barbara Wojtanowicz (kierownik)

Produkcja: Michał Kędryna, Andrzej Laurisz

WYDAWNICTWO: gł. księgową – Halina Zięba,
kolportaż – Barbara Bagińska (kierownik)

DZIAŁ PROMOCJI: Anna Korwin (kierownik),
Wacław Kaczmarczyk („Złoty Grosz”)

DZIAŁ REKLAMY:

Biuro w Warszawie – ul. Wolska 45 A,
tel./fax (022) 631-46-68, 631-35-62,
Halina Sułkowska

Biuro w Krakowie – ul. Reformacka 3,
tel. (012) 422-70-61, Marzena Kiedacz

NASZE KONTO: Bank Pekao SA – I O/Kraków
nr 12401431-7010439-2700-401112-001

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. ul. Okrzei 5,
64-920 Piła, tel. (0-67) 210-84-00

PRENUMERATA – krajowa: terenowe oddziały
Ruch SA, wszystkie urzędy pocztowe oraz redakcja;
zagraniczna: Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji

Prasy, 00-958 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33
Konto: Pekao SA IV O/Warszawa, nr 12401053-

40060347-2700-457872-001,

tel. +48(22) 5328-731,

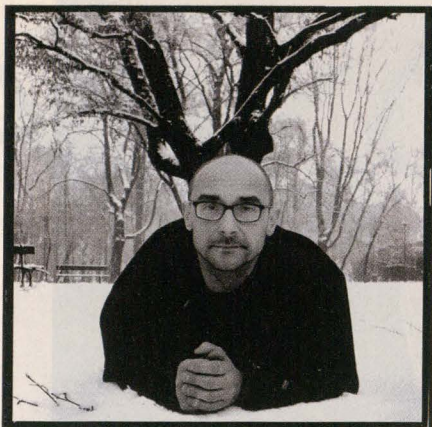
fax +48(22)5328-732 oraz redakcja

(wpłata na podane wyżej konto bankowe)

Artykułów nie zamówionych nie zwracamy.

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów
w nadesłanych artykułach i listach.

Nakład: 80 000 egz.



FOT. BOGDAN KRĘZEL

Od redakcji

TO CO SIĘ DA, PODZIEL NA DWA

Dzień Kobiet. To jakiś chory pomysł. Próbuje sobie przypomnieć – i zawsze był Dzień Kobiet. Właściwie całe życie kobiet. Tak trochę jak Dzień Człowieka. Nigdy nie rozumiałem święta, które dzieli. Nie rozumiałem granic, progów podatkowych, ale najbardziej nie rozumiałem Święta Kobiet. Z zażenowaniem wrę-

czałem tulipana nauczycielce albo koleżance z klasy. Ten kwiatek był symbolem odrębności. To co wczoraj jeszcze było dla mnie jednością, tulipan dzielił na dwa obce światy: świat mężczyzn i świat kobiet. Trochę jak Dzień Brunetów. Blondyni poczuliby nagle swoją odrębność. Może zaczęli myśleć, że są gorsi.

Moja znajoma jest feministką. Tak o sobie mówi: „Jestem feministką”. Nic z tego nie rozumiem i nalewam jej wino nie jak feministce, jak człowiekowi. Rozlewam po równo. Ona się śmieje i mówi, że tak właśnie powinno być, żebym rozlewał jak człowiekowi i dlatego ona jest feministką. Na końcu zawsze się z nią zgadzam, bo jeśli ona musi być feministką, żebym rozlewał po równo, to jej kłopot, a nie mój.

Ostatnio zakurzone rekwizyty epoki komunizmu znowu stają się modne. Modny jest satura-
tor, odznaka z Leninem i plakat z IV Zjazdu Partii. Nie chciałbym, aby w tym kontekście po-
wróciło do łask hasło: 8 Marca Międzynarodowym Dniem Kobiet. Ośmieszona, bezduszne
hasło, w którym nie ma czułości, szacunku ani miłości. Jest smutek wymuszonych uśmie-
chów, ściskania dłoni, całowania w policzki i smutek zmarzniętych tulipanów. Mój Dzień Ko-
biet jest zawsze, dopóki istnieje miłość i świat, czyli dopóki oddycham.

Miałem zapowiedzieć numer, bo jest w nim dużo dobrych artykułów. Wszystkie powinny być
interesujące. Dla wszystkich. No, może niektóre bardziej dla kobiet.

MACIEJ PIOTR PRUS



Materiał na ładne lata **Ż A R Y**

Przedsiębiorstwo Kronopol sp. z o.o. powstało w 1994 roku po przekształceniu państwowych Zakładów Płyt Wiórowych w Żarach w spółkę, w której obecnie 100% udziałów należy do Szwajcarskiej Grupy Krono Holding AG.

Od początku powstania w firmie KRONOPOL prowadzony jest nieprzerwany proces inwestycyjny, dzięki któremu Fabryka w Żarach zaliczana jest do najnowocześniejszych w Europie. Kronopol jest dzisiaj największym na świecie w branży płyt wiórowych zakładem, skupiającym w jednym miejscu produkcję trzech rodzajów płyt drewnopochodnych, tj. płyt wiórowych, płyt MDF i OSB. Wdrażanie nowych technologii zaowocowało produkcją płyty OSB, bardzo popularnej w Ameryce Północnej i Europie Zachodniej, stosowanej do budowy domów w konstrukcji szkieletu drewnianego. Atrakcyjność płyty Kronoply OSB produkowanej w KRONOPOLU potęguje technologia jej wytwarzania – Polska była pierwszym krajem na świecie, w którym uruchomiono produkcję tych płyt na prasie ciągłego prasowania, zapewniając większą elastyczność wymiarów i mniejszą tolerancję grubości nominalnej.

Kronopol swoje wyroby dostosowuje do wymagań najlepszych polskich i europejskich producentów mebli oraz potrzeb nowoczesnego przemysłu budowlanego. W 1999 roku wprowadzony został System Zarządzania Jakością PN EN ISO 9002. Zainstalowane linie produkcyjne to nowoczesne, w pełni zautomatyzowane urządzenia do produkcji wyrobów drewnopochodnych, zaprojektowane z zastosowaniem najnowocześniejszych rozwiązań technologicznych, zarówno w zakresie produkcji, jak i ochrony środowiska naturalnego.

Oferta Kronopolu obejmuje szeroki wachlarz wyrobów drewnopochodnych:

- Płyty wiórowe surowe ● Płyty Kronoply OSB ● Płyty MDF surowe ● Płyty melaminowane /na bazie płyty wiórowej i MDF/ ● Panele boazerijne ● Panele podłogowe ● Listwy wykończeniowe ● Błaty robocze ● Parapety ● Obrzeża meblowe ● Klej formaldehydowo mocznikowy

Dziś załoga Kronopolu, licząca ponad 1000 pracowników, jest częścią międzynarodowego, wielojęzycznego zespołu, działającego w ramach nowoczesnego systemu organizacyjnego Szwajcarskiej Grupy Krono. Od początku Firmą Kronopol kieruje prezes Johann J. Bitzi. Do trzysobowego Zarządu Spółki wchodzi ponadto Wacław Maciuszonek – Wiceprezes Zarządu, Dyrektor Naczelny, oraz Wiesława Kamińska – Członek Zarządu.

Produkty Kronopolu są nagrodzone wieloma medalami, między innymi:

- w 1999 r. Złotym Medalem VI Targów Budownictwa INTERBUD '99 w Łodzi
- w 1999 r. Złotym Medalem XIV Międzynarodowych Targów Budownictwa TARBUD '99 w Katowicach
- w 2000 r. Złotym Medalem Międzynarodowych Targów Budownictwa BUDMA 2000 w Poznaniu
- w 2000 r. Złotym Medalem Europejskim dla płyty drewnopochodnej Kronoply OSB

Wyróżnienia firmy Kronopol:

- Najlepsza inwestycja zagraniczna w Polsce – 1999. Nominacja do Nagrody Gospodarczej Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.
- Przedsiębiorstwo FAIR PLAY. Tytuł uzyskany w 2000 roku.
- Certyfikat FSC. Certyfikat potwierdzający stosowanie do produkcji drewna pochodzącego z obszarów leśnych zarządzanych według standardów Forest Stewardship Council A.C. poświadczonych przez niezależną instytucję.
- Przynależność do elitarnego Klubu Gazet Biznesu – grona najbardziej dynamicznie rozwijających się firm.



BURZA POD WAVELEM

Portier z restauracji Wierzynek powiedział potem, że widział w życiu wiele rzeczy, ale coś takiego po raz pierwszy. Potężna grupa nastolatków szła przez krakowski Rynek, niektórzy mieli na twarzach kominiarki, w rękach kije bejsbolowe, drewniane pałki i kawałki desek. Przed Urzędem Wojewódzkim, gdzie rozpoczęły się rozruchy, znaleziono

aluminiowy drąg, noże, metalowe nakrętki i siekierę, rzuconą w stronę interweniujących policjantów. W czasie akcji sześciu policjantów odniosło ciężkie obrażenia i to miało uzasadnić rozkaz użycia pocisków gumowych. Porozbijane przez szalikowców szyby sklepowe były rezultatem manifestacji kibiców i pseudokibiców „Cracovii”,

którzy przyszli pod krakowski Urząd Wojewódzki. Kiedy lecą kamienie i kosze na śmieci, a do głosu dochodzą emocje, mówi się o pseudokibicach i bandytyzmie, wobec którego bezradne są służby porządkowe. Każdy skutek ma jednak przyczynę. Przyczyna jest taka, że jest potrzeba zmodernizowania stadionu „Cracovii”,

co uniemożliwia spór majątkowy z zakonem norbertanek i brak zdecydowania władz miejskich i wojewódzkich. Kiedy przeciągają się negocjacje, do głosu dochodzi żywioł. Można mówić o najniższych instynktach tłumu, ale warto również pamiętać, że „kto sieje wiatr, zbiera burzę”.

CRACOVII nie da się lubić – na s. 65

PCIM ZA KRZAKIEM

W podkrakowskich miejscowościach Pcim i Myślenice zebrano ok. 3 mln złotych dla wspierania prezydenckich aspiracji Mariana Krzaklewskiego. Jest to niemal połowa kwoty wykazanej przez komitet wyborczy jako wpłaty od osób fizycznych. Bywało, że przekazy pieniężne wspomagały konto komitetu już po przegranych wyborach. Nie ma również pewności, czy niektórzy darczyńcy nie istnieli wyłącznie na papierze.

LOKALNY WYMIAR

Ks. prof. Michał Czajkowski, który powiedział w TVN, że cieszyłby się, gdyby prymas Polski wziął udział w uroczystościach 60-lecia wymordowania żydowskich mieszkańców Jedwabnego, nie będzie miał powodu do radości. Dla prymasa to, co się zdarzyło w Jedwabnem, było lokalną tragedią, a nie dramatem narodowym.

BOSO, ALE W OSTROGACH

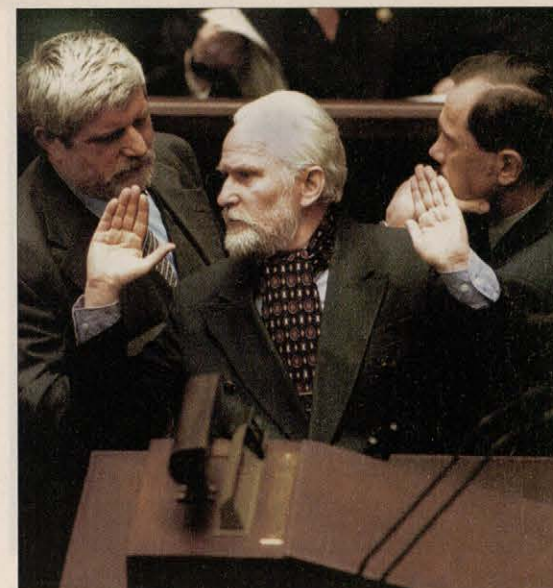
Stwierdzenie szefa Departamentu Obrony Narodowej NIK: „Żołnierz polski niestety śmierdzi” wywołało ogromne poruszenie w przeddzień wstąpienia Polski do NATO. Teraz się poprawiło – pociesza szef NIK, przypominając jednak, że nie wszędzie przestrzega się regulaminu, według którego żołnierz ma prawo do trzech par butów i jedzenia z talerza.

WOLNOŚĆ W INTERNECIE

Młode Centrum – młodzieżowa przybudówka Unii Wolności, chcąc nadrobić zaległości cywilizacyjne i odzyskać tracony przez partię elektorat, proponuje obniżenie stawki VAT za dostęp do Internetu. Wcześniej musiały zebrać 100 tys. podpisów pod obywatelskim projektem ustawy.

„ŻYCIE” PO ŻYCIU

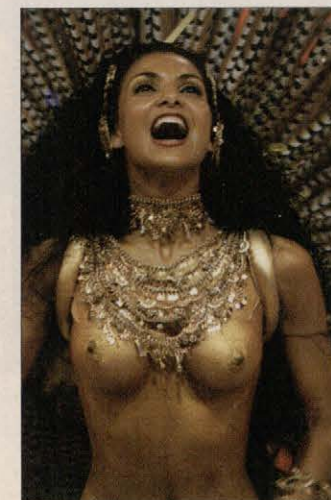
„Życie” przegrało po raz drugi proces z Aleksandrem Kwaśniewskim. Tym razem przed Sądem Apelacyjnym. Red. Tomasz Wołek wyroku nie uznaje i nie zamierza przeproszać za artykuł „Wakacje z agentem”. Zapowiada kasację w Sądzie Najwyższym. Potem zostanie jeszcze Sąd Ostateczny.



Po dwóch tygodniach policja usunęła z Ministerstwa Skarbu posła Gabriela Janowskiego, który w gabinecie ministra walczył o Polski Cukier, a następnego dnia nie dał się sprowadzić z mównicy sejmowej. Na razie stan jego zdrowia oceniają posłowie zamiast lekarzy.



Niemówność dostania się do gabinetu stała się przyczyną dymisji ministra. Tak przynajmniej uzasadnił swoją rezygnację minister skarbu Andrzej Chronowski (na fot. z prawej), wskazując na niekonwencjonalne zachowanie posła Gabriela Janowskiego. Premier Jerzy Buzek z właściwym sobie optymizmem podsumował pracę byłego ministra: „są duże osiągnięcia, ale narosło wiele problemów”.

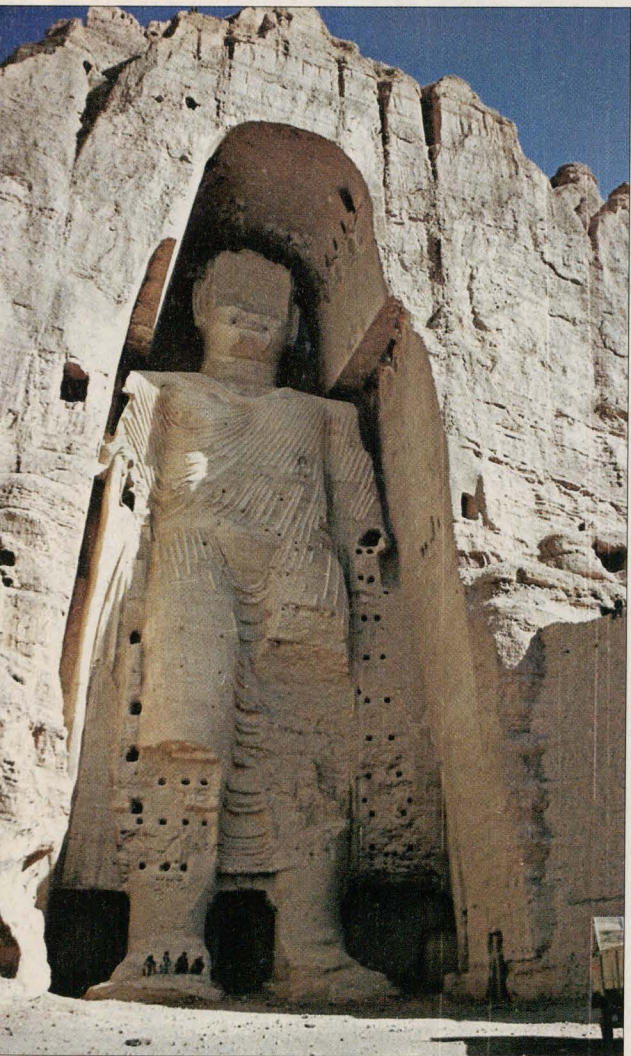


Tegoroczny karnawał w Rio przyciągnął ok. 300 tys. turystów zagranicznych. Wydali miliony dolarów. Teraz przyszedł czas na pokutę wielkopostną.





Przywódcy Francji, Polski i Niemiec rozmawiali o przyszłości Europy. Jacques Chirac i Gerhard Schröder uważają wejście Polski do UE w roku 2004 za cel „ambitny, ale realny”. Aleksander Kwaśniewski zapewnił, że nasz zapal nie ostygnie.



Zapadła decyzja zburzenia najwyższego w świecie (53 m), wykutego w skale posągu Buddy. Rządzący Afganistanem talibowie uznali, że Allah jest jeden, a grzeszy ten, kto wznosi posągi po to, by się do nich modlić.

PUNKTY WIDZENIA

Z okazji Dnia Obrońców Ojczyzny prezydent Władimir Putin odznaczył m.in. weteranów wojny w Czeczenii. Na Kaukazie rosyjskie święto obchodzone jest jako dzień żałoby przypominający, że w 1944 r., na rozkaz Stalina, deportowano na Syberię i azjatyckie pustynie prawie milion kaukaskich górali.

SLOBO PÓJDZIE SIEDZIEĆ?

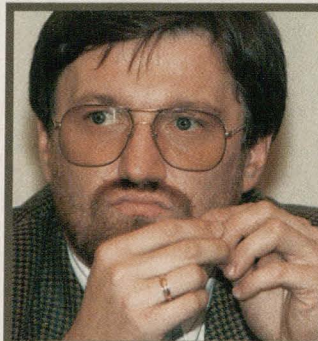
Aresztowano Rade Markovicia, szefa tajnej policji za czasów prezydentury Slobodana Miloševića, z którym niebawem może stać się to samo. W belgradzkim więzieniu przysposobiono nawet jedno z pięt. Były prezydent znajduje się aktualnie pod policyjnym nadzorem.

HEJ, SZABLE W DŁOŃ!

Czterdziestu posłów AWS uznało, że obecne umundurowanie polskiej armii nie pasuje do III Rzeczypospolitej, gdyż – wywodząc się z czasów sowieckich – może osłabiać patriotycznego ducha. Stąd propozycja przywrócenia mundurów z 1936 roku, które należałoby najpierw przetestować na Kompanii Reprezentacyjnej.

KUCZMA W OPAŁACH

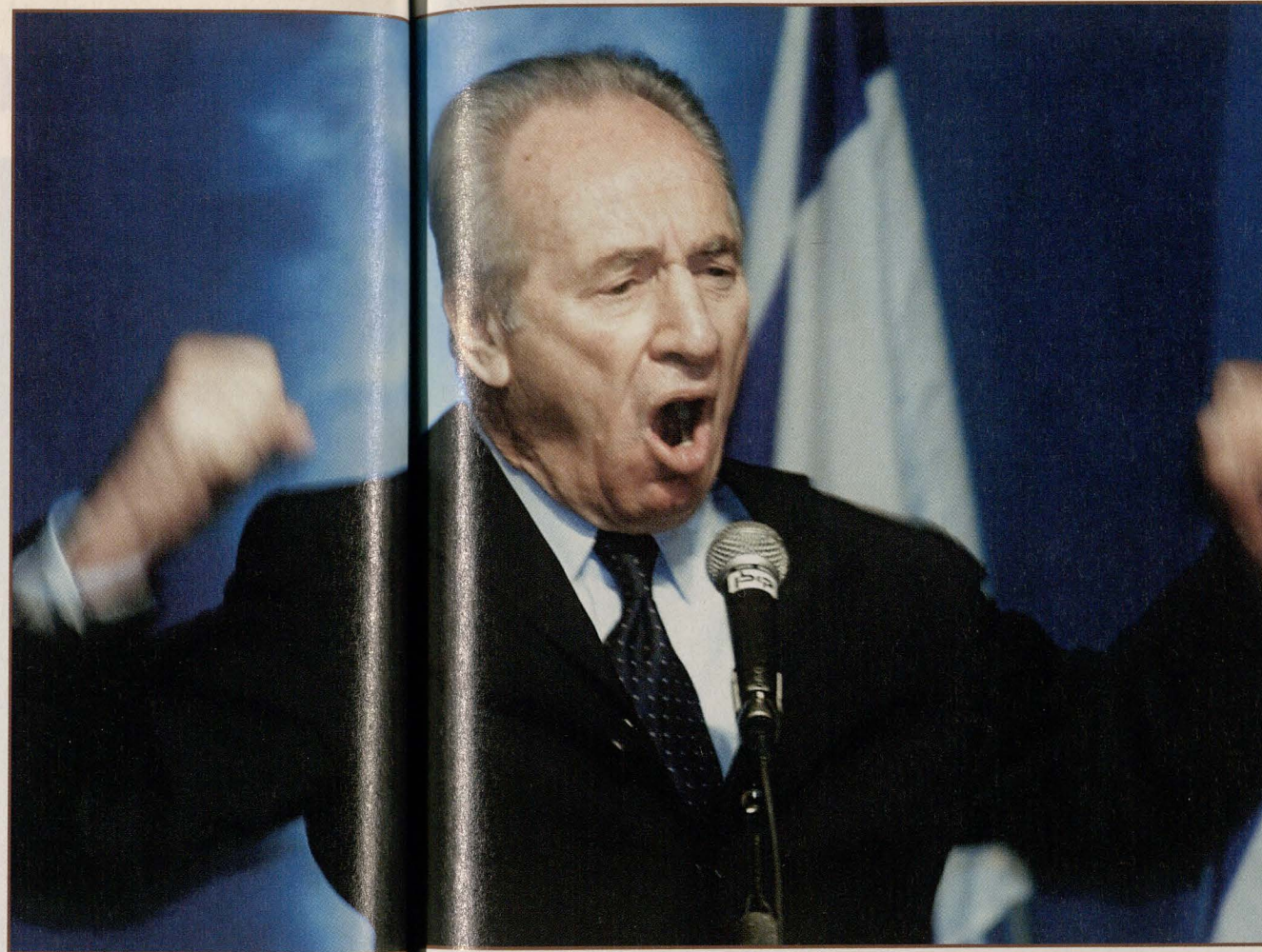
Ostatni tydzień przed wielkim postem upłynął w Kijowie pod hasłem „Ukraina bez Kuczmy”. Podczas demonstracji na Chreszczatiku uczestnicy przegłosowali wyrok – badanie psychiatryczne. W górniczym Łuzańsku „ludowy trybunał” obszedł się z prezydentem bardziej surowo, „zasądzając” dymisję i 10 dol. emerytury według średniej krajowej.



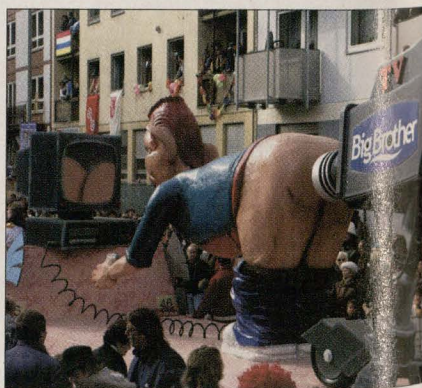
MYŚL TYGODNIA

**Dziwię się,
że góral przegrał z chłopem.**

*Poset Wiesław Kaczmarek
o dymisji ministra Chronowskiego*



Szimon Peres wezwał do utworzenia w Izraelu rządu jedności narodowej. Poskutkowało.



Poznanie człowieka głębiej, niż czyni to telewizyjny Big Brother, pozostało na razie tylko propozycją karnawałowego Różowego Poniedziałku w Moguncji.



Prezydent Władimir Putin rozmawiał w Hanoi m.in. o modernizacji wietnamskiej armii. Do tej pory żaden z przywódców ZSRR i Rosji nie odwiedził jednego z najwierniejszych sojuszników Moskwy w całej Azji.



Ucieczka przed czystkami etnicznymi na Borneo. Bojówki Dajaków – rdzennej ludności wyspy, mordują osadników, gdyż „zabierają im ziemię i pracę”.



Epidemia pryszczycy zmusiła brytyjskich farmerów do masowego uboju zwierząt hodowlanych. Europa zaczyna wierzyć, że z Wielkiej Brytanii przychodzi każda groźna choroba zwierząt.



Człowiek, który zdemontował Kraj Rad, skończył 70 lat. Michail Gorbaczow – pierwszy i ostatni prezydent ZSRR z byłą złotą medalistką (gimnastyka), Larysą Latyniną.

Zapraszamy do ...

Ośrodek Rehabilitacyjno- -Wypoczynkowy Eris w Krynicy



Nowoczesny, komfortowo wyposażony Ośrodek Rehabilitacyjno-Wypoczynkowy Eris w Krynicy – jest wspaniałą ofertą dla tych, którzy szukają miejsca o wysokim standardzie, a zarazem z przyjemną, kameralną atmosferą. Ośrodek Eris jest malowniczo usytuowany u stóp Jaworzyny Krynickiej.



pokoje gościnne

Ośrodek Eris posiada 37 pokoi o najwyższym europejskim standardzie. Wszystkie pokoje mają okna z panoramicznym widokiem na góry i są wyposażone w telefon, TV SAT i sejf. Do dyspozycji gości są szlafroki oraz suszarki do włosów. Łazienki w apartamentach, oprócz natrysków, wyposażone są również w wanny.

odnowa biologiczna i rehabilitacja

Oferujemy pełny program zabiegów pielęgnacyjnych twarzy i całego ciała. Nasi fachowcy pomogą dobrać zabiegi dostosowane do Państwa indywidualnych potrzeb i długości pobytu.

KOSMETYCZNY
INSTYTUT
DR IRENA ERIS

czas wolny i rekreacja

W czasie wolnym do dyspozycji gości hotelowych oferujemy kryty basen, saunę, hydromasaże, bilard oraz salon fryzjerski. Nasz Ośrodek znajduje się tuż przy dolnej stacji kolejki gondolowej na Jaworzynę Krynicką. Posiadamy własną narciarnię dla gości hotelowych.

konferencje i spotkania biznesowe

Dwie nowoczesnie wyposażone sale konferencyjne – duża (na 50 osób) i mała (na 20 osób) – to doskonałe miejsca na szkolenia, zjazdy, konferencje, a także do kameralnych spotkań biznesowych.

Ośrodek Rehabilitacyjno - Wypoczynkowy Eris w Krynicy
Poland, 33-380 Krynica, ul. Czarny Potok 30,
tel.: (00 48) (0 18) 472 35 00, fax: (00 48) (0 18) 472 35 01



Laury PRZEKROJU **2000**
dla najlepszych firm w Polsce A.D.

ZŁOTY GROSZ

LABORATORIUM KOSMETYCZNE

DR IRENA ERIS SA

„Złoty Jen”

KRONOPOL Sp. z o.o., Żary

„Srebrna Złotówka”

FABRYKI MEBLI FORTE SA

„Złote Euro”

LESZCZYŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE SA



Hołd pod „Hołdem pruskim” Jana Matejki w Sukiennicach. Tradycyjna fotografia wszystkich laureatów, jurorów i specjalnych gości. W pierwszym rzędzie – reprezentanci firm „Złotej Piętnastki 2000”. W środku, na złotym fotelu, pomiędzy dwoma jurorami, dr Irena Eris – zdobywca nagrody głównej.

„Złota Piętnastka 2000”

1. LABORATORIUM KOSMETYCZNE DR IRENA ERIS SA, Piaseczno
2. PRZEDSIĘBIORSTWO PRIMA SA, Poznań • 3. LABORATORIUM KOLASTYNA, Łódź
4. SANDVIK BAILDONIT SA, Katowice • 5. WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA, Poznań
6. EUROPEJSKI FUNDUSZ LEASINGOWY SA, Wrocław • 7. KRONOPOL Sp. z o.o., Żary
8. HUTA SZKŁA GOSPODARCZEGO IRENA SA, Inowrocław • 9. KOLPORTER SA, Kielce
10. SPEDPOL Sp. z o.o., Warszawa • 11. PRZEDSIĘBIORSTWO WIELOBRANŻOWE KOMOZJA s.c., Częstochowa
12. SONDA SA, Zduńska Wola • 13. ZAKŁADY MIĘSNE ALEKSANDRIA DARIUSZ MOCZARSKI, Konopiska
14. LESZCZYŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE SA, Leszno
15. JABO MARMI ZAKŁAD OBRÓBKI MARMURU, Dębica

Pozostali laureaci (w kolejności alfabetycznej): BIAWAR Sp. z o.o., Białystok • Biuro Podróży TRIP s.c., Zakopane • Centrum Leasingu i Finansów CLIF SA, Warszawa • CITIBANK POLAND SA, Warszawa • COMMERCIAL UNION POLSKA – Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie SA, Warszawa • DONNELLEY Polish-American Printing Company Sp. z o.o., Kraków • ERA GSM, Polska Telefonii Cyfrowa Sp. z o.o., Warszawa • Fabryki Mebli FORTE SA, Ostrów Mazowiecka • FIRMA OPONIARSKA DĘBICA SA • FORTIS BANK POLSKA SA, Warszawa • GERLACH SA, Drzewica • HUTA OŁAWA SA • KGHM POLSKA MIEDŹ SA, Lubin • KOMPANIA PIWOWARSKA SA, Poznań • MEDIA MARKET Sp. z o.o., Warszawa • PETROPROFIT Sp. z o.o., Niemce k. Lublina • POŻEGNANIE Z AFRYKĄ, Kraków • Przedsiębiorstwo Spedycyjne TRADE TRANS Sp. z o.o., Warszawa • Prywatne Przedsiębiorstwo Handlowo-Usługowe MARS, Gorzów Wielkopolski • RENAULT – KILJAŃCZYK Sp. z o.o., Warszawa • RETTIG HEATING Polsko-Fińska Sp. z o.o., Rybnik • RZESZOWSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO ROBÓT INŻYNIERYJNYCH SA • SKODA AUTO POLSKA SA, Poznań • STOCZNIA GDYNIA SA • TECHMEX SA, Bielsko-Biała • UNION-VIS Sp. z o.o., Bielsko-Biała • WILGA Sp. z o.o., Częstochowa • WIRTUALNA POLSKA SA, Gdańsk • WOJSKOWE PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLOWE, Warszawa • ZAKŁADY METALI LEKKICH KĘTY SA



Laury „Przekroju” dla najlepszych firm roku – rozdane!



ZŁOTY GROSZ
dla Laboratorium
Kosmetycznego
DR IRENA ERIS SA

Pierwsze czytanie dyplomu przez szefów-założycieli „złotej” firmy – dr Irenę Eris i Henryka Orfingera.



„Złoty Jen”
dla firmy
KRONOPOL Sp. z o.o.

Nagrodę demonstruje dyrektor-zdobywca, Wacław Maciuszonek, w asyście min. Eizo Kaneyasu (Ambasada Japonii) i pani Kaneyasu.



„Srebrna Złotówka”
dla Fabryk Mebli
FORTE SA

Krystyna Krupa, dyrektor handlowy laureata nagrody specjalnej, ze swoją „Srebrną Złotówką” – minuta dla fotoreporterów.



„Złote Euro”
dla LESZCZYŃSKIEGO
PRZEDSIĘBIORSTWA
BUDOWLANEGO SA

Nagrodę specjalną Rady Europy odbiera prezes Roman Wieczorek. Wręczają jurorzy: red. Maciej P. Prus, prof. Emil Panek i polski parlamentarzysta w Radzie Europy – Franciszek Adamczyk.

ZŁOTY GROSZ 2000 pojechał do Piaseczna

Jak kaže tradycja, w ostatni piątek lutego w reprezentacyjnej sali najstarszego polskiego Muzeum Narodowego i pierwszego w kraju supermarketu zakończyliśmy VIII już edycję ZŁOTEGO GROSZA.

Nasz symboliczny hołd najlepszym złożyliśmy, jak zawsze, pod „Hołdem pruskim” Jana Matejki w Sukiennicach.

Primus inter pares – pierwszy wśród najlepszych – otrzymał ZŁOTY GROSZ, firmy zaliczone do „Złotej Piętnastki” – srebrne repliki nagrody głównej, pozostali laureaci – repliki posrebrzane.

Tradycyjną fotografię pod „Hołdem” wszystkich finalistów-laureatów wraz z wynikami VIII edycji konkursu zamieściliśmy na stronie poprzedniej. O zasadach i kryteriach konkursu pisaliśmy obszernie w trzech numerach „P” poprzedzających finał. Tutaj, obok zdobywców głównych nagród, prezentujemy zdjęcia z finałowych spotkań ZŁOTEGO GROSZA 2000, ich uczestników i specjalnych gości, współtwórców i mecenasów, bez których pomocy nasz laur nie mógłby pretendować do rangi nagrody o najwyższym prestiżu.

Wszystkim Laureatom serdecznie GRATULUJEMY!

Współtwórcom i Mecenasom bardzo DZIĘKUJEMY!

ZAPRASZAMY za rok, na IX edycję ZŁOTEGO GROSZA!

Z listu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

Serdecznie gratuluję Laureatom, Finalistom i Nominowanym w tegorocznej edycji konkursu ZŁOTY GROSZ. Jego organizatorom – Redakcji „Przekroju”, Business Centre Club, Polskiej Radzie Biznesu i Akademii Ekonomicznej w Poznaniu – dziękuję za ciekawą i pozytywną inicjatywę oraz aktywne działania na rzecz promocji polskiej gospodarki. (...)

Wręczone dzisiaj nagrody i wyróżnienia świadczą o tym, że Wasze przedsiębiorstwa doskonale sprawdziły się w nowych warunkach. Osiągnęły bardzo wysoki poziom, podjęty przez Was wysiłek przynosi zakładane efekty, a uzyskane wyniki zdobyły uznanie w środowisku gospodarczym naszego kraju.

Pragnę zapewnić, że tak jak w poprzedniej kadencji będę promował polską gospodarkę, sukces ekonomiczny naszego kraju zaliczam do priorytetów mojej prezydentury. Zawsze możecie liczyć na moją pomoc i wsparcie (...)

Życzę dalszych sukcesów, odwagi w podejmowaniu kolejnych wyzwań i satysfakcji z osiągniętych rezultatów.

Aleksander Kwaśniewski

Tak jak Prezydent RP, listy gratulacyjne nadesłało wiele osób, wśród nich wicepremier – minister gospodarki Janusz Steinhoff i dyr. Jack Hanning z Rady Europy. Dziękujemy!



Łoża Laureatów

Laureaci poprzednich edycji ZŁOTEGO GROSZA w specjalnej łoży (od lewej): prof. Bohdan Gruchman (prezydent Łoży), Alle Ypma (BROWARY ŻYWIEC), Joseph Wancer (BANK BPH), Jolanta Bańcherowska (WRIGLEY POLAND), Wojciech Radomski (BROWAR OKOCIM) i Edmund Mzyk (YAWAL SYSTEM).



KWADRANS przed hejnałem pierwsza odsłona kurtyny. Na konferencji prasowej „Pod Gruszką” rozmawiamy przy małej czarnej o zasadach selekcji finalistów i kryteriach wyboru laureatów, a jurorzy ujawniają pierwszą część komputerowych wyników.



PIERWSZORZĘDNI goście (od lewej): min. Jolanta Szymanek-Deresz (szef Kancelarii Prezydenta RP), min. Marek Dukaczewski (Kancelaria Prezydenta RP), dr Ryszard Masłowski (wojewoda małopolski), min. Eizo Kaneyasu (ambasada Japonii), Andrzej Sągula (wicemarszałek małopolski)...



PANORAMĘ najlepszych firm roku przedstawiały osobistości polskiej sceny i ekranu – Krystyna Czubówna i Krzysztof Jasiński.



SPRAWCY werdyktu, czyli autorzy konkursowej metodologii selekcyjnej, z laureatem nagrody głównej (od lewej): prof. Tomasz Rynarzewski, Henryk Orfinger (prezes firmy „Dr Irena Eris”) i dr Jerzy Kuczyński.



GAUDE MATER POLONIA śpiewa zawsze pod „Hołdem”, na dobry początek, Męski Chór Akademicki UJ (najstarszy taki zespół w Europie).



...i Stanisław Handzlik (przew. RM Krakowa), dr Dariusz Lipiński (przew. RM Poznania), Zofia Gołubiew (dyrektor MNK), Ryszard Grobelny (prezydent Poznania), prof. Andrzej Gołaś (prezydent Krakowa) i Maria Wiśniewska (prezes Banku Pekao SA).



CERTYFIKATY i srebrzyste repliki ZŁOTEGO GROSZA wręczali finalistom szefowie organizacji uprawnionych do konkursowych nominacji – Zbigniew Niemczycki (prezes Polskiej Rady Biznesu) i Grażyna Jaskuła-Pereta (wiceprezes Business Centre Club).



U WIERZYNKA głównym „daniem” bankietu jest już tradycyjnie... loteria charytatywna. Krystynie Czubówniej sprzedaż losów udaje się niezgorzej, więc zebrało się trochę GROSZA dla wychowanków krakowskiego Domu Dziecka nr 1.



AREOPAG ZŁOTEGO GROSZA (od prawej): selekcjonerzy – Zbigniew Niemczycki (prezes PRB), Grażyna Jaskuła-Pereta (wiceprezes BCC), jurorzy – prof. Emil Panek (rektor AE w Poznaniu) i red. Maciej P. Prus (naczelný „P”) oraz red. Wacław Kaczmarczyk (kanclerz ZŁOTEGO GROSZA).



PREZYDENTA RP reprezentowała pod „Hołdem” pani „wiceprezydent”. Szefowa Kancelarii Aleksandra Kwaśniewska odczytała prezydencki adres do laureatów i uczestników konkursu.



TAJNE spotkanie dotychczasowych zdobywców ZŁOTEGO GROSZA ze „Złotą Piętnastką 2000” odbyło się w legendarnym klubie studenckim „Pod Jaszczurami”. Pod czujnym okiem głównego mecenasa konkursu (Maria Wiśniewska), prezydenta Łoży Laureatów (Bohdan Gruchman) i nowego szefa klubu (Jacek Wilczyński).



FOT. JAN ZYCH (13), BOGDAN KRZEL (5)



CEZARY BARYKA

idzie nawódkę

ANTONI PAWLAK

Polscy filmowcy, w ramach życia ułatwionego, wykonali skok na kasę. W zasadzie nie zostawili już nic z cmentarzyska dzieł historii literatury polskiej, co nie zostałyby sfilmowane. Ostatnio do ich grona dołączył Filip Bajon – znakomity reżyser, scenarzysta, prozaik i były model z „Przekroju”.

Mateusz Damięcki w roli bohatera „Przedwiośnia”

Ekranizowanie powieści jest zajęciem miłszym, łatwiejszym i mniej pracochłonnym niż tworzenie dzieła filmowego od podstaw. Nie trzeba specjalnie wysilać się nad konstruowaniem fabuły, intrygi i portretów psychologicznych bohaterów. To wszystko jest już gotowe. Wystarczy wybrać wątki, podzielić wszystko na sceny, rozpiąć na dialogi i – rzecz niebagatelna – dobrać odpowiednią obsadę. Na przykład w ten sposób, żeby Gustaw Holoubek nie musiał grać Ursusa, a Dorota Stalińska – Matki Teresy z Kalkuty.

Dlaczego Żeromski

Ekranizowanie dzieł literackich nie jest oczywiście li tylko polską specjalnością. To robi się nieomal od zawsze i nieomal wszędzie. Z lepszym lub gorszym skutkiem.

Jestem w stanie zrozumieć tych naszych reżyserów, którzy z uporem godnym lepszej sprawy przenoszą na ekran kolejne książki Henryka Sienkiewicza. Twórczość Sienkiewicza, mimo iż uhonorowana Nagrodą Nobla, nie była jednak zbyt skomplikowana intelektualnie. Można z czystym sumieniem zaryzykować twierdzenie, że była wręcz aintelektualna. Te wszystkie teorie, jakoby pisarz ten tworzył „ku pokrzepieniu serc”, czy też by budzić w rodakach patriotyzm i dumę narodową, brzmią wzruszająco i pięknie, ale tak po prawdzie należałoby je wszystkie między bajki włożyć. Powieści Sienkiewicza tak naprawdę nie różniły się ani w warstwie ideowej, ani poziomem intelektualnym i artystycznym od kilogramów książek Marii Rodziewiczówny.

Henryk Sienkiewicz to przecież taki niedysiejszy polski Robert Ludlum. Sprawnie napisane książki akcji, romanse, pojedynki, walki z siłami ziemskiego zła. I to się świetnie czyta, jak każdą zresztą drugorzędną literaturę. I to się, siłą rzeczy, znakomicie nadaje na ekran, to wręcz wymarzone scenariusze filmów sensacyjnych. Szczypota miłości, łyżeczka sentymentalnych wzruszeń, a to wszystko – dla smaku – przyprawione keczupem krwi. I to się czyta, to się ogląda. To jest po prostu dla ludzi.

Zupełnie inaczej jest ze Stefanem Żeromskim. Żeromski to był rzeczywiście ktoś w rodzaju pisarza sumień. Jego kolejne książki były prawdziwymi wydarzeniami nie tylko w kategoriach artystycznych, ale także moralnych i intelektualnych. Różnica między Sienkiewiczem a Żeromskim to – przy zachowaniu wszelkich na-

leżnych proporcji – jak różnica między Robertem Ludlumem a Jamesem Joyce’em.

Wielkość i upadek Żeromskiego

Stefan Żeromski był klasykiem jeszcze za życia. Chodził po Warszawie w sosie własnej chwały. Podziw, mieszkanie na warszawskim Zamku Królewskim, bałwochwalcze hołdy współczesnych. Wystarczy wspomnieć, jaką czcią otaczali go na przykład poeci z kręgów Skamandra.

W „Alfabecie wspomnień” Antoniego Słonimskiego (PIW, Warszawa 1989) pod hasłem „Żeromski” czytamy: „Należę do pokolenia, które kształtowało się na Żeromskim jeszcze przed odzyskaniem niepodległości. Ten wielki pisarz, który wolności z nami dożył, nie opuścił nas, stając się od pierwszych lat niepodległego bytu autorytetem moralnym całej postępowej inteligencji. Z troską śledził pierwsze konflikty młodego państwa, które zdołało po stuletniej niewoli połączyć trzy zabory, wracając na mapę Europy z niezatraconą świadomością narodową. (...) Bez Mickiewicza, Wyspiańskiego i Żeromskiego nie byłoby Polski. Nie dźwignęłaby się z hańby rozbiorów, zostałaaby nędzną prowincją we władzy obcej”.

Przesada? Być może lekka. Ale nawet jeśli, to i tak trzeba przyznać, że wpływ Żeromskiego, jego twórczości, na wiele pokoleń Polaków był niebagatelny. „Był” – z pełną świadomością użyłem tutaj czasu przeszłego. Bowiem smutna historia odbioru twórczości tego pisarza dowodnie świadczy o tym, że zostać klasykiem za życia, to sytuacja bardzo niewygodna. Kto



Filip Bajon udziela wskazówek Cezaremu – Damięckiemu

FOT. JACEK SZYMANKA/FOTUM (2)



bowiem dziś czyta książki Żeromskiego? Czyta się, i owszem, Sienkiewicza. Czyta się, i to nawet z satysfakcją, Bolesława Prusa. A Żeromskiego?

Owszem, przeczytałem prawie wszystko, co ten pisarz napisał. Zrobiłem to głównie dlatego, że jego książki były w szkolnym spisie lektur obowiązkowych, więc przeczytać je po prostu musiałem, by nie dostać kolejnej lufy z „polaka”. Przyznam, że niektóre z nich nawet nie bez pewnej satysfakcji. Jak na przykład skromny objętościowo tekst „Na probostwie w Wyszku”, choć ten akurat nie figurował wśród lektur szkolnych. Wręcz przeciwnie, w latach PRL-u była to książeczka zakazana, jako że w – delikatnie mówiąc – niezbyt korzystnym świetle przedstawiała sowieckich bohaterów wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku.

A jak wygląda recepcja Żeromskiego dzisiaj? Otóż, obawiam się, w ogóle nie wygląda. Żeromskiego praktycznie nikt już nie czyta.

Po 13 grudnia 1981 roku, dzięki staraniom ówczesnych władz, miałem dużo czasu na rozwój duchowy. Czyli po prostu siedziałem w obozie internowanych. I wtedy to, między innymi, postanowiłem ponownie zmierzyć się z książkami Stefana Żeromskiego. W bibliotece więziennej w Białołęce oczywiście nie było „Na probostwie w Wyszku”, więc sięgnąłem po „Popioły”. I to było moje wielkie rozczarowanie, kolejny dowód, że do lektur młodości nigdy, przenigdy wracać nie należy. Natrętna, manieryczna, ciągnąca się przez pustynię stron jak zużyta guma do żucia proza. Tego się po prostu nie da

czytać! Z więziennej lektury „Popiołów” pamiętam tylko tyle, że z siedzącym w tej samej celi Stefanem Kawalcem (późniejszy wiceminister finansów) z uporem zmienialiśmy frazy typu „wiatr wałęsał się po polu” na „wiatr Wałęsał się po polu”, a nazwisko jękającego się ordynansa jednego z bohaterów pracowicie zmienialiśmy z Michcik na Michnik. Myślę, że jeśli po nas któryś z więźniów Białołęki tę książkę sobie wypożyczył, to miał przy lekturze niezły ubaw.

Tak wyglądała dla mnie śmierć klasyka. Bo problem z jego twórczością polega głównie na kompletnym zestarzeniu się języka. Sentymalna młodopolska maniera, po którą tak chętnie sięgał, jest dziś drażniąca, sztuczna i niezmiernie utrudnia, by nie powiedzieć, że uniemożliwia dotarcie do poruszanych, jakże często niezwykle ważkich, problemów.

A dzieci do dziś katuje się w szkołach książkami Żeromskiego. I dzieci muszą to czytać, z samozaparciem przedzierając się przez zasięki kompletnie zwietrzałej maniery językowej. I coraz mniej rozumieją z tego, co przyszło im czytać, coraz częściej, miast do książek, sięgają do prymitywnych bryków, z których dowiedzą się tylko kto, z kim i dlaczego. I z coraz mniejszą cierpliwością reagują na przepytujące ich z lektur złośliwe nauczycielki. Cóż, biedne dzieci.

Nędza literatury polskiej

„Przedwiośnie” ukazało się w roku 1925. A więc siedem lat zaledwie po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. I było – przypomnijmy – niezwykle gorzką refleksją

nad pierwszymi latami wolnej Polski. W dodatku nie jedyna to tego typu powieść, choć najwybitniejsza, ale takich książek było wówczas przynajmniej kilka.

Dziś mamy rok 2001. A więc minęło blisko dwanaście lat od odzyskania przez Polskę pełnej suwerenności. I nie doczekaliśmy się żadnej książki, która choć w przybliżeniu miałaby podobne ambicje co „Przedwiośnie”. A tyle się przez lata mówiło, że pisarze polscy mają wyostrzony zmysł społeczny, obywatelski. Że są „inżynierami dusz” lub „sumieniami narodu”. Tymczasem artystycznych prób opisania rzeczywistości III Rzeczypospolitej po prostu nie ma. Pisarze polscy zbiorowo i ochoczo dali ciała. Nie tylko dlatego, że nie sprostali wyzwaniu rzeczywistości. Przede wszystkim dlatego, że zaniechali nawet prób podjęcia tego wyzwania.

Dlaczego tak się stało? Może najtrafniejszą na to odpowiedź dali w swej głosnej w połowie lat siedemdziesiątych książce „Świat nie przedstawiony” Julian Kornhauser i Adam Zagajewski. Otóż polscy pisarze, nawet ci obdarzeni wspaniałymi umiejętnościami narracyjnymi, poszli w prozę parafabularną, pseudointelektualną. I zamiast opisywać i analizować rzeczywistość, świat nas otaczający, zajęli się porządkowaniem swojego duchowego wnętrza. I okazało się, że był to pomysł tyleż ambitny, co przerastający ich możliwości intelektualne. Doskonałym tego przykładem – piszę to w wielkim strachu, że rzucą się na mnie wszystkie intelektualne tuzy literackiej Polski – jest twórczość Kazimierza Brandysa. Był to pisarz z zadatkami na wielkiego, na kogoś w ro-



dzaju nowego Stefana Żeromskiego czy polskiego Maria Vargasa Llosy. Ale miast w wielkim stylu opisać naszą rzeczywistość, postanowił pokazać, że jest wielkim intelektualistą i pozostawił nam po sobie „Miesiące” – drażniącą, pseudointelektualną, pseudofilozoficzną pulpę.

„Przedwiośnie” dzisiaj?

Motorem każdej rewolucji, każdego przełomu jest nadzieja. Nadzieja, że ten przewrót, powstanie, zamach stanu, rewolucja zdołają załatwić wszystkie nasze problemy. Kompletnie wszystkie. I po prostu zmienić świat. Tak więc u podstaw tego typu działań leży naiwna i odwieczna wiara ludzi w możliwość nagłego ziszczenia ich marzeń. Marzeń o szklanych domach, drugiej Japonii, powszechnej sprawiedliwości, dostatku i szczęściu („liberté, égalité, fraternité”). Wiara to o tyle głupia i bezsensowna, że historia nas już z tego typu mrzonek dawno powinna uleczyć. Po każdej bowiem dotychczasowej rewolucji, po każdym powstaniu, zamachu, przełomie marzenia te najzwyczajniej biorą w łeb. Okazuje się, że nic nie jest tak jak byśmy chcieli. Że problemy wcale nie znikają, a co najwyżej zmieniają się.

I dlatego właśnie problematyka, którą w „Przedwiośniu” porusza Stefan Żeromski, jest jak najbardziej naszą współczesną problematyką. Przejęcie władzy przez Solidarność w 1989 nie spowodowało powszechnej szczęśliwości. Nie wystrzeliły w niebo szklane domy, druga Japonia nie wyrosła ot tak, nagle, tu, nad Wisłą. Jakże wielu działaczy podziemia, bojowników o wolność zapatrzyło się tyl-

ko we własne kariery polityczne i finansowe. Do władzy doszedł hałaśliwy czwarty garnitur działaczy powołujący się na swą mocno wątpliwą heroiczną przeszłość, histerycznie krzycząc jak w starym dowcipie – „my, jabłka, płyniemy!”.

I ludzie, zmęczeni kłopotami codzienności, głęboko rozczarowani tym, że rok 1989 nie przyniósł raju na ziemi, odwracają się od dawnych idoli, od tych, którzy tę wymarzoną wolność im wywalczyli. Też nic nowego pod słońcem. Wystarczy przypomnieć ponury, ale jakże prawdziwy wiersz Adama Mickiewicza;

„Ręce, za lud walczące, sam lud poobcina;
Imion miłych ludowi – lud pozapomina...
Wszystko przejdzie! Po huku, po szumie, po trudzie
Wzmań dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie”.

A więc? Przecież „Przedwiośnie” jest także i o tym, o rozczarowaniu ludzi przewrotem, rewolucją i tak dalej. Dlatego rozumiem decyzję Filipa Bajona, by właśnie teraz zmierzyć się z tą książką Stefana Żeromskiego. I spodziewam się, że będzie to zmierzenie się ze wszech miar udane. Jako że Filip Bajon jest nie tylko znakomitym reżyserem. Jest także człowiekiem mądrym i – przepraszam za określenie być może lekko już staroświeckie – współczującym.

Z kim na Belweder

I tylko jedna wątpliwość ciśnie mi się na usta. Mianowicie, jeśli już przyjdzie nam, jak w „Przedwiośniu”, iść na Belweder, to z kim. Bo tutaj też możliwości są mocno

ograniczone. Przecież nie z Ikonowiczem (Piotr Ikonowicz – Cezary Baryka XXI wieku?), bo zaraz by się jakiś Lepper przypałał.

A może pomaszerować na Belweder z przyjaciółmi z „Przekroju”? Z Prusem, Bikontem i Baranem? Tyle tylko, że to towarzystwo każe mi podejrzewać, że nasz powodowany obywatelską troską marsz skończyłby się jakąś groteską. I nigdy tak naprawdę pod Belweder byśmy nie dotarli. Bo po drodze skreśliłbyśmy na przykład na panienki albo na wódkę do pobliskiej knajpy. ■

O premierze „Przedwiośnia” – na stronach 74–75



Jeśli przyjdzie nam pójść na Belweder, to z kim?

Wojna polsko-bolszewicka, rok 1920.
Sceny z filmu

Z PROFESOREM LECHEM FALANDYSZEM

ROZMAWIA KAZIMIERZ TARGOSZ

ZDJĘCIA BOGDAN KRĘŻEL

Strzelają do mnie Z GRUBYCH ARMAT

Niech ci spoceni sobie biegną,
a ja truchtem i też się spotkamy. Taka postawa pozwala
zachować przytomność umysłu i dystans.

Co słychać?

Spokojnie. Jak na wojnie. Strzelają do mnie z grubych armat.

Łapówkarz, który ulaskawił gangstera!

Strasznie to pana wzburzyło.

A dziwi się pan? To jest świńska operacja. Człowiek się poczuł jak w stanie wojennym.

Będzie proces?

Jasne. Jakoś trzeba się bronić.

A poza tym co słychać?

Nic szczególnego, jest dobrze. Ja nie jestem człowiekiem nadśluchującym. Nigdy nie miałem aspiracji, żeby brylować publicznie. Całkiem mi dobrze z tą trochę większą ciszą, co zresztą wynika po części z faktu odejścia z polityki. Powoli wciągnąłem się w advokaturę, co jest dziwaczne, bo nigdy rzemiosła adwo-

kackiego nie uprawiałem. Ale pod koniec życia tak sobie z żoną ustaliliśmy, że może te lata spędzone na uniwersytecie i tę niezastużoną sławę spożytkuję na zarobienie paru groszy dla dzieci i rodziny. Jestem adwokatem od spraw dużych i trudnych. Jestem też rektorem prywatnej Wyższej Szkoły Handlu i Prawa w Warszawie.

Pańska żona powiedziała mi, że „wykonuje pan większą ilość zawodów, na szczęście nie wykonuje pan zawodu miłosnego”?! Żona, jak zwykle, gada ciekawe rzeczy. Cały czas się czegoś o niej dowiaduję. Może zacznę z żoną rozmawiać za pośrednictwem mediów. To jest ciekawe, bo się wtedy spręży i ładnie o mnie mówi, a dla mnie ma jakieś półsłówka i traktuje mnie pogardliwie.



LECH FALANDYSZ Urodzony w 1942 r. w Warszawie, prawnik, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Przez blisko cztery lata był zastępcą szefa kancelarii prezydenta Lecha Wałęsy. Obecnie jest rektorem prywatnej Wyższej Szkoły Handlu i Prawa w Warszawie oraz adwokatem. Ma czworo dzieci. Hobby: rodzina i tenis.



Trzeba chcieć lekko, a jak się tak chce, to można się podwójnie cieszyć, bo przecież mogło się nie udać. Po cholere się szarpać, skoro i tak dostanę to, na czym mi mniej zależy.

Ale może coś jest na rzeczy, skoro Monika Olejnik – jak pan powiada, najpiękniejsza hiena w dżungli dziennikarskiej – uznała pana za najseksowniejszego rozmówcę.

No, taki lapsus trafił się pani Monice parę lat temu, jakoś go nie odwołała, więc cały jestem dumny.

Czy studentki też tak uważają?

Swego czasu jedna z nich widziała w panu Humphreya Bogarta.

To było dawno. Teraz przekroczyłem już pewien poziom atrakcyjności. Myślę, że uważają mnie za miłego dziadka, a to jest zupełnie inny status. Ale to też fajne, mnie to pasuje. Od pewnego czasu żona mnie tak zaabsorbowała, wciągnęła jak elektroluks, że ja osiągnąłem taki stan, iż nawet jak spojrzę na dziewczynę, to nie bardzo wiem, po co się jej przyglądam. To jest dobre, bo zwalnia od emocji.

My tu sobie żartujemy, a sprawa jest poważna: stał się pan outsiderem politycznym.

Pewnie tak, zawsze nim byłem. Lubię być outsiderem, nie pakuję się w zbiorowe rzeczy, poza wyjątkami. Jak dziesięć lat temu byłem w Solidarności, to każdy był. Natomiast nigdy nie staję do wyścigu. Wychodzę z takiego założenia: niech ci spoceni sobie biegają, a ja sobie truchtem i też się spotkamy. Taka postawa pozwala zachować przytomność umysłu i dystans.

Nawet jak pan siedł na służbę do prezydenta Wałęsy?

Tak, bo raczej robiłem to z obowiązku niż dla zaszczytu. Ja nie mam absolutnie ambicji władczych, rządzenia innymi ludźmi czy wpływania na ich wolę. Nawet w domu jestem pod władzą Baśki. Muszę wobec niej postępować jak chytra opozycja: tu się wyrwę na tenisa, tam gdzieś schowam parę groszy. A Baśka jest jak Lenin – ufa i kontroluje.

Czy dlatego nie zrobił pan kariery politycznej?

Myślę, że tak. Może nie mam tego bodźca, pędu do władzy. Może nie jestem prawdziwym mężczyzną. Gram w tenisa i widzę takich zawziętych skurczybyków. Gra taki gorzej ode mnie, nigdy nie nauczy się dobrze grać, ale jaka to złośliwa menda, świnia, kręci te piłki, kompletnie nie ma stylu. I sobie myślę – co ja się tu będę z nimi szarpał. Przykro mi wtedy, bo przegrywam z gorszymi. I tak by pewnie było w polityce. Krętacz, łajdak, który się nauczył jakichś wrednych odbić, będzie lepszy ode mnie, a ja ze swoją ładną, powolną, klasyczną piłką dostaję w dupę.

A może były inne przyczyny?

Był czas, kiedy bardziej zależało panu na wódeczce niż na polityce.

To fakt, miałem kiedyś opinię pijaczyny, wariata, który stoi nad rynsztokiem. Nie-

którzy nawet czekali, że tam wpadnę. Ale miałem sporo szczęścia. To, że nie przegrałem, że teraz jestem spokojny, wyciszony, zawdzięczam Baśce. Być może ona jest przekazem od mojego anioła stróża, który mnie strzegł przez większą część życia, a potem wstrzymał protekcję, że bym sam sobie radził. Nałóg to jest nałóg, wciąga człowieka. A jeszcze, jak się za dużo myśli, to łeb się przekręca o 180 stopni i wtedy jest najprzyjemniej, robi się różne wariackie rzeczy. Tyle tylko, że alkohol niszczy psychicznie, fizycznie, społecznie. Miałem wyrzuty sumienia, bo byłoby bezczelnością, żeby taki facet jak ja, z takimi przejściami, zasarganą opinią pchał się do polityki.

Ale w polskiej obyczajowości nawet wysokim dygnitarzom wolno się upijać.

Wolno, ale chodzi o co innego. Czy facet, który ma tyle grzechów, narobił tyle świństw rodzicom, kolegom, Baśce, która walczyła z tym długie lata, ma prawo pchać się do pierwszego szeregu?

Pewnie nie ma, ale pan przynajmniej bez zahamowań, bez fałszywej pruderii mówi o swoich byłych problemach alkoholowych. A zaczął pan wcześniej, już w ogólniaku, a skończył koło czterdziestki. Mówię o tym, bo to samo życie. W pewnym momencie poczułem, że mogę mówić prawie całą prawdę. Oczywiście, jest

pewna granica wyznań osobistych, granica smaku. Jeśli się jej nie przekroczy, jest się wolnym.

Na studiach uchodził pan za kontestatora, luzaka, chodził w bluzce douglasówce.

Model kontestatorski pasował do tamtych czasów. Nosilem się po amerykańsku, upijałem się, łamałem reguły, mówiłem śmielej niż inni i było to poszukiwaniem komfortu w tamtej, dość ponurej rzeczywistości.

Powiedział pan kiedyś: „Połowę dorosłego życia przepiłem, lecz w czasie tej drugiej, trzeźwej, zrobiłem więcej niż innym udaje się przez całe życie”.

Z czego jest pan tak dumny?

Po pierwsze z tego, że przeżyłem. Miałem dużo szczęścia, bo nie należę do ludzi mocnych, odważnych, odpornych. A po drugie, jeśli to moje bezczelne wyznanie jest prawdziwe, to ja więcej z tego życia wziąłem niż straciłem. Inni musieli chodzić po sznureczku, nie bywali w rynsztokach, w izbie wytrzeźwień, nie spali na 20-stopniowym mrozie – przecież to są fajne przygody. Nie tyle byłem dzielny, co miałem fart. Pamiętam takie momenty, że człowiek był w pobliżu dna i nagle, ni stąd, ni zowąd, znalazł się na topie. W przerwach między jednym a drugim piąństwem skończyłem studia, habilitowałem się. Może nie byłem najgłupszy. Jak coś zawaliłem i spadłem, to potem musiałem się wspinać. To jak z moim tenisem. Ze mną w tenisa gra paczka camelii, co oczywiście bardzo obniża sprawność. A gram z kolegami, którzy nie palą i ostatnio z nimi przegrywam. Ale ja mam dwie przyjemności, a oni jedną. Bo się tylko nagrają w tenisa, a ja sobie jeszcze zapalę. A z drugiej strony, gdyby któryś z nich wypalił choćby połowę paczki, to by umarł.

Twardziel z pana. Zabrzmi to może paradoksalnie, ale chyba dzięki tej przeszłości – w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów profesorów i polityków – nie pretenduje pan do roli autorytetu moralnego.

Zdecydowanie nie pretenduję. Byłoby mi wstyd wobec ludzi, głównie żony. A dzieciom też mówimy, że tata nie jest autorytetem moralnym, może co najwyżej jest trochę znany.

Śmietanka intelektualna nie bardzo pana tolerowała i toleruje, bo kiedyś uważała pana za zdrajcę etosu inteligenta – niechlujny wygląd, brak dbałości o karierę i wartości, a potem też miał pan





Nie jestem dżentelmenem. Jestem zwykłą szarą, cichą myszą, ale taką, która okazuje się trudną do zabicia.

przechlapane, no bo jak szanujący się inteligent może pracować u elektryka i to w charakterze „psa łańcuchowego” czy też, jak mówiono, najemnika do specjalnych poruczeń?

Dziwna jakaś ta śmietanka, która wystawia takie świadectwa nie tyle mnie, co sobie. Moim zdaniem jest skrajną głupotą dziwienie się, że przyjąłem pracę u prezydenta Wałęsy. I dziwienie się, że nie starałem się go pouczyć, że nie jestem dla niego autorytetem prawniczym. U prezydenta jest się na służbie i jakiś pierwszy lepszy sierżant czy nawet pułkownik nie będzie pouczał szefa-generała. Co to znaczy u elektryka? A czy ci wyrafinowani intelektualiści na początku nie dali się mu uwieść? I dobrze, bo on tego i owego zelektryzował i swoje zrobił. Trzecią rundę przegrał, niepotrzebnie do niej stawał, niepotrzebnie

stawał do walki z Kwaśniewskim. Powinien zrozumieć, że jemu należała się tylko jedna kadencja, bo to był los od Boga i historii.

Jak z dzisiejszej perspektywy ocenia pan owe prawie cztery lata pracy u Wałęsy?

Robiłem, co się dało. Tak naprawdę to się wszystko sprowadzało do walki o system prezydencki.

A falandyzacja prawa?

Niczego takiego nie było. Rozmawiałem niedawno z jednym z wiceprezesów Trybunału Konstytucyjnego, który powiedział mi, że nigdy z prezydentem Wałęsą nie naruszyliśmy prawa. Posługiwałem się pewnym warsztatem prawniczym, który być może nie był zrozumiały dla wszystkich, a ponieważ nad sobą miałem tylko Boga i historię, to mogłem robić więcej niż zwykły prawnik. To była w miarę zręczna wykładnia prawa, trochę proprezydencka,

w tym sensie, że chciałem więcej władzy dla prezydenta.

Porównał pan Wałęsę do Piłsudskiego, ale Komendant im dłużej żył, tym miał większy szacunek, Wałęsa na odwrót.

Piłsudski był innym człowiekiem i inne też były czasy. On miał swoich wiernych żołnierzy, którzy zainstalowali w społeczeństwie kult marszałka, a u Wałęsy nie było żołnierzy, tylko dezertery. Wszyscy równi, nie było stopni, więc chcieli być lepsi nawet od swego wodza, zwłaszcza gdy stał się już nieprzydatny. Nie miał kto utrwalić jego kultu, on się rozproszył jak cała Solidarność. Wałęsa został samotny. Piłsudski też był samotny w Belwederze, pod koniec życia zły, wściekły na Polaków. Porażka Wałęsy jest porażką innych. Inaczej jest odbierany człowiek z ludu. Z Piłsudskim nikt się nie mógł równać, choć niewysoko urodzony, był samo-

ukiem. Natomiast każdy głupek uważał, że jest lepszy od Wałęsy. Lud sprowadził go do swojej własnej pozycji.

Pana ojciec, bohater powstania warszawskiego, odznaczony Krzyżem Walecznych i Virtuti Militari, miał w AK pseudonim „Chmara”, nie Bohun, Kmicic czy Wołodyjowski. Chmara to postać z „Mazepy” Juliusza Słowackiego – sługa wojewody, dworak, żaden bohater. Może tę swoją postawę odziedziczył pan po ojcu, który manifestował ją symbolicznie, a pan w realnej służbie u prezydenta?

Tak do końca starego nie przejrzałem, ale coś w tym jest, on też nie był człowiekiem walki, uchodził za uosobienie spokoju.

Czy to prawda, że zazdrościł pan ojcu życiorysu, miał pretensje do losu, że nie urodził się wcześniej? „Oni, powstańcy, ofiarowali historii wszystko, z życiem włącznie, ale też historia zrobiła im prezent w postaci możliwości walki” – to pana słowa. Nie bardzo umiem sobie pana wyobrazić w tej roli.

Fakt, nie mam zadatków na bohatera, choć byłem szefem inteligencko-studentskiego gangu, który miał mir w dzielnicy. Cały czas z premedytacją dołuje pan siebie, swój życiorys, a przecież właściwie miał pan szansę, żeby zostać kombatantem.

Przegrywa pan wprawdzie z kombatantami antykomunistycznej opozycji, nie walczył w pierwszym szeregu, ale był pan dobrym kandydatem na opozycjonistę – niezależny naukowiec, nie należał do PZPR, znany w środowisku uniwersyteckim, ojciec AK-owiec, bohater powstania warszawskiego. Znał pan wielu czołowych opozycjonistów. Dlaczego nie trafił pan do KOR-u?

Po pierwsze nie starałem się, byłem za mało odważny, by wejść do oficjalnej opozycji, która jest pod ostrzałem systemu. Po drugie nie miałem motywacji. Innymi słowy tchórzostwo i brak motywacji.

Šokująca szczerość!

Wiem, jestem szczery aż do bólu. Ale nie jestem – jak już mówiłem – człowiekiem walki. Wolałem wygodne życie. No i piłem. Nie żałuję, bo do tego trzeba determinacji i może trochę psychopatii. A ja byłem zwykłym człowiekiem. W KOR-ze nie było zwykłych ludzi, to byli ludzie na swój sposób naznaczeni, niezwykli. A niezwykłość to jest odchylenie od normy, co bywa często – jak mówił prof. Dąbrowski – pozytywną dezintegracją, czyli czymś na granicy.

Zamiłowanie do prawa też pan odziedziczył po ojcu?

Tak. Uważałem, że prawo jest dobre, można po nim robić wszystko.

A dlaczego prawo karne i wiktymologia?

Z głupoty, bo uważałem, że to jest ciekawe. Naczytał się człowiek kryminalistów, naoglądał filmów, np. modnego wówczas André Cayatta, mimo że dzisiaj wiem, iż o wiele ważniejsze jest prawo cywilne. Wiktymologia zainteresowała mnie, bo pomyślałem sobie, że dużo się mówi o przestępcach, sprawcach, a mało o ofiarach. Czasami przestępcy są ofiarami i to mnie wciągnęło. Teraz wraca się do tego, dużo się mówi o prawach ofiary. Mam satysfakcję, że pisałem o tym 25 lat temu.

Tak sobie myślę, że chyba bliska by panu była dewiza Borghesa: dżentelmen może się interesować tylko przegranymi sprawami?

Miło słyszeć. Czytało się kiedyś pisarzy latynoamerykańskich. Dla mnie dżentelmen to za dużo, bo ja nie jestem dżentelmenem. Baśka by powiedziała: słoma z butów mu wystaje, więc jaki z niego dżentelmen. I to prawda. Jestem zwykłą szarą, cichą myszą, ale taką, która okazuje się trudną do zabicia.

A pana portret metafizyczny?

W co pan wierzy, co pana pcha do przodu, co panu w duszy gra?

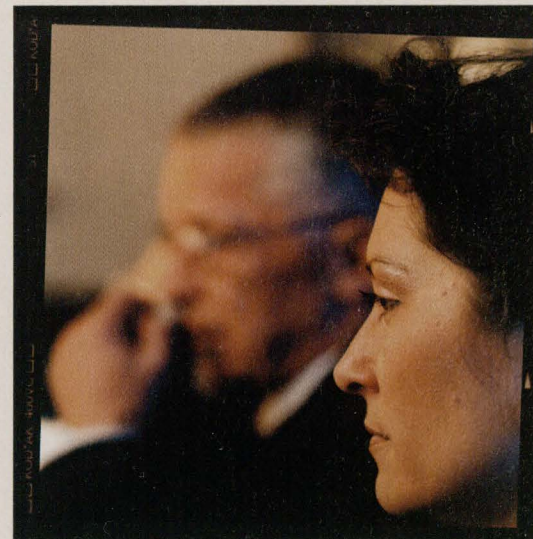
To się zmienia. Na przykład zanika ciekawość, co było kiedyś główną siłą i co jest motywacją naukowców, podróżników, kowbojów, dziennikarzy. Jest też żądza znaczenia, o której Wiktor Osiatyński mówi, że jest być może najważniejszą ludzką motywacją. Ale to wszystko jest jakby u mnie podszyte ostrożnością, tchórzostwem czy brakiem wewnętrznie wbudowanej odwagi, co jest właściwe różnym psychopatom. Np. gdy ktoś jest kompletnie pijany, to jest odważny, podobnie jak chory psychicznie czy wariat. I tej męskiej, zwierzęcej agresji nie miałem w sobie. Z czasem wszystko się przemieszało. Ciekawość była zaspokojona, żądza znaczenia znacznie osłabła. Dzisiaj marzę, żeby jeszcze pociągnąć parę lat z fajną rodziną, z piękną, miłą czwórka dzieci, z cudowną żoną. Dobrze mi jest w tym układzie. I właściwie nie chcę już żadnych zaszczytów, nie jestem ciekaw odkrywania, Internetu, komputera. Moje życie ułożyło się tak, że młodość była zwariowana, z zagrożeniami pijacko-kryminalnymi niemalże, ale wszystko się jakoś ułożyło. Potem 35 lat na uniwersytecie, a potem –

dzięki uniwersytetowi – służba u prezydenta, sława i wreszcie – pod koniec życia ta sława przemieniona w dobrą, solidną adwokaturę.

Wyznaje pan zasadę: niczego nie powinno się za bardzo chcieć, chcieć trzeba, ale letnio, średnio.

Brak ambicji, minimalizm, konformizm?

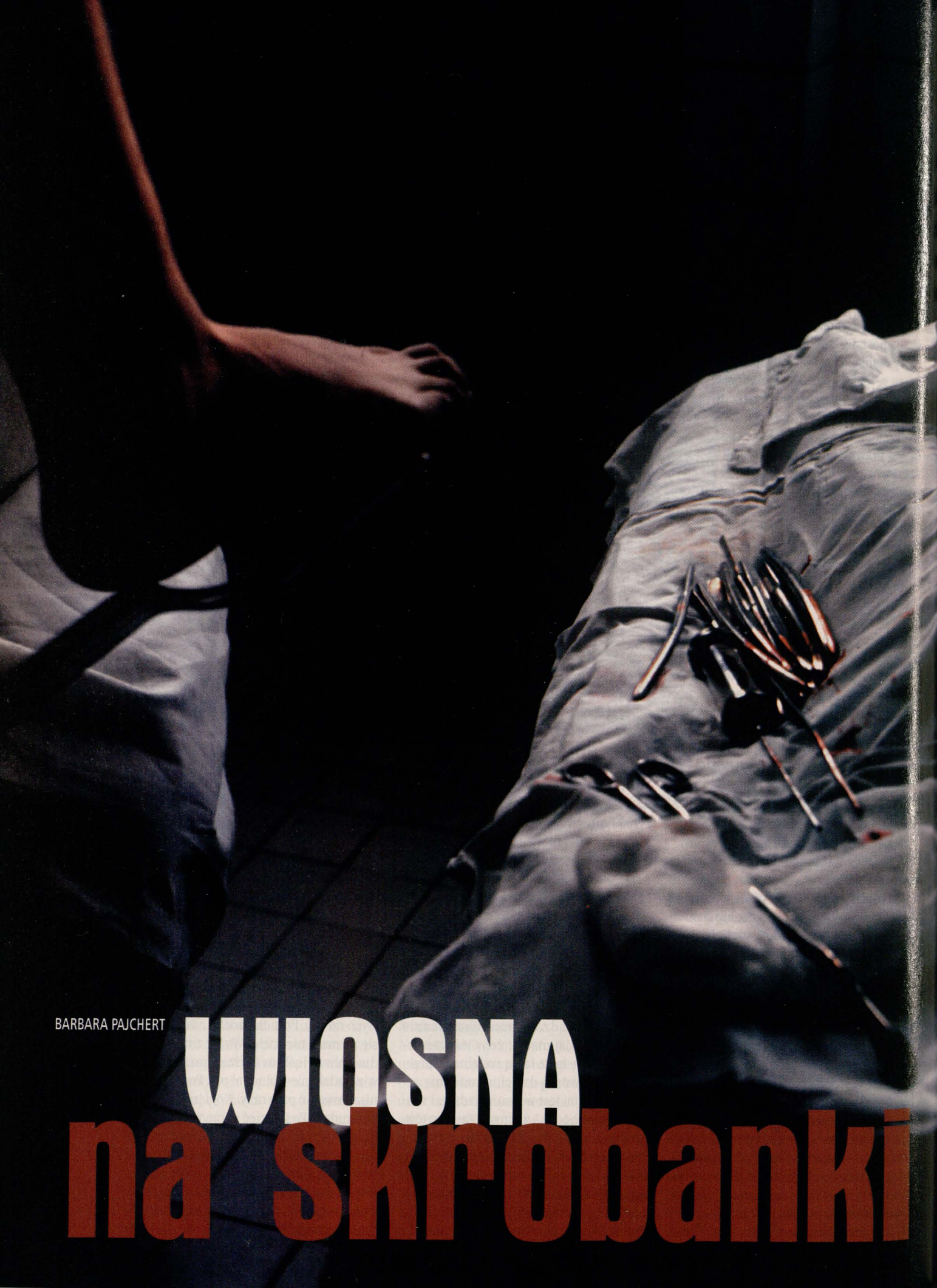
Chyba tak. Wyznaje starą, antyczną, trochę kantowską zasadę: każdemu na czym mu mniej zależy. To jest w pewnym sensie inna formuła zasady, którą można nazwać nieszkodliwym optymizmem. Trzeba chcieć lekko, a jak się tak chce, to można się podwójnie cieszyć, bo przecież mogło się nie udać. A ponieważ życie układa się według tej zasady, to po cholere się szarpać, skoro i tak dostanę to, na czym mi mniej zależy.



...z cudowną żoną Barbarą

Czego się więc jeszcze chce mężczyźnie prawie sześćdziesięcioletniemu, po przejściach, bez większych ambicji, profesorowi, rektorowi, adwokatowi, miłośnikowi Chandlera, owego mistrza męskiej melancholii, który wie, że działa w świecie problematycznych racji?

Uczciwie mówiąc, chce mi się paru prostych rzeczy. Pogadać trochę z żoną, żeby się na mnie nie darła. Wypić z nią jedno, dwa piwa, jeśli to będzie możliwe, bo w zasadzie nie wolno mi pić. Pograć w tenisa i wygrać parę razy. Nogi trochę bolą, ale trudno. Posiedzieć sobie w lesie i dobrze się wyspać, zanim się wybiorę na sen długi i nieprzerwany. Mówię sobie: człowiek płynął po burzliwym oceanie jak pirat jaki czy korsarz, ale znalazł sobie port, cichą przystań i nie ma już ochoty wypływać z tego spokojnego atolu. ■



BARBARA PAJCHERT

WIOSNA na skrobanki

Przez jeden dzień, dzwoniąc pod numery telefonów podane w prasowych ogłoszeniach, udało mi się umówić z pięcioma ginekologami na zabieg.

Nie zabieramy głosu w kwestiach moralnych. Dla katolika aborcja jest złem i nie powinna u niego wzbudzać żadnych wątpliwości. Wierząca kobieta, decydując się na usunięcie ciąży, popełnia grzech śmiertelny i naraża się na ekskomunikę.

W naszym kraju dokonywanie aborcji ze względów społecznych jest przestępstwem. Tymczasem szacunkowe dane publikowane co roku przez Federację na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny mówią o 40-50 tys. nielegalnych aborcji rocznie. Może jest ich mniej, może więcej. Ale są. Lekarze i kobiety łamią więc prawo.

Tymczasem Ministerstwo Zdrowia ogłasza, iż w ubiegłym roku wykonano tylko 18 zarejestrowanych zabiegów usunięcia ciąży i stwierdza, że to niewątpliwy sukces ustawy antyaborcyjnej z 1993 r. Urzędnicy ministerialni, a także obrońcy życia od poczęcia, nie chcą słuchać o aborcyjnym podziemiu. Ich zdaniem nielegalne aborcje to wymysł feministek.

Czy można odmówić?

Obskurnie i brudno. Na starych meblach gruba warstwa kurzu. W poczekalni, która kiedyś była może salonem, chłopak i dziewczyna. Smutni.

Adres tego gabinetu dostałam od działaczki organizacji kobiecej. Lekarz sprawdzony w boju. Skrobanki przeprowadza bez przerwy od 20 lat. Fachowiec.

- Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, ile niechcianych ciąż jest do usunięcia? Wiosną najwięcej. A ponieważ wiosna w tym roku przyszła wcześniej, to gabinety już się zapełniają - wyznaje, anonimowo oczywiście - lekarz ginekolog i położnik. To „położnik”, wytłuszczony na wizytówce, dodaje chyba dla zmylenia wroga.



Rok 1991 - demonstracja przed gmachem Sejmu RP.

- Czy można odmówić zrozpaczonej, młodej kobiecie, która dopiero rozpoczyna studia czy karierę zawodową? A tu trach i niechciana ciąża. Cały świat jej się wali. Wszystkie życiowe plany - mówi z troską pan doktor. - Jaki pracodawca chce kobietę w ciąży? A jako bezrobotna nie ma szans na godne życie i wychowanie dziecka. Gdyby jej się to przytrafiło w Niemczech, to mogłaby się nie martwić. Żyłaby z przyzwoitego zasiłku. Nie mówiąc już o krajach skandynawskich. Tam aborcje są legalne i przeprowadza się ich o wiele mniej niż u nas. Bo tam państwo o kobietę w ciąży dba. A u nas? Co czeka młodą i, niestety, często samotną, nie pracującą kobietę w ciąży? Dom Samotnej Matki? Zasiłek z pomocy społecznej?

W małej podkrakowskiej miejscowości wszyscy wiedzą, że pan ginekolog dorobił się na skrobankach.

Wszyscy wiedzą wszystko

- A za co te wille postawił? Za łapówki i skrobanki. To oprawca, nie lekarz. Antychryst jeden - denerwuje się stara kobieta. - Podobno ma drugi gabinet w Krakowie, w wynajętym mieszkaniu i tam robi te zabiegi.

Młodsze mieszkanki miasteczka nie chcą za wiele mówić o doktorze G., choć przyznają, iż nie raz słyszały, że „jakby co, to pewny adres”.

- To podobno bardzo dobry ginekolog. - Moja znajoma chodzi do niego i leczy się na bezpłodność.

- Byłam raz, ale nie podobał mi się. Świńskie dowcipy opowiadał i wyglądał trochę oblesnie.

Doktor G. Lat 54. Za konsultacje nie bierze nic. Nie każda kobieta może być jednak jego klientką. Jeżeli za bardzo się waha, mówi o wyrzutach sumienia, zabijaniu itp., doktor G. nie ryzykuje. Większość kobiet pojawia się jednak w jego gabinecie już po przemyśleniach. - Ja nie pomagam w podjęciu decyzji. Nie na tym polega moja robota - wyznaje doktor.

Głupie gęsi i doświadczone kobiety

- Opowiem pani taką historię. Przychodzi do mnie 19-letnia pannica. Po średniej szkole. Nie dostała się na studia. Nie pracuje. Nudzi jej się, więc się bawi. Jakaś dyskoteka, jakiś facet w samochodzie. Przychodzi zapłakana w ósmym tygodniu ciąży. Pytam, czemu się nie zabezpieczyli. A ona robi okrągłe oczy i mówi do mnie z wyrzutem: „Prezerwatywa? Przecież to grzech”. I szlag mnie trafia. A uprawianie seksu przed ślubem z dopiero co poznanym chłopakiem to nie grzech? A usuwanie ciąży też nie grzech? A ona znowu ryczy. „Jezu, to co ja mam robić? Ojciec mnie zabije. Ja chcę iść na studia, a nie niańczyć



FOT. PIOTR WOJCIK/AG 02, JUREK GUMOWSKI/AG

Aborcja jest złem – przypominają demonstracje w szacunków w Polsce przeprowadza się 45–50 tys. nielegalnych zabiegów rocznie.

dziecko” itp., itd. A niby wykształcona dziewczyna. Niby wie, o co chodzi i co do czego. I wpada. Oczywiście nie ma żadnej reguły. Przychodzą do mnie głupie gęsi i mądre, doświadczone kobiety. Z pierwszą ciążą i matki pięciorga dzieci. Dla jednych to dramatyczna decyzja, a dla innych jak zgniecenie muchy na szybie...

Doktor G. jest realistą. Widział w życiu wiele zła. I jest przekonany, że to, co robi, złem nie jest. Doktor G. do kościoła nie chodzi, ale księdza po koledze przyjmuje. Ze względu na rodzinę.

– A ksiądz przychodzi, bo wie, że zawsze dostanie ode mnie sporą sumkę na parafię.

Ksiądz słyszał, co ludzie gadają o doktorze G., ale uważa, że to z zawiści i z zazdrości.

Ginekolog – absolutnie wszystko

Dzwonię pod wskazany w ogłoszeniu prasowym numer telefonu komórkowego. Nie owijam w bawełnę.

– Sądzę, że to piąty tydzień. Może pan mi pomóc?

– Możemy spróbować wywołać okres. – Ale w jaki sposób?

– Przez telefon informacji nie udzielam. Możemy umówić się na spotkanie.

Kolejny telefon. Znowu męski, twardy, ale sympatyczny głos.

– To mamy problem – mówi lekarz. – Ale trzeba wszystko potwierdzić, zrobić badania. Musimy umówić się na wizytę.

Liczne ogłoszenia w prasie ogólnokrajowej i lokalnej lekarzy ginekologów i spółdzielni lekarskich potwierdzają istnienie aborcyjnego podziemia. „Usługi ginekologiczne – pełny zakres”, „Ginekolog – wszystko”, „Ginekolog najtaniej” czy „Ginekolog – absolutnie wszystko” – to naj-

częściej pojawiające się formułki. Po nich podaje się z reguły numer telefonu komórkowego, chociaż zdarzają się i stacjonarne. Ze względu na kilka uwiecznionych sukcesów akcji policji i prokuratury z zakładaniem lekarzom podsłuchów, rozmawiając przez telefon, zbyt wiele się nie dowiemy. Jednak pytania w stylu: „czy pani się spieszy?” albo „kiedy była ostatnia miesiączka?” wskazują na właściwy adres.

Po kilku spotkaniach i rozmowach znam już ceny i warunki, w jakich zabieg będzie przeprowadzany. Tylko w jednym gabinecie było idealnie czysto. W pozostałych warunki budziły moje wątpliwości. Ginekolodzy – sami faceci w średnim wieku. Wprawili się pewnie jeszcze w czasach, gdy aborcja w naszym kraju była legalna.

– Co, gumka pękła? – dowcipkuje jeden. Drugi przyznaje, że tyle tego zrobił, iż mógłby z zamkniętymi oczami. Trzeci sucho podaje cenę – 1500 złotych i za każdy tydzień w górę od 12 tygodnia 150 złotych dodatkowo.

Żadnej z tych rozmów jednak nie było. – W razie czego wyprę się wszystkiego – mówi lekarz i wbija we mnie wzrok.

W Warszawie stawki za zabieg są nieco wyższe niż w innych częściach kraju – około 2000 zł.

Z informacji Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny wynika, że usługi aborcyjne świadczone są głównie w dużych miastach, w mniejszych lekarze za bardzo się boją, że mogliby „wpaść”. Decydują się na wykonanie zabiegu tylko znajomym bądź kobietom poleconym przez znajomych.

Trzy kroki od granicy

Panie, których nie stać na wykonanie zabiegu w Polsce, wyjeżdżają do naszych

wschodnich i południowych sąsiadów, m.in. do: Lwowa (Ukraina), do Drusienika (Litwa), do Kaliningradu (Rosja), do Mińska (Białoruś), do Czech i na Słowację. O „wyjazdach” do Kaliningradu informowała wielokrotnie prasa. Koszt zabiegu jest tam stosunkowo niski (450 zł), ale warunki sanitarne bardzo złe i u kobiet często występują po zabiegu różnego rodzaju powikłania.

Usunąć ciążę można także w którymś z krajów zachodnich, ale znacznie mniej kobiet może sobie pozwolić na taki wyjazd. Zabiegi tam wykonywane są bowiem o wiele droższe. Polki wyjeżdżają najczęściej do Holandii, Niemiec, Belgii i Austrii. Cena zabiegu zależy od czasu ciąży i rodzaju znieczulenia, i waha się od 600 do 1900 DM.

Ocet i napar z blekotu

Kobiety najbiedniejsze i niewykształcone, które nie chcą urodzić dziecka, często próbują radzić sobie same. Posuwają się do kroków desperackich. Informacje na ten temat są jednak trudno dostępne. Szpitale z różnych względów informują zazwyczaj o przypadkach najbardziej drastycznych. Tylko anonimowo od lekarzy i innych pracowników służby zdrowia można usłyszeć, że nierzadkie są przypadki kobiet, które trafiają do szpitala na „dokończenie” wywołanego sztucznie poronienia.

Domowe metody spędzania płodu są przeróżne. Do najczęściej stosowanych należą: zażywanie znacznej ilości środków przeczyszczających, podnoszenie bardzo ciężkich przedmiotów, wkładanie do pochwy mydła, picie octu lub smarowanie nim narządów rodnych, nasiadówki ziołowe i gorące kąpiele. Prasa szeroko donosiła o przypadku

Grażyny X., matki trójki dzieci, która zmarła w wyniku wstrzyknięcia sobie do macicy, z pomocą męża, dużej dawki penicyliny.

Niekiedy kobiety, samotne i zrozpaczone, szukają pomocy i rady, pisząc do magazynów dla kobiet.

„Miałam cztery poronienia zrobione przez siebie samą, po czwartym poronieniu dostałam 40 stopni gorączki, drgawki, a później anemię złośliwą. Co zrobić, żeby wrócić do sił? Nie stać mnie na wykuwanie lekarstw. I co zrobić, żeby znowu nie zająć w ciąży? Dodam, że mój mąż jest alkoholikiem i zmusza mnie do odbywania stosunków”.

„Mam dopiero 17 lat. Już drugi miesiąc nie mam okresu. Chyba zaszłam w ciążę. Wiem, że istnieją domowe sposoby na to, żeby nie urodzić dziecka. Pochodzę z małej miejscowości i tu nie ma lekarza, który by mi poradził, co mam zrobić. Rodzicom nie powiem, bo się boję” – piszą, prosząc o radę.

Dr Anna Sierzpowska-Ketner, która odpowiada na listy kobiet za pośrednictwem tygodnika „Przyjaciółka”, zwraca uwagę także na drugą stronę medalu. Jej zdaniem wiele kobiet odczuwa „śmiertelny strach” przed ciążą i unika współżycia z partnerem, co prowadzi do małżeńskich dramatów, zdrad i ostatecznie rozbicia rodziny.

Bo pójdę do innej

Podobnie uważa znany psycholog Andrzej Samson. Jego zdaniem ustawa antyaborcyjna wywarła duży wpływ na życie polskich rodzin.

– Choć w naszym społeczeństwie seks był zawsze tematem tabu i postrzegano go jako źródło winy i grzechu, takie podejście do seksualności znacznie się pogłębiło od

czasu wprowadzenia ustawy antyaborcyjnej. Przede wszystkim sfera życia seksualnego jest traktowana nie jako źródło satysfakcji i przyjemności, lecz lęku i zagrożenia. Sfera ta przestała być już prywatną sprawą człowieka, stając się sprawą publiczną, z której trzeba się rozliczać, np. w kościele.

Samson uważa, że strach przed niepożądaną ciążą oraz stosowanie propagowanych przez Kościół rzymskokatolicki zawodnych, niestety, metod naturalnych zapobiegania ciąży, spowodowały zaburzenia w życiu seksualnym, polegające m.in. na unikaniu go, zwłaszcza przez kobiety, ze strachu przed ewentualną ciążą. Mężczyźni za to częściej niż kiedyś poszukują seksualnych wrażeń poza domem, często też straszą swoje partnerki tym, że „pójdą do innej”. Wydaje się, że ludzie współżyją mniej niż kiedyś i mniej, niż by tego pragnęli.

Psycholog obserwuje zjawisko patologizacji seksu, wzrostu przemocy seksualnej, pornografii i perwersji seksualnych. Strach przed niepożądaną ciążą jest taki silny również dlatego, że pacjentki, jako katolicy, powstrzymują się od stosowania środków antykoncepcyjnych innych niż naturalne, w których skuteczność nie wierzą. A więc, z jednej strony, nie korzystają ze środków planowania rodziny, z drugiej zaś – stosując środki zalecane przez Kościół – żyją w strachu przed ciążą. Te kobiety, które wbrew zaleceniom Kościoła stosują pigułkę lub spiralę i przyznają się do tego na spowiedzi, mają wielkie poczucie winy. To poczucie winy wielokrotnie się powiększa, gdy kobiety, które zaszły w niechcianą ciążę, decydują się na nielegalny zabieg.

ABORCJA W USTAWODAWSTWIE EUROPEJSKIM

W większości państw Unii Europejskiej aborcja jest legalna.

Istniejące ustawodawstwo jest jednak dość zróżnicowane – liberalne w Holandii, surowe w Portugalii i Hiszpanii.

DANIA – aborcja za zgodą lekarza jest dozwolona najpóźniej do 12 tygodnia ciąży – także z powodu trudnej sytuacji materialnej. Koszty zabiegu pokrywa ubezpieczenie.

FRANCJA – na życzenie kobiety znajdującej się w trudnej sytuacji materialnej aborcja może być przeprowadzona do 10 tygodnia ciąży. Przed zabiegiem konieczna jest jednak wizyta w poradni rodzinnej oraz pisemne potwierdzenie własnej decyzji, podjętej dopiero po tygodniowym zastanowieniu. Koszty zabiegu w 80 proc. pokrywa ubezpieczenie.

HISZPANIA – aborcja dopuszczalna jest w trzech przypadkach: jeśli ciąża jest wynikiem gwałtu – do 12 tygodnia, gdy zagraża zdrowiu i życiu kobiety – do 22 tygodnia i z powodu genetycznych wad płodu, potwierdzonych przez trzysobowe konsylium – w ciągu całego okresu ciąży.

HOLANDIA – aborcja jest legalna. Zabieg może być przeprowadzony do 24 tygodnia ciąży, koszt pokrywany jest przez ubezpieczenie. Choć ustawodawstwo aborcyjne jest bardzo liberalne, notuje się tu najmniej zabiegów – 10 na tysiąc kobiet.

IRLANDIA – aborcja jest całkowicie zakazana. W referendum w 1992 r. społeczeństwo odrzuciło propozycję dopuszczalności przerwania ciąży w przypadku zagrożenia życia kobiety. Natomiast opowiedziało się za dopuszczeniem dokonywania zabiegu poza granicami kraju. Każdego roku 4 tys. Irlandek (Irlandia liczy 4 mln mieszkańców) usuwa ciążę w Anglii.

WŁOCHY – ciąża może być przerwana w ciągu trzech pierwszych miesięcy, jeśli istnieją przyczyny medyczne lub społeczne. Przez cały okres ciąży aborcja jest dopuszczalna, jeśli zagrożone jest życie matki. Obowiązuje siedmiodniowy czas na zastanowienie. W szpitalach zabieg jest bezpłatny.

POLSKA – dopuszcza się aborcję w trzech przypadkach: zagrożenia zdrowia lub życia kobiety, gdy ciąża jest wynikiem gwałtu czy kazirodztwa i jeśli płód uległ „nieodwracalnym uszkodzeniom”. Usuwanie ciąży z innych powodów podlega karze do dwóch lat więzienia i dotyczy wszystkich osób udzielających jakiegokolwiek pomocy. Kobieta nie jest karana.



Wiec studentów – Uniwersytet Warszawski, marzec '68

MARZEC

BARBARA PAJCHERT

miesiącem wstydu narodowego

Marzec 1968 roku był jednym z najważniejszych przełomów w historii PRL

Najpierw wypuszczali aktyw robotniczy. Potem szła milicja. Moją koleżankę ze studiów przeczołgali, ciągnąc za włosy chyba ze sto metrów. Ja leczyłem całe lata odbite nerki – wspomina dziś uczestnik marcowych demonstracji w Krakowie.

Od 8 marca do 6 kwietnia zatrzymano „za udział w zajściach” 2725 osób. Większość wypuszczono po 48 godzinach. Przeciwno 98 osobom skierowano do są-

du akty oskarżenia. Uznano za winnych i skazano 80 osób.

Według prof. Andrzeja Paczkowskiego z PAN w Warszawie, badającego powojenną historię Polski, to, co zwykliśmy nazywać wydarzeniami marcowymi, rozegrało się na dwóch stykających się ze sobą płaszczyznach. Z jednej strony wydarzenia te były kolejnym przejawem sprzeciwu ludzi wobec rzeczywistości, w której żyli. Z drugiej – wynikały stąd, że system komuni-

styczny przeżywał wówczas okres pewnych poszukiwań i wewnętrznej transformacji.

Dyktatura ciemniaków

Frustracja środowisk intelektualnych narastała powoli od początku lat 60. Reformy, których spodziewano się po październiku 1956 r., zostały zahamowane. Nie było mowy o wolności twórczej. Pierwszym publicznym przejawem niezadowolenia był „List 34”.

Ludzie pióra protestowali przeciw brakowi papieru i cenzurze. Ostra reakcja władz nadała skromnemu protestowi rozgłosu. Kolejny protest wybuchł, gdy w styczniu 1968 r. zdjęto z afisza Teatru Narodowego Mickiewiczaowskie „Dziady” w reżyserii Kazimierza Dejmka.

– Nie ma dowodów, że była to prowokacja władzy, oczywiście poza prowokacją czysto ideologiczną. Po prostu ludzie odpowiedzieli na to, żeby w teatrach

grano właściwe sztuki, a publiczność klaskała tym spektaklom, którym trzeba klaskać, stwierdził, że dzieje się coś niedobrego, bo jest sztuka, która nie jest tak odbierana, jakby wypadało, by została odebrana – tłumaczy prof. Paczkowski.

Po ostatnim przedstawieniu, 30 stycznia, ponad 100 osób przemaszewowało z transparentami spod gmachu teatru pod pomnik Mickiewicza. Kilka dni później z Komitetu Centralnego poszły informacje do komitetów wojewódzkich o wydarzeniach w Warszawie i ostrzeżenia, że w niektórych ośrodkach uniwersyteckich mogą mieć miejsce jakieś wystąpienia”.

29 lutego odbyło się zebranie Warszawskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, na którym większością głosów przyjęto rezolucję potępiającą zdjęcie „Dziadów”. Wystąpienie Stefana Kisielewskiego o dyktaturze ciemniaków odbiło się w środowisku literackim szerokim echem. 4 marca zostają wyrzuceni z Uniwersytetu Warszawskiego Adam Michnik i Henryk Szlajfer, których uznano za prowodyrów manifestacji po ostatnim spektaklu „Dziadów”.

Bunt

8 marca na Uniwersytecie Warszawskim studencki wiec protestacyjny zostaje rozbity przez aktyw robotniczy i regularne jednostki milicji.

9 marca kierownicy Wydziału Nauki i Oświaty oraz Wydziału Organizacyjnego KC wysyłają do komitetów wojewódzkich informację o zająciach w Warszawie i zapowiedź, „iż władze zdecydowane są nie dopuścić do dalszych przejawów naruszania porządku na uczelniach warszawskich oraz wyciągnąć konsekwencje w stosunku do winnych zająć. Studenci, którzy organizowali zająć lub szczególnie aktywnie w nich uczestniczyli, zostaną w ciągu najbliższych dni relegowani z uczelni”.

11 marca dochodzi do pierwszych demonstracji poza stolicą –

w Krakowie, Lublinie, Gliwicach, Wrocławiu, Poznaniu i Łodzi. Akcja ulotkowa prowadzona jest w wielu województwach.

Po 12 marca studenckie demonstracje obejmują wszystkie większe ośrodki akademickie. Do Krakowa zostaje przerzuconych 800 funkcjonariuszy MO, do Gdańska 130, a do Poznania 80.

Studenci próbowali różnymi sposobami dotrzeć do środowiska robotniczego, m.in. w Gdańsku, Warszawie i Krakowie. Robotnicy nie odpowiedzieli na ich apele. Nie zastrajkowali. Ale, co zastanawiające, stanowili jedną trzecią zatrzymanych.

Ekipa Gomułki obawiała się, że robotnicy poprą studentów. Podczas przemówienia – w kwietniu, już po ustaniu protestów – Gomułka powiedział: „Groził wybuch kłótni”. Prawdopodobieństwo, że bunt studencki mógł stać się zapłonem do czegoś większego, było bardzo duże. Na Politechnice Warszawskiej studenci przygotowali tysiące butelek, hydranty i gaśnice, na wypadek, gdyby milicja próbowała wtargnąć do środka. Jednak dzięki wysokiej sprawności negocjatorów SB udało się wyprowadzić studentów z Politechniki bez większych przeszkód.

„Mosiek agresor”

Po śmierci Stalina władza zaczęła szukać dla siebie nowych

uzasadnień i wymyśliła komunizm narodowy.

W szeregach partyjnych dochodzi do czegoś w rodzaju walki pokoleń. Starzy komuniści blokują awanse młodym aparaczkom. W latach 1964–1965 młodzi zaczynają się jednak przebić (awans Mieczysława Moczara na ministra spraw wewnętrznych). Nie wiadomo, jakby to wszystko wyglądało, gdyby nie wojna sześciodniowa na Bliskim Wschodzie między Izraelem a państwami arabskimi na początku czerwca 1967 r. Spowodowała ona reperkusje polityczno-dyplomatyczne. Kraje bloku wschodniego zerwały oficjalne stosunki z Izraelem. Rozpoczęła się kampania propagandowa.

28 czerwca 1967 r. odbyło się posiedzenie kolegium Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, na którym postanowiono rozpracować „syjonistów”. MSW przygotowało listę 382 osób, które wyraziły czynnie swoje proizraelskie stanowisko. Było na niej 76 dziennikarzy i literatów, a także pracownicy administracji państwowej. Powstała specjalna grupa operacyjna, która rozpoczęła ciłą akcję w centralnych instytucjach państwowych i w wojsku. Zdaniem wielu historyków zajmujących się powojenną historią Polski wydarzenia marcowe stały się szansą, by z hasłami antysemitickimi wystąpić głośno.

Od 11 marca organizowano masówki w fabrykach. Być może to jest odpowiedź na pytanie, dlaczego robotnicy nie poszli ze studentami. Na masówce w Hucie Warszawa pojawił się transparent „Mosiek agresor”, a w FSO „Studenci do nauki, literaci do pióra”.

Pacyfikacja

Protesty trwały do początku kwietnia. Pacyfikację ruchu studenckiego władze uczelni osiągały za pomocą masowych skreśleń. Z Uniwersytetu Wrocławskiego usunięto 1553 studentów, z Warszawskiego – 1616. Przez cały kwiecień trwały represje. Za udział w manifestacjach skazano na kary więzienia 80 osób. Wielu uczestników wydarzeń marcowych zdecydowało się na emigrację. Życie w kraju było dla nich koszmarem. Jedni stracili pracę, inni zostali pozbawieni możliwości uczenia się. Oficerowie SB nachodzili ich przez całe lata.

Z kolei kampania antysemita spowodowała exodus ludzi bardzo różnie rozumianego „żydowskiego pochodzenia”. Wedle danych biura paszportów w półtora roku złożono 11 tys. 185 podań o emigrację. Wyjechali przede wszystkim pracownicy uczelni, dziennikarze, urzędnicy, studenci i lekarze.



TROCHE JAKBY

JULIUSZ BURGIN

– Nie widzisz, co się dookoła dzieje? – krzaczaste brwi prezesa wskazały za okno. – Zmarnujesz się, korzystaj z okazji, jedź. Świat przed tobą.

umrzeć

W czasie pomarcowej hecy 1968 r. prezes specjalnie nie wychylał się z głośnymi oświadczeniami i u niego chyba najdłużej przechowali się pracownicy „z pochodzeniem”. Choć było już po przemówieniu towarzysza Wiesława w Sali Kongresowej, prezes zachowywał dobre maniery. Nawet kiedy trzeba było zwolnić „syjonistę”, wołał, żeby sam się zwolnił. Prawie trzy lata wcześniej dostałem się do radia. Za protekcją. Takie posady na całym świecie zawsze się dostawało i dostaje się przez protekcję. Byłem szczęśliwy. Praca była żywa, ciekawa, koledzy nietuzinkowi. Moje nazwisko padło z anteny wraz z tytułem „redaktor”, wierszówki wyrabiałem bez trudu i zarabiałem całkiem nieźle pieniądze.

Tak byłem zajęty moim „Popołudniem z młodocianością”, że ani zauważyłem, co się święci. A tu tak: sześciodniowa wojna izrael-

sko-egipska i bezprecedensowy tryumf żydowskiego państwa. A Izrael to Ameryka, Wielka Brytania, Zachód. Zimna wojna wciąż trwała. W kraju najwyższe władze partyjne i państwowe w bólach rodziły wspólną linię partii i narodu.

Ślub na antenie

– Kiedy się pobieracie?

– Nikt się nie pobiera, szefowo.

– Ale gdybyście się pobierali, to chcę wiedzieć tydzień wcześniej. Zrobię wam ślub na antenie.

Miała zmysł. Ślub, na antenie, ulubionej prezenterki z redaktorem popularnego programu to był świetny pomysł.

Ślub był drugiego marca. Po tem przesłuchiwałem kasety z własnym ślubem i wyglądało tak, jakby to prezenterka tylko za małą wyszła i już. Męża w audycji praktycznie nie było. Biedna szefowa musiała się tego nagimnastykować, żeby to jakoś tak zmontować.

Tuż po ślubie znalazłem się w szpitalu. Kiedy wyszedłem po miesiącu, było już po wstępnych łomotach studentów z milicją i ludzie przemykali z głową głęboko w ramionach. W radiu pracownicy biegali na liczne zebrania. Wstęp był nie dla wszystkich, a ci, co wychodzili, opowiadali półsłówkami, co się tam działo. Gabinety szefów obleżone były jak nigdy przedtem przez ubiegających się o rozmowę. Z mediów lał się jad. Znałem dotąd nielicznym żydowskie nazwiska nagle znalazły się ustach całego kraju. Nawet metalowiec z Chorzowa wygrażał w telewizji nie znanemu sobie Blumsztajnowi, że on mu nie pozwoli, a rolnik z lubuskiego dodawał, że on nie potrzebuje tutaj takich i niech się Blumsztajny stąd zabierają.

Kryjówka w rolnej

Szefowa stanęła twarzą do okna, tyłem do mnie, i powiedziała:

– Dla twojego dobra przenoszę cie do rolnej.

– Ja nie rozróżniam nawet czterech zbóż.

– Nie dało się inaczej. Zgłoś się do naczelnego rolnej. On już wie.

I zaczęło się idiotyczne pół roku w rolnej. Mój udział w niej nikomu nie był potrzebny. Nawet o godz. 5.45 było teraz w audycjach rolniczych tyleż o Żydach, do których to tematów nie byłem dopuszczany, co o rzepaku, o którym nie miałem pojęcia. Z trudem wyrabiałem wierszówkę. Redaktor dnia pogardzał mną. Naczelną ledwo mnie tolerował.

Rozhuśtane morze wrogów i skulone grupki ofiar, a między nimi partia wykonująca wolę i żądanie narodu. Tak było w mieście, a sądząc z mediów – i w całej Polsce. Zwolnienia sypały się jak liście jesienią. Rozpadały się i przedstawiały funkcjonować departamenty, gremia, wydziały i zespoły. Tak były zażydzone, niedwuznacznie głośił komentarz. Cho-

dziły słuchy o zapaściach i atakach serca podczas zebrania, na których wykluczano, skreślano i usuwano. Były światłe, próżne protesty i szlachetne rezygnacje.

Zaczęły się eksmisje z przysługujących stanowiskom metraży. Szmalcownicy rozpoczęli sezon łowiecki na posady i mieszkania. Na „pożydki”, jak się mówiło. Zaczęły się szykany urzędowe. Choć w kraju ferment i bałagan, ludzie z pochodzeniem musieli mieć wszystko w porządku. Nagle biblioteki zażądały zwrotu książek i groziły karą, ADM ni stąd, ni zowąd domagała się atestu technicznego garażu zbudowanego przed laty i groziła karą, z opłatą za telewizor nie wolno było spóźnić się ani o dzień. A na niektórych podwórkach dzieciarnia blond zaczęła łać dzieciarnię czarnowłosą.

Rozstania na Gdańskim

Wezwał mnie naczelną rolnej i oznajmił:

– Zbieraj manatki. Ktoś ci załatwił miejsce w redakcji zagranicznej.

Serce mi podskoczyło. Kraje kapitalistyczne lepsze niż naczelną i nawozy potasowe. Tym bardziej że szefowa „Popołudnia z młodocianością” też już była wysiudana i zahaczyła się jako naczelną zagranicznej.

– Pójdiesz do redakcji niemieckiej – powiedziała naczelną na dzień dobry.

– Ale szefowo, ja tylko guten morgen.

– Ale robisz dobre audycje. Tu się i tak wszystko tłumaczy, cenzura musi mieć po polsku.

Gorset cenzury w redakcji zagranicznej był luźniejszy, bo do uszu polskiego słuchacza to w ogóle nie docierało. Kiedy w polskiej audycji padło w owym czasie nazwisko redaktora, dajmy na to, jakiegoś Rosenbauma, to od razu było źle i dla wszystkich niebezpiecznie. A w krajach kapitalistycznych, nawet jeśli NRD zahaczała o nie językowo, taki Rosenbaum nie robił żadnego wrażenia. No i dzięki postawie kierownictwa resortu redakcja zagraniczna stała się kolejną przechwalnią trefnego bagażu

ludzkiego. Nawet muzyczna była już wyczyszczona.

Z czasem i z zagranicznej zaczęli wyjeżdżać. Rozpoczęły się dramatyczne rozstania na Dworcu Gdańskim.

Ojciec wypatrzył pod domem tajniaka. Stary przypomniał sobie dawne konspiracje i rozbawiony opowiadał, jak udało mu się zgubić szpicla na mieście. Ale po godzinie szara Warszawa stała pod oknem i ojciec z matką szli rozmawiać do łazienki, odkrywając kran nad wanną. W nocy palili jakieś papiery i topili w sedesie. Mama była cieniem człowieka i choć jest z rodziny katolickiej, jej zmęczone oczy patrzyły smutkiem jidysze mame.

W rodzinie mojej żony (obustronnie żydowskiego pochodzenia) mówiło się wprost o konieczności wyjazdu. Pytanie było tylko, kiedy i dokąd. Dom pełen był gości, tych już spakowanych i tamtych pakujących się. Wszyscy opowiadali, co im się przydarzyło w radzie narodowej, w administracji mieszkań, w urzędzie takim, w urzędzie siakim, bo wszędzie trzeba było mieć do wyjazdu pieczęć.

Telewizor grał bez przerwy. Media zalewały ogromem obcego, wrogiego zła, było o piątej kolumnie, demaskowano prawdziwe, żydowskie nazwiska złoczyńców, były transmisje z wieców groteskowych, ześlonych rolników i inteligencji pracującej. Powszechność tych wieców i rosnąca agresja przerażała. Przygnębieni oglądaliśmy wiece, hasła i zebrania. Za chwilę wybuchła w stołowym wzmrożona wrzawa. Moja żona strzeliła dłonią w stół i krzyknęła:

– Ja mam tego dosyć! Nerwów, strachu, tego zaduchu. Jestem młoda i chcę w świat. Emigruję.

Na drugi dzień naczelną powiedziała, że prezes wzywa mnie na 9.30.

– Niczego dobrego się nie spodziewaj, ale nie bój się go.

Sztywnawy dokument podróży

Więc wyjeżdżam, emigruję. W domu teściów podniecenie,

krzątania, załatwiania, obcinanie luźnych końców, plany na przyszłość. Oni tylko czekają na nasz bezpieczny wyjazd i dojazd do Szwecji i sami też jadą. Do Izraela. Ciągłe jest pełno ludzi, już jakby w drodze. Jest tysiąc rzeczy do zabrania, do spakowania. Pozwolono nam na półtorej tony. Brutto. Jest tysiąc spraw do załatwienia. Zdać mieszkanie, sprzedać garbusa i inne niepotrzebne, polikwidować to i owo, wypisać się stąd i stamtąd, zaświadczenia, potwierdzenia, zgody, stemple, znaczki skarbowe, okienka.

– Z jakiego powodu? Tu pan nic nie wypełnił.

– No, ja emigruję.

– No to pisać: z powodu emigracji. Do?

– Oficjalnie?

– No pewnie, że oficjalnie. To dokąd?

– Do Izraela.

– Co pan tam mruczy? Dokąd? Cała kolejka patrzy na mnie.

Jeden pan pociera jednoznacznie kciuk o palec wskazujący, jedna pani kiwa z litością głową, reszta jest neutralna.

Potem przygoda z cłem. Żmudne rewizje i kontrole bagażu, przeglądanie zabieranej biblioteki, przerzucanie fotografii, publikacji. Podlizywanie się celnikom, tu zabrakło zaświadczenia, odprawa odkłada się.

Choć jest wreszcie za nami. Mieszkamy kątem u moich rodziców, bo mieszkania już nie mamy.

Przyszła kolej na wymianę dowodu osobistego na Dokument Podróży, upokarzający kartonik. W odróżnieniu od wszystkich innych dokumentów podróży ten stwierdzał, kim posiadacz niniejszego nie jest. Nie jest polskim obywatelem.

W którymś urzędzie milicji podetknięto mi wydrukowany na powielaczu karteluszek. Był oderwany, tak jak odrywane są z książki poświadczenia nadania paczki.

– Proszę wypełnić w miejsce kropek... Co pan pisze!? Zmarnował pan formularz. Proszę drugi. Tu wpisać Izrael.

– Przecież ja jadę do Szwecji. Proszę, promesa wizy, kwity bagażowe, bilety do Sztokholmu.

– Tak jest, ale chcesz pan wyjechać?

– Nie tyle chcę, co muszę.

– To nie moja broszka. Jak pan chcesz wyjechać, na przykład do Szwecji, to pisz pan Izrael. Inaczej nie wydać dokumentu i zostajesz pan.

Czytam dalej: „... bo jestem Żydem i czuję związki z narodem i kulturą żydowską?”

– Panie, jakie związki? Nie jestem religijny i nawet nie umiem jidysz.

– Nie zabieraj mi tu pan czasu! No już, podpisane? W porządku. A pan żeś chciał mieć podpisane związki, a jechać do Szwecji? Trochę logiki. Teraz proszę zdać dowódzik osobisty.

Podstemplował kwitek z „wyznaniem wiary” i schował go do szuflady, skąd wyciągnął nowiutki, sztywnawy Dokument Podróży.

Nie ma odwrotu. Te parę tygodni do wyjazdu, we własnym kraju, gdzie się urodziłem i wyrosłem, jestem absolutnie nikim. Jestem zupełnie bezbronnym, bo jako Polak nie mam w Polsce praw do niczego, jako bezpaństwowiec też nie. Miałem uczucie, że dzieje mi się ogromna krzywda. Została postawiona jakaś gruba krecha, której nie chciałem. Nie chciałem tracić pasjonującej pracy w radiu, nie chciałem opuszczać na Bóg wie ile, może na zawsze, ukochanych miejsc i ludzi, nie chciałem rozstawać się z rodziną. I niczym sobie na to nie zasłużyłem.

Potem był Dworzec Gdański i tym razem my w pociągu, a oni na peronie. Dwie niejednakowe grupy.

– Do rychłego zobaczenia – pokrzykują jedni. – Jak się urządzicie, piszcie do nas do Tel Awiwu, do San Francisco, do Wiednia.

Lokomotywa gwizdże. Stoimy w drzwiach, żeby się dobrze widzieć. Milkną głosy, trzaskają zamknięte drzwi wagonów. Coś mi ściska pierś, mocno, boleśnie. ■



BUNT w domu Wielkiego Brata

**Dziennikarze zaproszeni
do udziału w programie TVN
odmówili donoszenia
na kolegów**

Dziesięcioro dziennikarzy z całej Polski miało spędzić dwie doby w domu, gdzie wkrótce zamieszkają bohaterowie „Wielkiego Brata” – najnowszej produkcji TVN. Zgodzili się na obecność kamer w sypialni, pod prysznicem, a nawet w ubikacji. Poddawali się poleceniom Wielkiego Brata do momentu, gdy kazano im na siebie donosić.

Inicjatorem buntu był Wojciech Markiewicz z „Polityki”. Tak jak pozostali, skorzystał ze złożonego przez producentów programu zaproszenia, by spędzić 48 godzin w warunkach, na jakie „prawdziwi” bohaterowie będą skazani przez 100

dni emisji. Prawie wszystko miało być takie jak w serialu – a więc 30 wszechobecnych kamer, podczipione do ubrań mikrofony, których nie można było wyłączyć, zadania podawane zza ściany głosem Wielkiego Brata.

Wszystko skończyło się po 20 godzinach. Wtedy właśnie uczestnicy sesji dostali zadanie złożenia w specjalnym pokoju wyznań – konfesjonale – donosu na dwóch wybranych kolegów. Ci, którzy otrzymają najwięcej negatywnych głosów, mieli zostać wydalen z domu.

Dlaczego pan chce być inny

Markiewicz odmówił. Wezwano go do konfesjonale. – Powiedziałem, że to już nie jest zabawa i nie będę donosił. Wtedy głos zza kamery z ubolewaniem zapytał: „Panie Wojtku, dlaczego pan chce być inny?”. Przecież każdy z nas chce być inny, tymczasem realizatorzy Wielkiego Brata chcieliby, aby wszyscy byli tacy sami. Po tej rozmowie kazano mi w ciągu godziny opuścić dom.

– Wbrew wcześniejszym zapowiedziom nie powiadomiono nas dokładnie o regułach, nie odbyło się spotkanie przygotowawcze, praktycznie prosto z hotelu w Sękocinie pojechaliśmy do domu Wielkiego Brata – wspomina Markiewicz, dodając, że jeszcze w hotelu organizatorzy zapewniali, iż nie wykorzystają do emisji zdjęć nakręconych w domu, a przed wejściem do budynku dziennikarze musieli podpisać dokument, że zgadzają się na publikację zdjęć z pobytu. Musieli też oddać zegarki, telefony, dyktafony, aparaty fotograficzne, a nawet kartki i długopisy.

Czy lubisz się rozbierać?

Przed przyjazdem do Sękocina dziennikarze musieli odpowiedzieć telefonicznie na około 20 pytań dotyczących przeważnie spraw osobistych. Wszystkich pytano o preferencje seksualne. Małgorzata Borkowska z „Trybuny” pamięta pytania o to, jaki pija alkohol, którą część swojego ciała lubi najbardziej i czy zażywa narkotyki.

Marcin Kącki z „Gazety Poznańskiej” musiał odpowiedzieć, czy ma skłonności do publicznego obnażania się – np. przed kamerą. Ten test traktowali z humorem – nie odpowiadali poważnie.

W domu Wielkiego Brata zastali dwie sypialnie – damską i męską, salon i spiżarnię z barkiem zaopatrzonym w 50 puszek piwa, trzy butelki czystej wódki i kilka flaszek wina niewiadomej marki. – Do domu weszliśmy po południu, po rozpakowaniu się siedliśmy za stołem i czekaliśmy na rozwój wydarzeń, trochę piliśmy – opisuje Kącki. Czuli, że są obserwowani – zza ścian dobiegał szum poruszających się na wózkach kamer.

– Niewiarygodne, jak szybko człowiek przyzwyczaja się do tego, że jest obserwowany. Po dwóch godzinach zapomnieliśmy o kamerach i mikrofonach – dodaje Borkowska. – No, może poza toaletą – uzupełnia inny dziennikarz. – Chociaż niby mieliśmy gwarancję, że nasze intymne ujęcia nie zostaną wykorzystane, to jednak strasznie krępowało. Przecież z drugiej strony podglądała nas cała ekipa. Kamera ustawiona była dokładnie naprzeciwko muszli klozetowej. Z sikaniem, zwłaszcza mężczyzn, to jeszcze pół biedy, ale tzw. dużą potrzebę przetrzymałem i doniosłem do domu.

Kamery były też pod prysznicami, o czym uczestnicy eksperymentu przekonali się rano. Na noc przypięte do ubrań mikrofony należało, włączone, zostawić pod łózkami.

Głos zza ściany

Pierwszy – i jak się okazało ostatni – wieczór w domu Wielkiego Brata przyniósł tylko jedno zadanie. Każdy dziennikarz miał przed kamerą zaśpiewać wybraną piosenkę – w tym celu w salonie znalazł się sprzęt do karaoke. Jednak po dwóch pierwszych utworach wysiadły bezpieczniki.

Marcin Kącki: – Nie wiedzieliśmy, która jest godzina, więc siedzieliśmy do oporu. Z nudów parodiowaliśmy programy TVN – „Milionerów” i „Wybacz mi” – pamiętam, że przy „Milionerach” głos zza ściany jakby się zaśmiał. Chyba mu się podobало.

Na kolację były szaszłyki. O posiłkach informował głos zza ściany. Pojawiały się w kuchni, pod nieobecność bohaterów, podawane przez rozsuwaną ścianę.

Rano, żeby dostać śniadanie (sałatki, kanapki), dziennikarze musieli oczyścić

Podglądani przez całą dobę:



...przy stole



...w sypialni



...w łazience



...w pokoju zwierzeń, zwanym konfesjonalem

ze śniegu ganek. Potem nudzili się. Ze znalezionej w spiżarni stolnicy zrobili planszę do warcabów. W roli pionków wystąpiły baterie i kostki cukru. W południe Małgorzatę Borkowską wezwano do pokoju zwierzeń. W nieprzytulnym, wyłożonym czerwoną tkaniną pomieszczeniu stała tylko kamera i żółte krzesło, a na nim koperta. Dziennikarka dowiedziała się, że w kopercie jest zadanie, które ma odczytać grupie.

Małgorzata Borkowska: – Kiedy to czytałam, poczułam się strasznie. Każdy z nas miał pójść do pokoju zwierzeń i wyeliminować dwie osoby spośród kolegów. Czegoś takiego nie było w programie.

Koniec zabawy

Dziennikarze stwierdzili, iż każdy doniesie na dwie inne osoby i w ten sposób nikt nie dostanie większości głosów, i nie będzie wyeliminowany. Tylko Markiewicz oświadczył, że ma dosyć zabawy i nie poda żadnych nazwisk. Pierwszy do pokoju poszedł Paweł Łukasik z Radia Zet. Po powrocie głośno powiedział kolegom, jakie podał nazwiska. Wywołało to reakcję Wielkiego Brata, który upomniał, że nie wolno mówić o tym, co powiedziało się w konfesjonale. Inny dziennikarz podał fikcyjne imiona.

Po pewnym czasie głos Wielkiego Brata oznajmił, że Markiewicz nie chciał się podporządkować i będzie musiał opuścić dom.

Po chwili konsternacji jeden z dziennikarzy stwierdził: „Wychodzimy z Wojtkiem”. Grupa przeprowadziła głosowanie. Wszyscy postanowili przerwać grę. Małgorzata Borkowska mówi, że gdy decyzja zapadła, zniknęła atmosfera napięcia i wrócił normalny, przyjazny klimat.

Zapanował nastrój happeningu. Ktoś zrobił ze starego worka transparent z hasłem „Jesteśmy z Wojtkiem”, inni wymachiwali plastikowymi nożami lub wznosili dłonie układając palce w „V”. Sformuławszy pochód, opuścili dom Wielkiego Brata. Wojciech Markiewicz był mile zaskoczony postawą kolegów. Próbował tłumaczyć im, że to jego indywidualna decyzja i nie będzie miał pretensji, jeśli zostaną. Usłyszał, że nie zrezygnują, chociażby po to, żeby w „Trybunie” ukazał się tytuł: „Solidarność zwyciężyła”.

WOJCIECH CZUCHNOWSKI

NOTKI i plotki

BARBIE I KEN wystąpią w filmie. I to nie byle jakim, bo pełnometrażowym, animowanym. Plastikowa para „zagra” główne role w „Dziadku do orzechów” Piotra Czajkowskiego. Muzykę wykona



Londyńska Orkiestra Symfoniczna. Choreografię opracuje Peter Martins – dyrektor New York City Ballet. Film (tylko w wersji wideo) pojawi się w październiku.

BRITYJSKI dentysta w moskiewskim zoo. Peter Curtis przyleciał tam, by zbadać kły 10 morsom. Na wolności te zwierzęta ryją w morskim dnie, by znaleźć tam ulubione mięczaki. W ogrodzie zoologicznym dno basenu jest betonowe, dlatego morsy cierpią na stany zapalne. W kwietniu do Moskwy przyleci ekipa Curtisa i przeprowadzi stomatologiczne operacje. Ich koszt wyniesie około 20 tys. funtów.

DEGRADACJA do stopnia szeregowca i obniżenie pensji. Taka kara spotkała Robertę Winterton, 20-letnią kapral służącą w brytyjskiej armii. „The Sun” opublikował jej zdjęcia, na których pokazuje nagie piersi. Jeszcze raz i koniec wojskowej kariery – grozi Robercie dowództwo. Tymczasem dziewczyna otrzymała już mnóstwo innych ofert pracy.

W TOALETACH austriackich zakładów produkujących samochody przemalowano wszystkie ściany. W męskich na jasnoróżowo, a w damskich na zgniłozielono. Pracownicy spędzają teraz mniej czasu w tych przybytkach. Dzięki temu wydajność ich pracy wzrosła o 8 proc.

DWA miliony dolarów dla Billa Clintona za reprezentowanie chińskiej firmy odzieżowej „Fapai”. Przedsiębiorstwo specjalizuje się w produkcji ubrań dla mężczyzn i chce, by były prezydent USA został jego „ambasadorem wizerunku” na świecie. Rzecznik prasowy firmy potwierdził: Clinton jest gotów przedyskutować ofertę bezpośrednio z dyrektorem.



HANNIBAL Ridleya Scotta w dziesięć dni od premiery zarobił ponad 100 mln dolarów. Kontynuacja „Milczenia owiec” to pierwszy w tym roku film, który przyniósł taki dochód.

LODOWIEC na Kilimandżaro zginie za 15 lat – twierdzą naukowcy z Uniwersytetu Stanowego Ohio. Od 1912 r., kiedy dokonano pierwszego pomiaru lodowca, jego powierzchnia zmalała o 80 proc. Podobne zmiany zaobserwowano w Tybecie, Andach i Alpach. Na razie nie są zagrożone lodowce w Norwegii.

PRZECIWKO opuszczeniu aresztu protestuje 62-letni Hiszpan. Urodził się w więzieniu, gdzie wyrok odsadywała jego matka. Większość życia spędził za kratkami, a współwięźniowie i strażnicy to jego prawdziwa rodzina. – W więzieniu jest mi bardzo dobrze i mam nadzieję, że wsadzą mnie do niego wkrótce, ponieważ muszę przeciwieństwo z czegoś żyć – wyznał buntownik.



myśli LUDZI WIELKICH, ŚREDNICH I MAŁYCH

Popularność to plaga... Gdziekolwiek pójdę, gapią się na mnie jak na idiotę, czcąc królewską rodzinę lub zwierzę w zoo. A zwierzętom w zoo zdarza się umierać, a tego, że ludzie się na nie gapią.

Igor Strawiński

Najwięksi urogowie, z którymi muszę walczyć, są w nas.

Cervantes

Robić dwie rzeczy naraz, to nie robić żadnej.

Publius Syrus

Coś takiego mógł wymyślić tylko mężczyzna!

Krecia P.

Kiedy na nasze pytanie odpowiada ekonomista, przestajemy rozumieć pytanie.

André Gide

Moralizatorskie kazanie artysty ma w sobie zawsze coś komicznego.

Tomasz Mann

Nawet na fałszywe pytania życie odpowiada prawdziwie.

Ślawian Trocki

Przyjaśń psa jest najbogatsza: łączy miłość, wierność i lojalność.

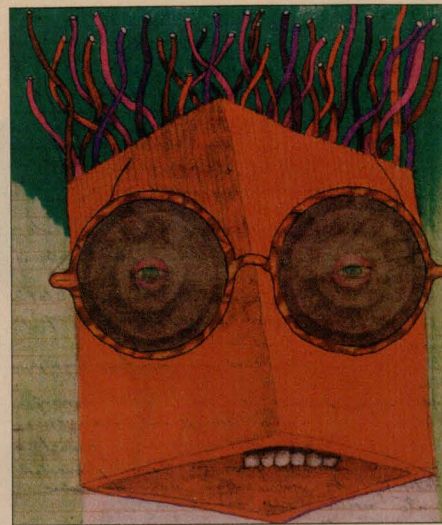
Fafik

Myśli zebrała Stella Varcaby

OPOWIEŚCI PANA Z SOPOTU

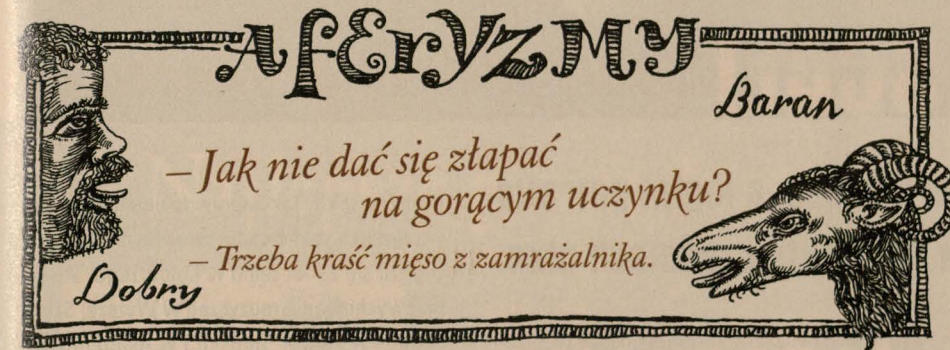
Jegomość z Zamościa zjadł zupe na kościach. Zupe gęsta, tłusta, pożywna, gdyż uważał, że ta wszechwładna pożywność pozwoli mu podnieść się z krzesła, odsunąć talerz od siebie, wytrzeć usta w serwetkę, sięgnąć po portfel, by uiścić należytą opłatę za wyżej wymienioną zupe, na kościach wołowych, kelnerowi zgietemu wpół przed jegomościem i mieć na tyle siły, by opuściwszy restaurację, podjąć się innych czynności do czasu, gdy nie wypali się energia zupiana, a wtedy przyjdzie czas na następną zupe, która pomoże mu funkcjonować dalej, do czasu spożycia kolejnej zupy.

Miedzy zupami jegomość z Zamościa cerował skarpetki, pocieszał skruszonego krwiopiję, zamieniał ulicę sąsiadom, przykrywał misternie resztkami włosów świecącą łysinę, czynił znaczne poprawki w fizyce, które to poprawki wysyłał do największych uniwersytetów. Utrzymywał się z renty, zmietoszał mosty, ozonował siebie i okolice ku ucieście ekolo-



gów, rozcierał bolące stawy i powoli, powoli tracił energię. Wtedy to, korzystając z jej resztek, udawał się na kolejną zupe na kościach wołowych, by móc rzeško stanąć do następnych zadań.

FELIKS CHUDZYŃSKI



„Wyteż wzrok i co tam jeszcze masz”

Wyteżając wzrok oraz umysł, przypatrz się załączonej fotografii i postaraj się odpowiedzieć na poniższe pytania. Jeśli pierwsze okaże się za trudne, weź się za drugie, itd. Gdyby wzrok lub pamięć Cię zawiodły, pozostaje jeszcze pytanie pocieszenia.

SEJM PRL

- Pytanie nietrudne: gdzie jest generał?
- Pytanie całkiem łatwe: gdzie jest marszałek?
- Pytanie podchwytliwe: gdzie jest jakaś fajna laska?
- Pytanie tendencyjne: gdzie siedzi opozycja z KOR-u i KPN?
- Pytanie bardzo trudne: gdzie jest w tym wszystkim jakiś sens?



Generał jest w pierwszym rzędzie, na razie bez okularów, bo do 13 grudnia zostało jeszcze półtora roku. Marszałek (senior) – Jerzy Ziętek. Opozycja siedzi w więzieniach, aresztach lub w domu. Na bardzo trudne pytania nie ma łatwych odpowiedzi. Bez pomocy lupy i wyobraźni! Jedyną fajną laską, jaką można tu dostrzec, jest laska marszałkowska.

ABECADŁO Myszkina

QQ, Galeria – od 1988, w piwnicy przy Rakowickiej 21; założona i prowadzona przez Cezarego Woźniaka, Krzysztofa Klimka i Łukasza Guzka. Od 1994 na poddaszu przy Mehoffera 2 – prowadzona przez Łukasza Guzka.

Pokazy: ARF ARF, Bacon, Balewska, Bałdyga, Berdyszak, Blittersdorff, Borkowski, Brand, Bujak, Chawiński, Connolly, Dawicki, Deimling BBB, Di Ricco, Fodczuk, Gentile, Gleason, Górecki, Goris, Haettenschweiler, Hojda, Huber, Hunter, Jończyk, Kajka-Pyś, Kaźmierczak, Kieferling, Kjaer, Klimek, Konieczny, Krauss, Kubiak, Kwaśniewski, Lindman, Lonne, Lucy, Łazikowski, Łuczyński, MacLennan, Maroń, Mazur, Mikołajczyk, Napolski, Neumann, Peretti, Piekarczyk, Potocka, Riedl, Ristovski, Robakowski, Rylke, Sadowski, Serafin, Skapski, Sobczak, Sot, Stitt, Sugar, Szoska, Śmigiel-ska, Świdziński, Tajber, Tegala, Türkauf, Urban, Urban, Vaara, Wyrzykowski, Zolny.

Moim zdaniem – Galeria QQ powstała z opozycji wobec instytucjonalnego prezentowania sztuki. Jakiej sztuki, to było oczywiście dla założycieli QQ ważne, ale – powiedziałbym – nie najważniejsze. Jak być instytucją obok instytucjonalizacji, to objaśnia tekst #6 kuratora Galerii z 1999, przywołujący ideę „uczestnictwa jednego świata w innym”. Bo galeria jest instytucją, i aby uniknąć instytucjonalizacji, nurza się w sztuce – takiej, która nurza się w sprawach świata tego. I to jest ważne. A QQ zanurzenie aktualne w Internet może być ważne. To zobaczymy.

MYSZKIN





POLAK W LA SCALI

Śpiewając, oddycha jak w jodze, a jogini potrafią koncentrować oddech na dwunastu częściach płuc.

TOMASZ KRZYSICA, ubiegłoroczny absolwent Akademii Muzycznej w Gdańsku, wygrał międzynarodowy konkurs operowy Teatru Rosetum w Mediolanie. Kontrakt w La Scali to nagroda dla laureata. Rywalizował z 119 śpiewakami z całego świata.

— Po ukończeniu akademii w Gdańsku dostałem telefony kilkudziesięciu agencji wokalnych w Szwajcarii, Niemczech, Austrii i Włoszech. Nie wiedziałem, z której skorzystać, aby przebić się do wielkiego świata opery — wspomina śpiewak. — Pan Madaliński przez wiele lat śpiewał w Italii z samymi znakomitościami, a od kilku lat szeffuje agencji Syrnix w Gdańsku i zaprasza do Polski takie gwiazdy, jak: Rolando Panerai, Fedora Barbieri, Renata Scotto i Katia Ricciarelli. On właśnie zakreślił mi trzy agencje i powiedział o styczniowym konkursie w Mediolanie.

By móc w nim wystartować, Krzysica nagrał na płytę demo arie z oper Mozarta, Verdiego, Donizettiego i Czajkowskiego, którą przesłuchała komisja w Mediolanie. Został zakwalifikowany. Jako jedyny przyjechał z własną akompaniaturką, Gruzinką

Medeą Berianidze Osuch. Jego repertuar został dobrany tak, aby stworzyć mu możliwość rywalizowania ze śpiewakami włoskimi. W języku włoskim wykonał arie z „Napoju miłosnego” Donizettiego i „Traviaty” Verdiego, niemieckim — z „Uprowadzenia z Seraju” Mozarta i rosyjskim — z „Eugenisza Oniegina” Czajkowskiego.

Zaśpiewał brawurowo. Drugie i trzecie miejsca zdobyli Koreańczycy. Startujący w konkursie Włosi, zdawałoby się, że historycznie uwarunkowani do królowania w belcancie, niestety, nie zostali uhonorowani głównymi nagrodami.

Za najważniejsze w technice śpiewu uważa Krzysica świadome operowanie oddechem. — Pavarotti powiedział, że śpiewając, oddycha jak w jodze, a jogini potrafią koncentrować oddech na 12 częściach płuc — mówi. — Trzeba tak podczas śpiewania oddychać, aby w czasie wdechu wprowadzić powietrze do jak największej części płuc, umiejętnie wykorzystać przeponę. Koreańczycy mają to we krwi. Ja uczyłem się oddechu u mojej profesor Mickiewiczówny, a następnie utwierdzałem swoje spostrzeżenia na kursach

mistrzowskich. Tak naprawdę uczenie się śpiewu oznacza studiowanie swojego głosu. Urodził się 29 lat temu w Kołobrzegu. Studiował wychowanie muzyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Słupsku i w Akademii Muzycznej w Gdańsku. Trafił do klasy prof. Haliny Mickiewiczówny.

— To, czego maestra nie mogła mi pokazać głosowo na swoim sopranie, obserwowałem na głosie Krausa i Pavarottiego, słuchając ich nagrań. Pozwalała mi też na uczestniczenie w kursach mistrzowskich włoskich śpiewaków: barytona Rolanda Panerai, mezzosopranu Fedory Barbieri, sopranu Renaty Scotto oraz Ryszarda Karczykowskiego — wspomina Krzysica.

Od grudnia ub.r. Tomasz Krzysica jest związany z Operą Kameralną w Warszawie. Wraz z żoną i miesięcznym obecnie synkiem nadal mieszka w Gdyni. Już w tym roku weźmie udział w próbach do „Napoju miłosnego” Donizettiego w Teatrze Rosetum w Mediolanie. Za dwa lata zaś będziemy go oglądać w najszynniejszym teatrze operowym świata, La Scali.

W kwietniu Tomasz Krzysica wystąpi w Operze Bałtyckiej z wybitną sopranistką Katią Ricciarelli.

ALEKSANDRA ZDROJEWSKA

WARS SA



Oddział Południe
w Krakowie

31-154 Kraków,
pl. Kolejowy 7

Telefony:
0-12 429 56 59
0-12 422-30-54
Fax 0-12 422-94-22

Telefony Kolejowe
Sekt. 15-68
Dysp. 55-88
Kasa bil. 624-15-00

STARA FIRMA NOWA JAKOŚĆ

PWSiR „WARS” poleca:

- ✓ sprzedaż biletów „WARSu” i PKP z dowozem do klienta
- ✓ przejazdy w wagonach sypialnych i z miejscami do leżenia w komunikacji krajowej i zagranicznej
- ✓ ofertę specjalną „WARSu” w sezonie letnim (pociągi hotelowo-turystyczne łączące aglomerację krakowsko-śląską z polskim wybrzeżem)
- ✓ możliwość uzyskania korzystnej bonifikaty do 30% przy zakupie miejsc sypialnych i leżących
- ✓ możliwość wyczerterowania wagonu na dowolną trasę
- ✓ organizacja „Zielonych Szkół”
- ✓ usługi pralnicze

Przeraźliwe echo trąby żalostnej do wieczności wzywającej



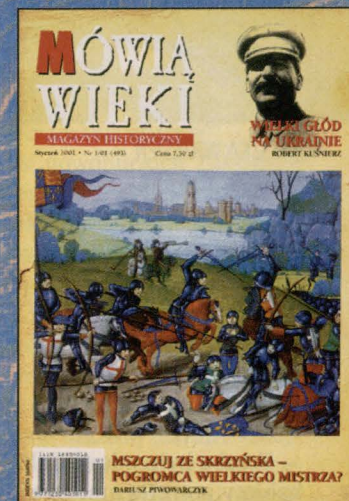
Śmierć w kulturze dawnej Polski

Od średniowiecza do końca XVIII wieku

Wystawa w Zamku Królewskim w Warszawie
15 grudnia 2000 — 15 marca 2001

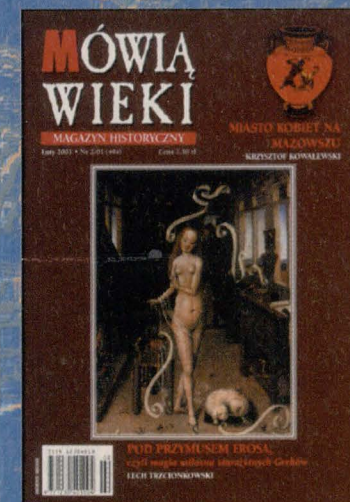
Patroni medialni:

Najlepsze pismo historyczne w Polsce



MÓWIA WIEKI

MAGAZYN HISTORYCZNY



Pragniemy poinformować, że od kwietnia 2001 roku wspólnie ze Szkołą Główną Handlową prowadzimy kurs z historii dla kandydatów na tę uczelnię. Informacje na stronach www.mowiawieki.pl

Prenumeratę MÓWIA WIEKI - na pół roku lub rok - można zamówić dokonując wpłaty na konto:
Dom Wydawniczy Bellona, ul. Grzybowska 77, 00-844 Warszawa, Konto: PBK S.A. V o/Warszawa 11102018-402010000580

Opłata półroczna - 42 zł, roczna - 78 zł

W razie jakichkolwiek wątpliwości lub reklamacji prosimy o kontakt:

Dział Kolportażu Domu Wydawniczego Bellona, tel./fax (022) 661 50 51, 620 20 44 w. 463, infolinia 0 801 120 367



CO ZOSTAŁO z kwiatką dla Ewy?

AGNIESZKA WRZESIEŃ

To takie komunistyczne święto – słycać najczęściej. Przez lata ósmego marca polscy mężczyźni karnie stawali w kolejkach, by kupić swym kobietom symboliczny kwiatek: czerwony goździk, skąpo ozdobiony gałązką asparagusa, albo bladego tulipana.

Kwiatek (w pracy), a do tego rajstopy albo ręcznik, mydło, kawa czy czekoladki – to, czego na co dzień kobiety dostać nie mogły, bo nie było w sklepach. Odbiór „prezentów” należało pokwitować.

Prezent dla narodu i partii

„Fabryka – to jej drugi dom” – pisała „Trybuna Ludu” 9 marca 1950 r. Wtedy kobiety robiły prezenty narodowi i partii. Dla

uczczenia swego święta setki tysięcy robotnic zaciągnęły „Warty Pokoju”. „Trybuna Ludu” donosiła: „W Warszawie w fabryce Wedla panował niecodzienny nastrój. Głośniki umieszczone w halach produkcyjnych w ciągu całego dnia nadawały hasła, pod jakimi będzie obchodzony w całym kraju Międzynarodowy Dzień Kobiet”. W fabrykach powiewały czerwone proporczyki, a świętujące kobiety przy fartuchach miały kokardy – też czerwone.

Trzeba było udowodnić, że kobiety potrafią pracować, że mogą być dobrymi traktorzystkami i motorniczymi. Z okazji Dnia Kobiet – praca ponad normę. Barbara Milewska – przodownica z warszawskich Zakładów Wytwórczych Urządzeń Telefonicznych – wyrobiła w tych dniach 450 proc. normy. Chciała w ten sposób „zamianifestować solidarność ze wszystkimi kobietami świata walczącymi o pokój i dobrobyt mas

pracujących i nowy socjalistyczny ład”.

W spółdzielni produkcyjnej z Krystynopola ciężarnym i matkom kilkumiesięcznych dzieci na uroczystej akademii wręczono wyprawki dziecięce. I było to wydarzenie tak doniosłe, że opisała je „Trybuna Ludu”.

Kwiatki dla sekretarza

Nie zawsze kwiaty były dostępne. Na zielonogórskich mężczyzn w 1960 r. spadł prawdziwy kataklizm – zabrakło ciętych kwiatów, więc nie lubiane prymulki w doniczkach rozeszły się bardzo szybko. Na dodatek w sklepach i cukierniach było za mało ciastek – kupić je mogli tylko ci, co zamówili wcześniej. 10 marca „Trybuna Ludu” pisała: „Zielonogórcy Adamowiczowie sprezentowali więc swoim Ewom... rumieniec wstydu”.

W innych miastach było lepiej. Poznańskie kobiety z okazji swego święta otrzymały Wojewódzki Ośrodek Gospodarstwa Domowego. Placówkę wyposażono w nowoczesne kuchnie gazowe, lodówki i szybkowary. Miały się tam odbywać „wykłady, odczyty, pokazy racjonalnego gospodarowania, sprzątania, właściwego przyrządzania warzyw”.

W nowohuckich Zakładach Betonowych i Żelbetonowych w zakładowej sali teatralnej urządzono „skromne przyjęcie” dla wszystkich pracujących tam kobiet. „Przy czym – donosi „Trybuna Ludu” (9 marca 1960) – jego uczestniczkom usługiwali osobiście: dyrektor zakładu – Józef Fumienny, naczelny inżynier – Stanisław Maciołek oraz przedstawiciele organizacji partyjnych i rady zakładowej”. We wrocławskich sklepach co trzydziesta klientka dostawała kwiaty.

Zasłużone dla Polski Ludowej otrzymywały wysokie odznaczenia państwowe. Niektóre spotykały prawdziwy zaszczyt – gościły u ministrów i mogły z nimi rozmawiać, o tym, co trapi i cieszy polskie kobiety pracujące. 40 lat temu (jak informowała „Trybuna

Ludu” z 10 marca) Piotr Jaroszewicz częstował delegację kobiet kawą i winem. Każda dostała od niego kwiaty i książkę. Takie same upominki dla swych gości przygotował minister rolnictwa, Mieczysław Jagielski. Rozmowa z ministrem handlu wewnętrznego „upływała w miłej atmosferze przy czarnej kawie”. U ministra oświaty prawdziwa uczta: herbata i ciastka, a na pamiątkę – krajoznawczy album. Pod koniec lat 60. krakowskie kobiety w dzień swojego święta odwiedzały I sekretarza partii i mogły... wręczyć mu kwiaty.

A teraz panie posprzątają

W 1960 r. Zofia Szmid mówiła dziennikarzowi „Trybuna Ludu”: „Mężczyźni zaczynają powoli schodzić z cokołu i tracić na atrakcyjności”. Pani mgr Szmid

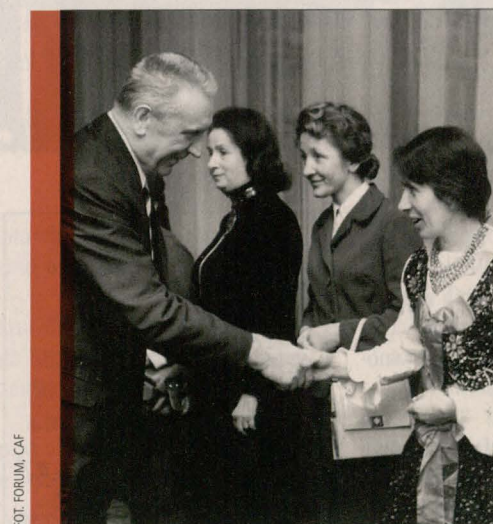
pomóc w opiece nad dziećmi – oto główne problemy. Nasze opiekuńcze państwo podarowało kobietom żłobki.

8 marca 1970 roku „Trybuna Ludu” pisała: „Święto Kobiet, choć nie zawsze znaczone czerwoną kartką w kalendarzu, jest rzeczywiście świętem. Kwiatek dla Ewy – żadnego hasła nie podjęła męska część naszego społeczeństwa tak masowo i spontanicznie. Nic dziwnego – darzymy nasze kobiety sympatią i szacunkiem. Pierwszym za ich wdzięk, drugim za ich rolę w socjalistycznym społeczeństwie”.

Anna pracowała w krakowskiej Fabryce Urządzeń Górniczych GEORYT. Była „tą gorszą pracownicą – bo umysłową”. Opowiada, jak wielkim zaskoczeniem było dla niej zobaczenie odświętnie ubranych robotnic.

a panowie popijali trunki mocniejsze. Efekt – wiadomy. Bywało też tak: kobiety organizowały zakładową imprezę (po godzinach pracy), przynosiły „dobre rzeczy”, zapraszały mężów i bawiono się wspólnie. Tylko zawsze po skończonej zabawie – sprzątały oczywiście panie.

W roku poprzedzającym stan wojenny prasa donosiła, że polskie kobiety coraz lepiej łączą obowiązki zawodowe i rodzinne. Pomagało im w tym oczywiście państwo. I to nic, że wszystkim drożało, wszak sprzęt gospodarstwa domowego mieliśmy bardzo dobrej jakości (tylko że jakoś trudno było go kupić). A na VIII zjeździe PZPR uchwalono: „Należy zwiększyć pomoc dla kobiet pracujących i wychowujących małe dzieci, a w szczególności wprowadzać bardziej elastyczne



Wizyta kobiet u I sekretarza KC PZPR, towarzysza Edwarda Gierka, 8 marca 1974 r.



Uroczysta wieczerza na Zamku Królewskim w Warszawie z udziałem I sekretarza KC PZPR, premiera gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego i kombatantek II wojny światowej, 8 marca 1985 r.

była pierwszą polską „atomową kobietą”. Pracowała w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku jako rentgenolog.

Dziesięć lat później politycy, socjologowie i lekarze dyskutowali o „roli kobiety w nowoczesnym socjalistycznym społeczeństwie”. Praca czy dom, jak pogodzić obowiązki zawodowe z domowymi, jak kobiecie pracującej

– One zawsze w tych fartuchach, chustkach na głowach, usmarowane, spocone, a tu – odświętne żabociki, falbany, grempliny, trwałe ondulacje, a w powietrzu zapach perfum „Być może”. Dla nich to święto miało wielkie znaczenie. Mogły wreszcie poczuć się kobietami, i to ważnymi.

Były uroczyste akademie i poczęstunki. Dla pań kawa i wino,

zasady zatrudniania kobiet, ułatwiając im łączenie obowiązków zawodowych i opiekuńczych”. Kilka miesięcy później wprowadzono stan wojenny.

Blady tulipan z serduszkami od Wedla

Dziesięć lat później Piotr Gadziński pisał na łamach „Trybuny”: „Wiadomo, jakie to było

MIEDZYNARODOWY DZIEŃ KOBIET



Międzynarodowy Dzień Kobiet, 1972 r.

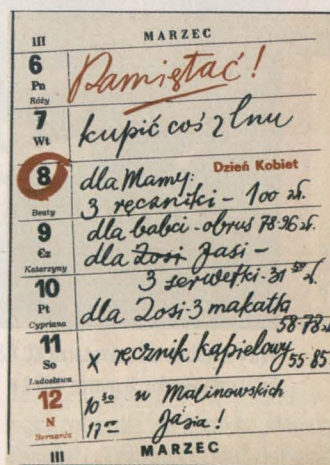
święto. Wiadomo, skąd przyszło. Dziś cały naród zrzuca z siebie brzemię lat minionych. Likwiduje pozostałości starego, nieludzkiego systemu. To »święto« tak naprawdę było tylko »ich« świętem. Niech odejdzie razem z nimi».

Czy miał rację? Wszystko zaczęło się w 1848 r., kiedy amerykańskie kobiety zwołały swój kongres w Seneca Falls. Domagały się bezwarunkowego dopuszczenia ich do przynależnych im praw obywatelskich. To Amerykanki pierwsze ogłosiły Święto Kobiet. 20 lutego 1909 roku wyległy na ulice, żądając dopuszczenia ich do pełnego udziału w wyborach. Fala kobiecych protestów szybko przeniosła się do Europy. Pierwsze obchody na Starym Kontynencie odbyły się 19 marca 1911 roku w Berlinie. Uczestniczyło w nich 45 tys. kobiet. Po-

tem była Francja, Wielka Brytania, Holandia, Szwecja i Rosja. Wszędzie sufrażystki wołały o to samo: chciały politycznej równości z mężczyznami.

Skąd 8 marca? Tego dnia w 1917 r. rozpoczął się masowy strajk (90 tys. osób) robotnic w Sankt Petersburgu pod hasłami: »Chleba, pokoju, wolności«. Po rewolucji rząd radziecki oświadczył: »Wszystkie ustawy dyskryminujące kobiety są nieważne. Mężczyźni i kobiety mają równe prawa».

Amerykanki wywalczyły sobie prawo wyborcze w 1920 roku, a większość Europejki - w 1918. Po tym sukcesie kobiety domagały się pełnego równouprawnienia. Lata 60. przyniosły nową falę feminizmu. Równość w pracy (zawodowej i domowej), dostęp do środków antykoncepcyjnych i prawo do aborcji - oto główne



Fragment okładki „P”,
5 III 1972 r.

postulaty ówczesnych feministek. U nas - cisza, bo przecież polskie kobiety mogły być traktorzystkami, motorniczymi, budowniczymi, a państwo opiekowało się ich rodzinami, dbało o zdrowie i byt. Nic bardziej mylnego.

- Ja to „Święto Kobiet” zawsze bojkotowałam. Wiedziałam, co było dzień wcześniej, co będzie potem - gonienie w pracy, pretensje. Dzień Kobiet to jakiś absurd. Nienawidziłam tego dnia - mówi Zofia, od wielu lat związana z „Przekrojem”. Jej koleżanka Halina dodaje: - Nie potrzebuję jakiegoś specjalnie wyznaczonego dnia, żeby czuć się kobietą. Jestem kobietą cały czas i zawsze mogę dostawać kwiaty.

W ubiegłym roku 8 marca „Trybuna” pisała: „Niech ten dzień trwa cały rok, niech spełni się to, o czym Panie marzą, niech pomyślność, radość i satysfakcja - zawodowa i osobista - będzie codziennością”. A mężczyźni znów przynosili swym kobietom blade tulipany i serduszką Wedla.

Genesis według Maćka

Kasi - w rocznicę ślubu

1 Gdy Bóg stworzył kobietę, zobaczył, że jest piękna i ujął jej dłoń, by zaprowadzić ją do ogrodu Eden. A w tym ogrodzie było tysiąc miast, a w tych miastach - tysiąc ulic, a przy każdej ulicy - po tysiąc sklepów. I wszystko to Bóg dał kobiecie, by jej służyło.

2 I wywiódł Pan wszelką galanterię, perfumy i ozdoby, i przyprowadził przed oblicze kobiety, by dała im nazwę. I przyprowadził Bóg Gust i Smak, by jej służyły.

3 A w one dni tkaniny były z mgły porannej i przędzy pajęczej. A były tak delikatne i przejrzyste, że nie osłaniały nagości kobiety.

4 I stworzył Pan krople rosy, i kolorowe krople soków roślinnych, by uczynić z nich biżuterię: bransolety, kolie, naszyjniki i zausznice. Wszystko podle rodzaju i koloru, tak, by kobieta miała w czym przebierać, szukając tych, które pasują do barwy jej oczu.

5 I stworzył Bóg buty: skórzane i zamszowe, czółenka i kozaki, płaskie i na szpilce. Wszystko to stworzył podle rodzaju i koloru.

6 I wywiódł Pan rośliny ziemskie, i łączył ich zapachy, i zamykał w butelkach.

7 I przedłużył Bóg dzień, by kobieta mogła chodzić po sklepach, i by nie zamknęli ich jej. A nie znano jeszcze pieniędzy w one dni.

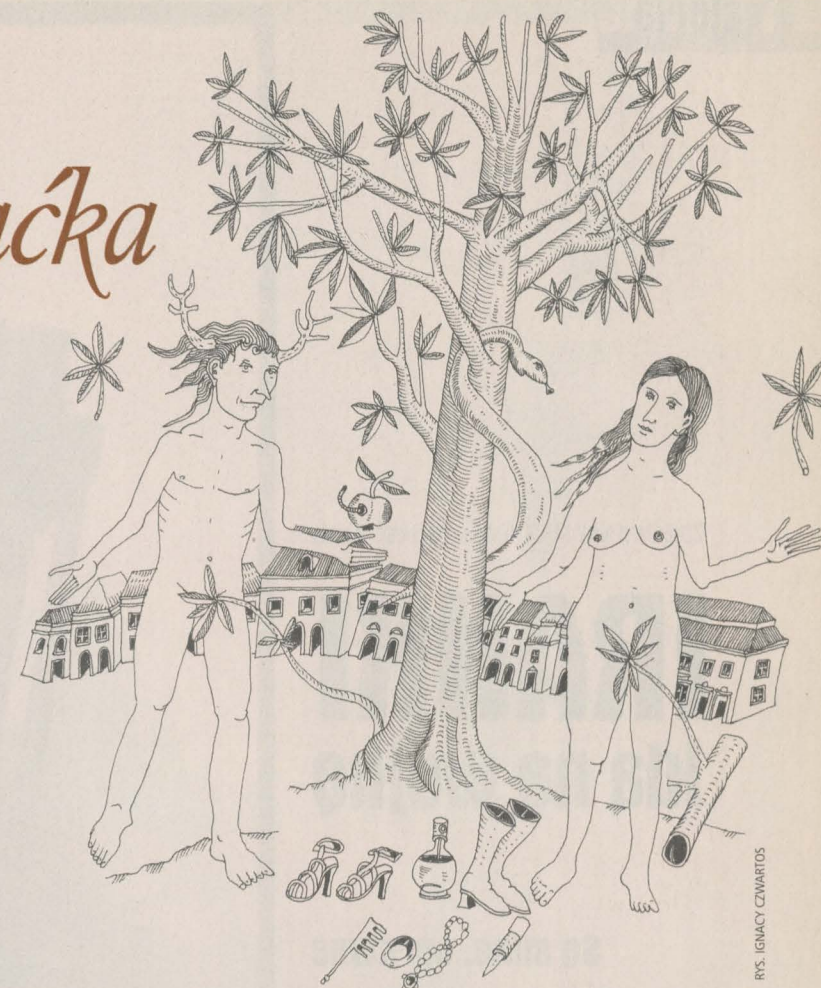
8 Ale kobieta widziała swoje piękno w leśnych źródłkach i była smutna, bo nie miała dla kogo robić makijażu. Musiała też nosić sama wszystkie zakupy, zbyt ciężkie na jej wątłe barki.

9 I zapłakała gorzko, i usnęła pod stosem wonnych sukien. Wtedy Pan wziął dwie krople z jej łez i wymieszał z metalami ubrań, po czym ulepił z nich stwora o silnych rękach i nazwał go mężczyzną.

10 Tak oto stworzył Pan mężczyznę, a że ulepił go z łez kobiety, przeto często miała przez niego płakać, tak ze szczęścia, jako i ze smutku.

11 Gdy kobieta spostrzegła mężczyznę, ujrzała, że jest naga i przeprosiła, że jest nie uczesana. I poszła robić fryzurę, i nie było jej dwie godziny. A gdy wreszcie wróciła, stwierdziła, że musi coś odpowiedniego włożyć, i nie było jej do wieczora.

12 A gdy nastał zmrok, wzięła mężczyznę za rękę i opowiadała mu baśnie z tysiąca i jednej nocy: że jest biedna i boi się, że jest maleńka i żeby jej nie dotykał. Mężczyzna słuchał i wierzył, wierzył i słuchał. A nad ranem kobieta poszła do węża i przypawiła mężczyznę rogi. Tak minął dzień pierwszy.



13 A drugiego dnia kobieta ujrzała mężczyznę rozmawiającego z sarną nad źródłem. I krzyk jej uniósł się nad łąkami, a był tak wielki, iż przeraził wszystkie zwierzęta. Do dziś boją się one zbliżyć do człowieka i płochliwie przed nim uciekają.

14 Tak żyli w ogrodzie Eden i nie znali, co to praca. Toteż nudził się mężczyzna, bo Pan wyposażył go nie w duszę, lecz w siłę, a umysł jego nie znał subtelności. Toteż nastał dzień, że mężczyzna zniknął.

15 Kobieta szukała go w całym ogrodzie i nie mogła znaleźć. Siadła tedy i gorzko zapłakała, a z jej łez powstały cztery rzeki, które spłynęły w dolinę, tworząc morza i oceany.

16 I wonczas kobieta posłyszała dziwny dźwięk dochodzący spoza muru, który okalał Eden. I podbiegła do muru, i wejrzała zań. I znalazła mężczyznę majstrującego skuter. Policzki jego były zapadnięte i żebra mu wystawały, albowiem nie umiał sobie sam przyrządzić stawy.

17 I nakazał Bóg kobiecie: „Zastanów się, niewiasto!”. A ona dotknęła palcami skroni. Za sobą miała miasta Edenu z tysiącem sklepów, przed sobą - nie znaną krainę i nielekkie życie. I stała tak dni sześć u rajskiego parkanu, ważąc decyzję. A gdy nastał dzień siódmy - przeskoczyła mur.

18 Tak oto z przyczyny mężczyzny kobieta znalazła się na świecie.

MACIEJ MIEZIAN

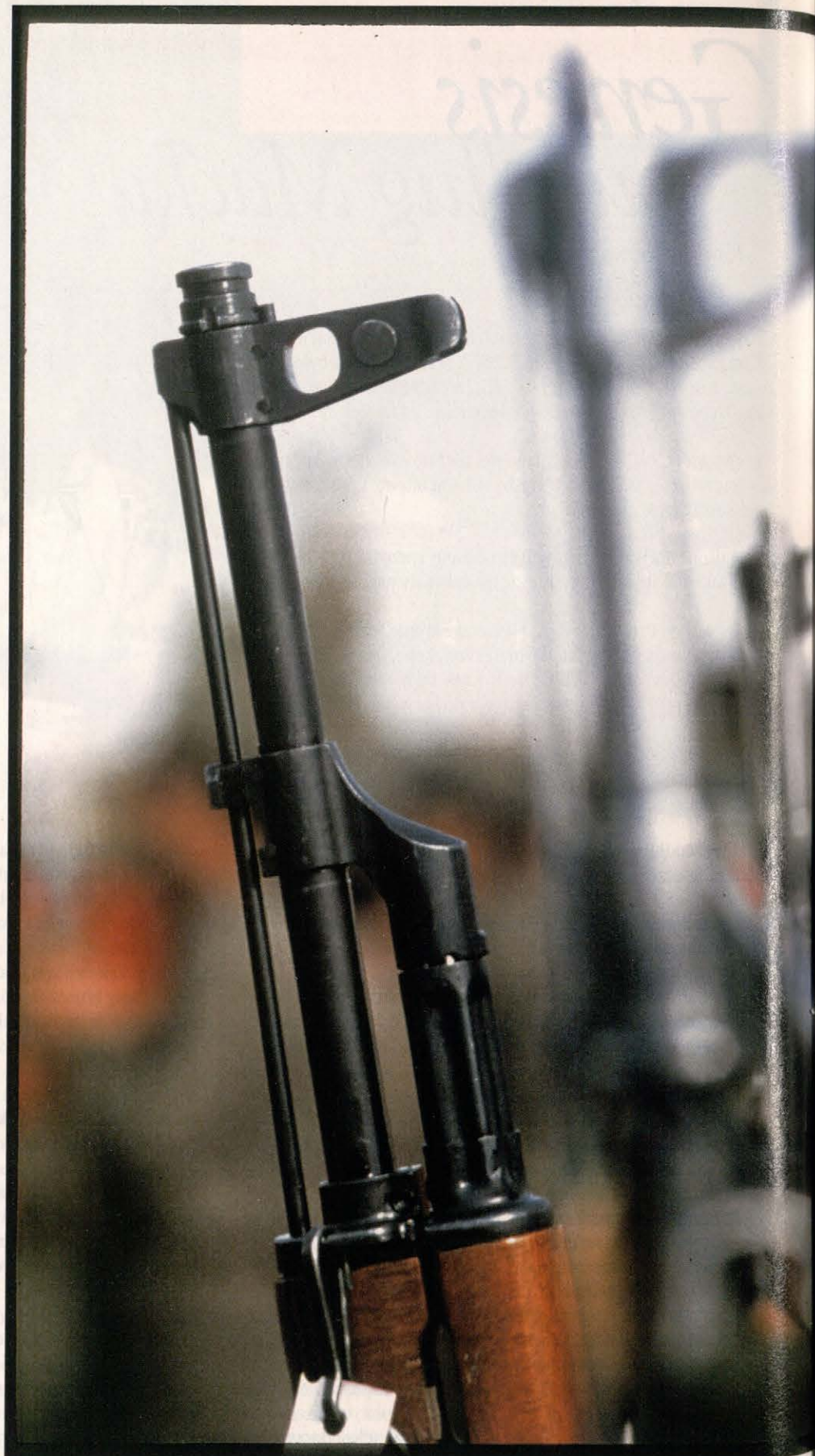
ZDJĘCIA JENNY MATTHEWS/NETWORK/EK PICTURES

IRANKI idą na wojnę

**Są silne, sprawne
i świetnie wyszkolone.**

**Wierzą, że kiedyś
powrócą i obalą
fundamentalistyczny
rząd Iranu.**

**Na razie czekają.
Bojowniczkii Narodowej
Wyzwolenczej Armii Iranu.
Jest ich 10 tysięcy.**





Bojowniczka czyszcząca kalasznikowa



Trening walki w terenie



Plakat zachęcający kobiety do służby w Narodowej Wyzwolniczej Armii Iranu



Musztra



Dowódca czołgu Zahra Rahmatnejad



Szkolenie czołgistek



Godzina 14. Przerwa obiadowa



Trening walki w mieście



Poranny apel

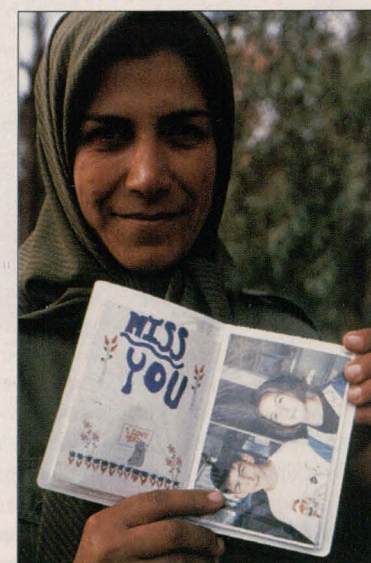
Narodowa Wyzwolnicza Armia Iranu (National Liberation Army of Iran) to jedna z najbardziej tajemniczych i mało znanych formacji na świecie. Liczy 30 tys. żołnierzy, z czego aż 10 tys. to kobiety. Armia jest zbrojnym ramieniem zdominowanego przez kobiety irańskiego rządu na uchodźstwie – Narodowej Rady Oporu (National Council to the Resistance of Iran). Rząd, z siedzibą w Paryżu, kierowany jest przez charyzmatyczną panią Maryam Rajawi, zagorzałą rzecznikę udziału kobiet w armii. Pani Rajawi ma tyle samo zwolenników, co przeciwników. Ci ostatni twierdzą, że oddziały są pionkami na szachownicy prezydenta Iraku Saddama Husajna, który, jako zaprzysięgły wróg Iranu, zezwala na obecność baz rebeliantów w swoim kraju. Innym zarzutem jest to, że rząd na uchodźstwie nie stanowi demokratycznej alternatywy dla obecnego reżimu. Jednak polityczne argumenty są niczym w porównaniu z niemal fanatycznym oddaniem bojowniczek. Wiele z nich było więzionych i torturowanych w irańskich więzieniach. Wszystkie próbowały walczyć z surowym islamskim prawem, które sprowadza je do roli pokornych towarzyszek mężów, ogranicza edukację, zakazuje wykonywania niemal wszystkich zawodów. Decydując się na ucieczkę z Iranu, gotowe były zerwać z przeszłością. Opuszczały rodzinny dom, aby odbyć ryzykowną podróż przez granicę do sąsiedniego Iraku. Wiele z nich zdecydowało się wstąpić do armii, idąc za przykładem swoich mężów. Zrobiły to, wiedząc, że nie będą mogły być z nimi razem, ponieważ zostaną przydzielone do różnych obozów. Chęć walki z islamskim reżimem często okazywała się silniejsza od miłości.



Kobiety batalion podczas pustynnych manewrów



Kobiety godzinami uczą się obsługi czołgu



Bojowniczka ze zdjęciem swoich dzieci

Kobiety obóz treningowy Ashraf przypomina małe miasteczko. Ma własny szpital, piekarnię i cmentarz. Jest nawet rozgłośnia radiowa i satelitarna stacja telewizyjna, transmitująca antyrządowe audycje na terytorium Iranu. Warunki mieszkalne są spartańskie. W sypialniach, oprócz łóżek i szafek na kilka osobistych rzeczy, nie ma żadnych mebli. Nie ma też żadnych fotografii rodzinnych, choć w każdym pokoju wisi zdjęcie pani Rajawi. Jedyne widoczne ubrania to polowe mundury w kolorze piasku.

Dzień zaczyna się o szóstej rano. Po śniadaniu, czyszczeniu butów i musztrze, każda z bojowniczek przydzielana jest do codziennych zajęć.

Podczas szkolenia poznają wszystkie aspekty walki frontowej: operacje z udziałem czołgów, śmigłowców i transporterów opancerzonych. Szkolą się w umiejętnościach posługiwania się bronią osobistą, materiałami wybuchowymi. Poznają zasady walki wręcz i przeżycia w pustynnych warunkach. Dotychczas żadna z nich nie marzyła nawet o prowadzeniu samochodu. Teraz jeżdżą czołgami i nie rozstają się z kałasznikowem.

Baza jest pilnie strzeżona. W ostatnich pięciu latach ponad 60 żołnierzy NWAİ zginęło z rąk Strażników Rewolucji – zamachowców przenikających przez granicę z Iranu.

STEFAN ROKITA

BikoNt grzebie w starych „Przekrojach”

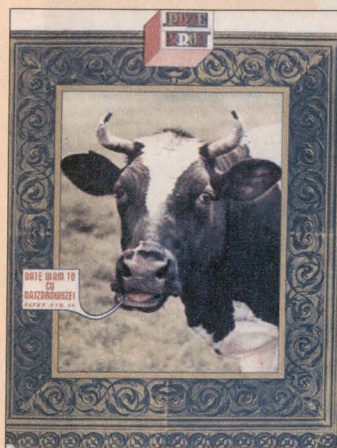
Na chybił trafił...
rok 1973.

„Przekrój” najlepsze
lata ma już za sobą,
za to gierkowszczyzna
– w pełnym rozkwicie.

Mnożą się czyny
partyjne i parady
wojskowe.

Uspołecznione sklepy
z obuwiem oferują
szeroki asortyment
trampek i tenisówek.

Masową wyobraźnię
opanował pies Szarik
i jego towarzysze
w hełmofonach.



Oktadka nru 1474

NIEDZIELA CZYNU



W całym kraju, w wielkich miastach i małych osiedlach, we wsiach i zakładach pracy, przeszło dwumilionowa rzesza ludzi partii realizowała w ub. niedzielę swój czyn produkcyjny i społeczny. Manifestując pełne poparcie dla wielkiego programu rozwoju Polski, przystąpiły również do pracy tysiące bezpartyjnych. Dobrze przygotowane na ten dzień front robót, niezbędny sprzęt i surowce. Od świtu do godzin przedwieczornych wydłużały się o nowe kilometry wiejskie drogi, ruszały naprzód budowy wielu obiektów socjalnych i kulturalnych, piękniejsze stawały się skwery

miejskie, parki, ośrodki sportowe i rekreacyjne, place zabaw dla dzieci i parkingi.

Sprawozdania reporterów, którzy towarzyszyli wysiłkowi pracujących, ukazywały społeczeństwu partię w jej zbiorowym działaniu. Były pochwałą ludzkiej pracy, która przysporzyła całemu krajowi wiele nowych, cennych wartości materialnych i społecznych.

Na zdjęciu powyżej: aktorzy i pracownicy teatru Nowej Huty w czynie partyjnym przy budowie nowohuckiego Parku Tysiąclecia.

Nr 1487, 7 X 1973

30-lecie LWP PARADA NOWOCZESNOŚCI

(...) Gdy minister obrony narodowej zwiedzał Centralną Wojskową Wystawę Wynalazczości i Racjonalizacji, najdłużej zatrzymał się przy lunecie, sprzężonej ze stacją radiolokacyjną. (...) Konstruktorom tego rewelacyjnego i obspanego nagrodami urządzenia jest por. Zbigniew Łojewski, absolwent Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej w Jeleniej Górze. (...)

Nowoczesność w naszym wojsku jest po prostu zjawiskiem POWSZECHNYM, nie polega jedynie na doprowadzonej do absolutnej perfekcji sprawności bojowej wybranych jednostek, typu wojsk rakietowych. Dzięki pracy instytu-

tów wojskowych, dzięki nowoczesnemu przemysłowi zbrojeniowemu stopień nasycenia wszystkich naszych jednostek w różnorodność – większe i mniejsze – urządzenia techniczne wciąż rośnie. Ale tym sprzętem żołnierz musi umieć się posługiwać, musi umieć go konserwować i naprawiać. Fakt, że go równocześnie ulepsza, że do Głównej Komisji Wynalazczości wpływają wciąż nowe wynalazki, świadczy, że wojsko dysponuje nie tylko liczną kadrą najlepszych specjalistów, lecz po prostu doskonale wyszkolonymi pod względem technicznym żołnierzami, podoficerami i oficerami.



Czołg, który potrafi się sam okopać

Trzeba tu jeszcze wspomnieć o żołnierskiej ambicji, o wielkim uczuciowym zaangażowaniu w pracę nad doprowadzeniem do perfekcji gotowości bojowej i operatywności jednostek. O korzyściach, jakie płyną z racjo-

nalizacji wojskowej i które nie są przeliczalne na złotych, a które czynią z naszego wojska armię sprawną i mądrą, zawsze gotową i operatywną, po prostu – nowoczesną.

LESZEK MAZAN

Nr 1487, 7 X 1973

LITERATURA zamieszcza rozmowę z Andrzejem Wajdą na temat telewizyjnego serialu o Chopinie. Scenariusze poszczególnych odcinków zostały napisane przez różnych autorów i będą realizowane przez różnych reżyserów. Wajda twierdzi, że uniknięto w ten sposób nudy. Serial zrealizowany przez jednego reżysera i jednego scenarzystę byłby po prostu nudny.

Nr 1483, 9 IX 1973



Cztery pancerni i pies

(ws) Któż nie oglądał w telewizji serialu „Cztery pancerni i pies”. Autor scenariusza, Janusz Przymanowski, twórca pełnej energii, korzystając z powodzenia serialu sprzedał temat w wersji filmu, książki, artykułów publicystycznych. Złośliwi twierdzili, że jedynie musicalu zabrakło. Nie ma obawy! Musical „Cztery pancerni i pies” zostanie wystawiony w Gdyni. Adaptacji dokonali Janusz Przymanowski oraz jego żona. Widowisko zapowiada się interesująco. Pozostaje więc jeszcze pantomima i opera.

Nr 1485, 23 IX 1973



Pancerni w... takt muzyki

(rog) Pisaliśmy już o przygotowywanym przez Teatr Muzyczny w Gdyni musicalu „Cztery pancerni i pies”. Teksty piosenek i adaptacja – Janusz Przymanowski (przy współpracy żony). Teatr zamierza zaangażować do roli Gustlika Franciszka Pieczkę, a rolę Marusi i Grisi powierzyć radzieckim aktorom z Leningradu lub Kijowa. Sobowtór Szarika zostanie wypożyczony z MO. Na scenie pojawią się jeszcze 2 psy: Szarik jako szczeniak i jego matka.

Wśród rekwizytów – 80 autentycznych karabinów, 6 karabinów maszynowych i kilka pepesz. Twórcą muzyki jest Benedykt Konowski. W hallu teatru będzie sprzedawany longplay z nagraniem musicala.

Nr 1486, 30 IX 1973



Półtrampki damskie „Derby” – cena 46 zł



Podhalanki damskie – cena 30 zł



Tenisówki męskie „Teodor” – cena 50 zł



Trampki damskie „Mexico” – cena 54 zł

(Nie autoryzowany wywiad noworoczny z reżyserem Jerzym Kawalerowiczem specjalnie dla „Przekroju” przeprowadziła – żona).

Czego życzysz sobie i Czytelnikom w 1974?

Ja: – Kochany mężu, zrobiłam ci ruskie pierogi.

Mąż: (podejrzliwie) – Co się stało?

Ja: – Najpierw sobie zjedz.

Mąż: (nakłada nie do pary – ma w tym względzie zasady)

Ja: – Więcej maselka?

Mąż: – Mhm... pierogi muszą pływać... sześć, siedem.

Ja: – Może śmietanki?

Mąż: – Może... chociaż (mlask) ...jedenaście... czy ja wiem...

Ja: – Najlepiej i maselko, i śmietana!

Mąż: (mlask, mlask) – Siedemnaście. Nieźle.

Ja: – To do rzeczy. Czy mógłbyś mi udzielić noworocznego wywiadu? Czego życzyłbyś sobie i Czytelnikom w 1974, a czego nie.

Mąż: – Zwariowałaś? Dla czego?

Ja: (zgodnie) – Dla „Przekroju”.

Mąż: – Nie dla kogo, ale dla czego?

Ja: – Żebyś mógł się nareszcie swobodnie, prywatnie, publicznie, optymistycznie – wypowiedzieć.

Mąż: – O, co to, to nie! Powiedz, że mnie reklamujesz.

Ja: – Czy to źle? Znaczy, że cię kocham.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Ja: – Kochany mężu, zrobiłam ci ruskie pierogi.

Mąż: (podejrzliwie) – Co się stało?

Ja: – Najpierw sobie zjedz.

Mąż: (nakłada nie do pary – ma w tym względzie zasady)

Ja: – Więcej maselka?

Mąż: – Mhm... pierogi muszą pływać... sześć, siedem.

Ja: – Może śmietanki?

Mąż: – Może... chociaż (mlask) ...jedenaście... czy ja wiem...

Ja: – Najlepiej i maselko, i śmietana!

Mąż: (mlask, mlask) – Siedemnaście. Nieźle.

Ja: – To do rzeczy. Czy mógłbyś mi udzielić noworocznego wywiadu? Czego życzyłbyś sobie i Czytelnikom w 1974, a czego nie.

Mąż: – Zwariowałaś? Dla czego?

Ja: (zgodnie) – Dla „Przekroju”.

Mąż: – Nie dla kogo, ale dla czego?

Ja: – Żebyś mógł się nareszcie swobodnie, prywatnie, publicznie, optymistycznie – wypowiedzieć.

Mąż: – O, co to, to nie! Powiedz, że mnie reklamujesz.

Ja: – Czy to źle? Znaczy, że cię kocham.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Ja: – Kochany mężu, zrobiłam ci ruskie pierogi.

Mąż: (podejrzliwie) – Co się stało?

Ja: – Najpierw sobie zjedz.

Mąż: (nakłada nie do pary – ma w tym względzie zasady)

Ja: – Więcej maselka?

Mąż: – Mhm... pierogi muszą pływać... sześć, siedem.

Ja: – Może śmietanki?

Mąż: – Może... chociaż (mlask) ...jedenaście... czy ja wiem...

Ja: – Najlepiej i maselko, i śmietana!

Mąż: (mlask, mlask) – Siedemnaście. Nieźle.

Ja: – To do rzeczy. Czy mógłbyś mi udzielić noworocznego wywiadu? Czego życzyłbyś sobie i Czytelnikom w 1974, a czego nie.

Mąż: – Zwariowałaś? Dla czego?

Ja: (zgodnie) – Dla „Przekroju”.

Mąż: – Nie dla kogo, ale dla czego?

Ja: – Żebyś mógł się nareszcie swobodnie, prywatnie, publicznie, optymistycznie – wypowiedzieć.

Mąż: – O, co to, to nie! Powiedz, że mnie reklamujesz.

Ja: – Czy to źle? Znaczy, że cię kocham.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Ja: – Kochany mężu, zrobiłam ci ruskie pierogi.

Mąż: (podejrzliwie) – Co się stało?

Ja: – Najpierw sobie zjedz.

Mąż: (nakłada nie do pary – ma w tym względzie zasady)

Ja: – Więcej maselka?

Mąż: – Mhm... pierogi muszą pływać... sześć, siedem.

Ja: – Może śmietanki?

Mąż: – Może... chociaż (mlask) ...jedenaście... czy ja wiem...

Ja: – Najlepiej i maselko, i śmietana!

Mąż: (mlask, mlask) – Siedemnaście. Nieźle.

Ja: – To do rzeczy. Czy mógłbyś mi udzielić noworocznego wywiadu? Czego życzyłbyś sobie i Czytelnikom w 1974, a czego nie.

Mąż: – Zwariowałaś? Dla czego?

Ja: (zgodnie) – Dla „Przekroju”.

Mąż: – Nie dla kogo, ale dla czego?

Ja: – Żebyś mógł się nareszcie swobodnie, prywatnie, publicznie, optymistycznie – wypowiedzieć.

Mąż: – O, co to, to nie! Powiedz, że mnie reklamujesz.

Ja: – Czy to źle? Znaczy, że cię kocham.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Ja: – Kochany mężu, zrobiłam ci ruskie pierogi.

Mąż: (podejrzliwie) – Co się stało?

Ja: – Najpierw sobie zjedz.

Mąż: (nakłada nie do pary – ma w tym względzie zasady)

Ja: – Więcej maselka?

Mąż: – Mhm... pierogi muszą pływać... sześć, siedem.

Ja: – Może śmietanki?

Mąż: – Może... chociaż (mlask) ...jedenaście... czy ja wiem...

Ja: – Najlepiej i maselko, i śmietana!

Mąż: (mlask, mlask) – Siedemnaście. Nieźle.

Ja: – To do rzeczy. Czy mógłbyś mi udzielić noworocznego wywiadu? Czego życzyłbyś sobie i Czytelnikom w 1974, a czego nie.

Mąż: – Zwariowałaś? Dla czego?

Ja: (zgodnie) – Dla „Przekroju”.

Mąż: – Nie dla kogo, ale dla czego?

Ja: – Żebyś mógł się nareszcie swobodnie, prywatnie, publicznie, optymistycznie – wypowiedzieć.

Mąż: – O, co to, to nie! Powiedz, że mnie reklamujesz.

Ja: – Czy to źle? Znaczy, że cię kocham.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.

Mąż: – Czy ty chcesz wywiad, czy pieniądze?

Ja: – Zależy jako co; a zresztą i to, i to.

Mąż: (nieco ugłaskany) – Nie reklamuj siebie...

Ja: – O Boże, tyle krzyku z tą reklamą, a u nas to grzech, a gdzie indziej wszystkie pieniądze za to płacą, daj mi 500 złotych.



GDZIE TA MODA?

Wiecie, co uderza w tzw. stolicach mody, w miastach czułych na modę? To, że jak przejdziemy się tam pewnymi ulicami, od razu wiemy, co jest modne. Bo wszystko jest na wystawach. Nie tylko to nas tam uderza. Jest jeszcze masa innych ciekawych zjawisk w tej dziedzinie, ale to właśnie jest charakterystyczne dla nawet pobieżnego i nie związanego ze sprawą obserwatora.

Nie jest tak, że w całej Francji, w każdym małym miasteczku wystawy sklepowe ilustrują ostatnie kierunki mody. Ani to nie jest tak, że w Paryżu na wszystkich ulicach mamy najostatniejszą modę. Ale są pewne miejsca, miasta, ulice, dzielnice, punkty – a jest ich niemało – gdzie wystarczy się przejść, by wiedzieć wszystko. I coś takiego dzieje się z naszym mózgiem, że przez samą liczbę np. kolorów beżowych na wystawach dociera do nas, że modny jest kolor beżowy.

I na tym polega moda. Na tym polega pojęcie tego, że coś jest modne. Jest tego pełno, akurat tego, właśnie tego. Jest wszędzie. A my tego jeszcze nie mamy, choć czujemy, że to jest tak modne, że chcemy to mieć. Już nie mówię o osobach, które lubią modę. Nagle wystawy w mieście są w nowych kolorach, teraz mają nowe oświetlenie, nowe modne dekoracje. Wszystko jest na to nastawione, żeby nam się to spodobało, żebyśmy to pokochali, krótkotrwałą sezonową miłością.

Nie tylko ubrania na wystawie są w modnych kolorach, ale także tła, a nawet ramy wystaw. Akcesoria są w modnych kolorach, dodatki, które bywają czystą dekoracją nie związaną z tym, co się pokazuje, np. wystawa jest w kolorze różowym, ma zrobione różowe ramy, tło, światło, wiszą różowe kostiumy i do tego różowe misie, szkła czy mydła. Jakoś wbija nam się to do głowy. Ale nie sądzę, aby właściciel sklepu bawił się w instrukcje na sezon, po prostu tak się lansuje kolor. A wylansowany, jakoś ma szansę się sprzedać. A u nas? U nas nic. Możesz chodzić po mieście, po głównych ulicach, po wystawach drogiego sklepu i nic z tego nie wiesz. Mysz masz i zamęt. Żadnej jasnej i zdecydowanej informacji, żadnego wniosku. Nie wiadomo, co jest modne. Owszem, można pójść i obejrzeć wystawę w firmie, do której ma się zaufanie, że pokazuje naprawdę rzeczy modne. A jest coś takiego, że jak się zobaczy jedną taką wystawę w mieście czy dwie, to do człowieka tak nie dociera. No dobrze, widzę beżowe w czerwonym, ale czy to chwyci? Skoro obok są zupełnie inne kolory? Nikogo tu nie potępiam, tylko stwierdzam fakty. Wiem, że u nas jest inny klimat i wiosna zaczyna się późno, a lato właściwie wtedy, kiedy u nich są już przeceny. Że u nas jest bardzo trudny rynek i trudna publika i na razie wszyscy raczej robią wystawę z tego, co idzie lub co mamy w sklepie, a nie chcą ryzykować rzeczy modnych. I tu koło się zamyka. Co w końcu było na tych modnych wystawach w Paryżu – multum jasnego beżu w połączeniu z pastelami: z różowym, niebieskim, z lila, a u innych czerwonym. I rzeczy białe-czarne. Nie do wiary, ale naprawdę.

Beż, beż, beż
i bardzo jasny beż.
FOT. ROBERT KULESZA

HOFF

ZNAKI, SYMBOLE, IKONY XX WIEKU (6)

MERCEDES – gwiazda motoryzacji



Emil Jellinek, kupiec i przedsiębiorca, był entuzjastą postępu technicznego, zwłaszcza samochodów. W 1897 r. kupił pierwszego daimlera. Zaangażował się w sport samochodowy, stając się także hurtownikiem tej marki. Trzy lata później zamówił szybki, lekki i bezpieczny samochód. Nowe auto miało być nazywane imieniem ukochanej córki – Mercedes (hiszp. „łaska”). Nazwa przyjęła się, a w 1902 r. została zarejestrowana jako znak towarowy.

Na powstanie Mercedesu złożyły się wynalazki dwóch

ludzi: Gottlieba Daimlera i Carla Benza – jednych z najważniejszych postaci w historii motoryzacji. Daimler założył w 1890 r. w Cannstatt firmę DMG, gdzie wyprodukowano jeden z pierwszych, nowoczesnych silników spalinowych. Natomiast Benz w otwartej przez siebie w Mannheim firmie Benz & Cie skonstruował w 1886 r. pierwszy pojazd mechaniczny napędzany benzyną i dlatego uchodzi za ojca automobilizmu. Panowie nigdy się nie poznali. W 1926 r. – po

śmierci obu – firmy się połączyły, tworząc spółkę Daimler-Benz A.G., a marka zmieniła nazwę na Mercedes-Benz.

Kierujący firmą synowie Gottlieba poszukiwali znaku firmowego. Wtedy przypomnieli sobie o symbolicznej gwiazdzie nakreślonej przez ojca nad rysunkiem ich domu rodzinnego. Obrazek ten wysłał Daimler do żony jako pocztówkę wraz z przepowiednią, że gwiazda ta wszędzie pewnego dnia jako błogosławieństwo dla dzieła rodziny. Zarząd spółki zgłosił ją jako

znak towarowy w czerwcu 1909 r. Zastrzeżono gwiazdę trój- i czteroramienną, tyle że ta druga nie jest używana. W następnych latach znak mający symbolizować obecność na lądzie, powietrzu i w wodzie był zmieniany. Najśłynniejsza z nich jest gwiazda wpisana w pierścień, montowana na chłodnicy.

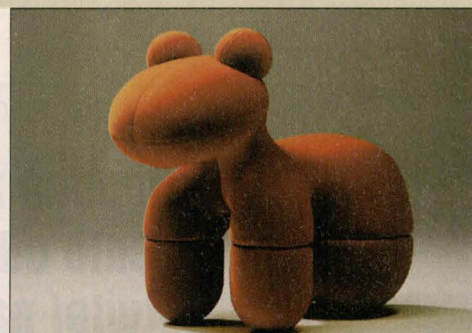
Od czasu zamówienia Jellinka wyprodukowano 19 mln samochodów osobowych, a marka obchodzi właśnie swoje setne urodziny. Mercedes jest synonimem najwyższej klasy i stale wyznacza nowe kierunki w motoryzacji.

Z Mercedesu korzystają wszyscy kanclerze niemieccy. Gerhard Schröder na początku urzędowania jeździł audi, jednak powrócił do mercedesa.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

HULA-HOOP DO SIEDZENIA

Philippe Starck to jeden z najbardziej płodnych projektantów na świecie. Znany jest ze znajdowania niebanalnych rozwiązań. Hula hop to najnowsze krzesło, które zaprojektował dla firmy meblarskiej Vitra. Na pierwszy rzut oka mebel nie wygląda jak typowe krzesło biurowe. Nie ma podłokietników, regulowanego oparcia ani innych widocznych mechanizmów. Dzięki ergonomicznym rozwiązaniom każdy może siedzieć na nim godzinami, nie czując zmęczenia. Przechyliła się we wszystkich płaszczyznach: na boki, do tyłu i do przodu. Właśnie ten swobodny, wręcz „organiczny” ruch spowodował, że Starck nazwał swoje dzieło hula hop. Krzesło wykonane jest z tworzywa, dostępne w trzech kolorach: pomarańczowym, żółtym i zielonym. (SR)



NOWY TERENOWY

Już w maju do Polski trafi nowy samochód Daimlera Chryslera – jeep liberty, następca jeepa cherokee, po raz pierwszy zaprezentowany na salonie w Detroit. W Europie będzie sprzedawany pod starą nazwą cherokee. Pojazd zadebiutuje na naszym rynku podczas targów Auto Show w Poznaniu.

Nowy jeep zmienił wygląd, a raczej powrócił do klasycznych wzorców. Okrągłe reflektory, charakterystyczny „grill” chłodnicy przypominają wcześniejsze samochody tej marki. Szerokie błotniki, zderzaki i progi nadają autu wygląd rasowej terenówki. Wnętrze, podobnie jak we wszystkich tego typu autach, skromne, ale eleganckie i funkcjonalne. Dominują krzywizny i zaokrąglenia, a w kolorystyce czerń i beż. Wersja limitowana bogatsza jest o chromowane elementy konsoli, panelu sterowania i kierownicy. Nowy jeep napędzany jest silnikiem o pojemności 3,7 litra, o mocy 210 KM. (SR)



KONIK NIE NA BIEGUNACH

„Kucyk” to powtórka udanego projektu szwedzkiego designera Eero Aarnio. Wygląda trochę jak ponadczasowa zabawka. Kusi dzieci żywymi kolorami i miękkimi kształtami. Jednak zamiarem Aarnio nie było stworzenie zabawki. „Kucyk” to wygodne krzesło – wymiarami dostosowane do dorosłej osoby. Można na nim „jeździć” lub siedzieć bokiem. Wykonany jest z miękkich materiałów, dostępny w czterech kolorach: białym, czarnym, pomarańczowym i zielonym.

„Kucyk” Aarnio dowodzi, że siedzisko niekoniecznie musi być krzesłem. Może być wszystkim, jeżeli tylko jest ergonomiczne, a więc również przybrać kształt konika. (SR)

www.eero-aarnio/ponychair.htm



Kazimierz – to płótno, na którym ktoś już malował.

TEKST I ZDJĘCIA • ZBYLUT GRZYWACZ

**Trudno zbudować
marzenie od podstaw.
Łatwiej na ruinach.**

MÓJ KAZIMIRZ

Kazimierz nadawał się znakomicie na miasto sztuki. Biedny i brzydki, opuszczony przez prawowitych mieszkańców, przepity i skurwiony, mógł przyciągnąć na swoich zapluty i śmierdzących wodą ulicach artystów, bo jedynie oni potrafili być z niego dumni. Dla innych mieszkać tutaj byłoby dyshonorem.

Tylko on mógł się stać krakowską *quartier des artistes*. Dzielnica otwarta na zmiany, materiał do kształtowania, miękki i podatny jak glina. Miasto o niegdyś wyrazistych, teraz zatartych rysach twarzy, miasto, które czekało na odrodzenie, ale ani jako rekonstrukcja, ani nowa budowla. Trudno zbudować marzenie od podstaw – łatwiej w ruinach.

W czasach Akademii lubiliśmy malować na starych obrazach, przetartych bielą cynkową z pokostem. Nowe gładkie płótno onieśmiałoby i było zupełnie bierne. Stare, z przebijającą tu i ówdzie farbą, jej kolorem i materia, uczestniczyło w malowaniu, coś podpowiadało. Kazimierz – to było płótno, na którym ktoś już malował. Odszedł nie z własnej woli, farba złuszczyła się, domy rozsypały, świątynie obumarły, cmentarze zarosły trawą.

Montmartre, wzgórze Męczenników, niedwuznacznie kojarzył się z kazimierską martyrologią. Żydowska część Paryża mieściła się na dawnych bagnach, *marais*, w dzielnicy o tej nazwie. Malaryczne było od zawsze powietrze zbudowanego na podmokłych terenach Kazimie-

rza, niegdyś wyspy Wisłą odciętej od Krakowa, a od Zabłocia i Ludwinowa jej wążutką odnogą, Zakazimierką. Syf i malaria – tak mówiono w Krakowie o przedwojennym Kazimierzu. Na trótarzu Miodowej, Berka Joselewicza, Brzozowej wylegały o zmroku kolorowe i pachnące larwy, jak na St. Denis i St. Martin.

Nas zdejmuj, nie cegły

Włóczyłem się po Kazimierzu w jesienne, słoneczne popołudnie i robiłem mu zdjęcia. Targowy zgiełk oddalił się już z placu Nowego, było pusto, upalnie, sennie. Kiedy fotografowałem ceglany okraglak na środku placu, usłyszałem:

– Kierowniku, tu rób, nas zdejmuj, nie cegły.

Między opustoszałymi straganami czterech mężczyzn i jedna kobieta. Podchodzi jeden:

- Nie gniw się kierowniku, grzecznieśmy som, ale w potrzebie.
- Idź, idź, bajoku, co się mam gniwać, tyż z Kazimierza jeżdżem. Ile wam brakuje?
- Ile uzbirasz. Poszukej.
- Masz piontkę, wincy nie moge.
- Daj Boże zdrowie, kierowniku.
- Wam też.

Poszedłem, a oni się zostali z tą piątką. Coś se pewnie za nią kupili, nawet wiem co – pani Wandzia, co sprzedawała kiedyś na placu koninę, niedawno otworzyła sklepik „Piersióweczka i fajeczka”. Taki już ze mnie krześcijanin, że lubię bliźniemu pomóc.

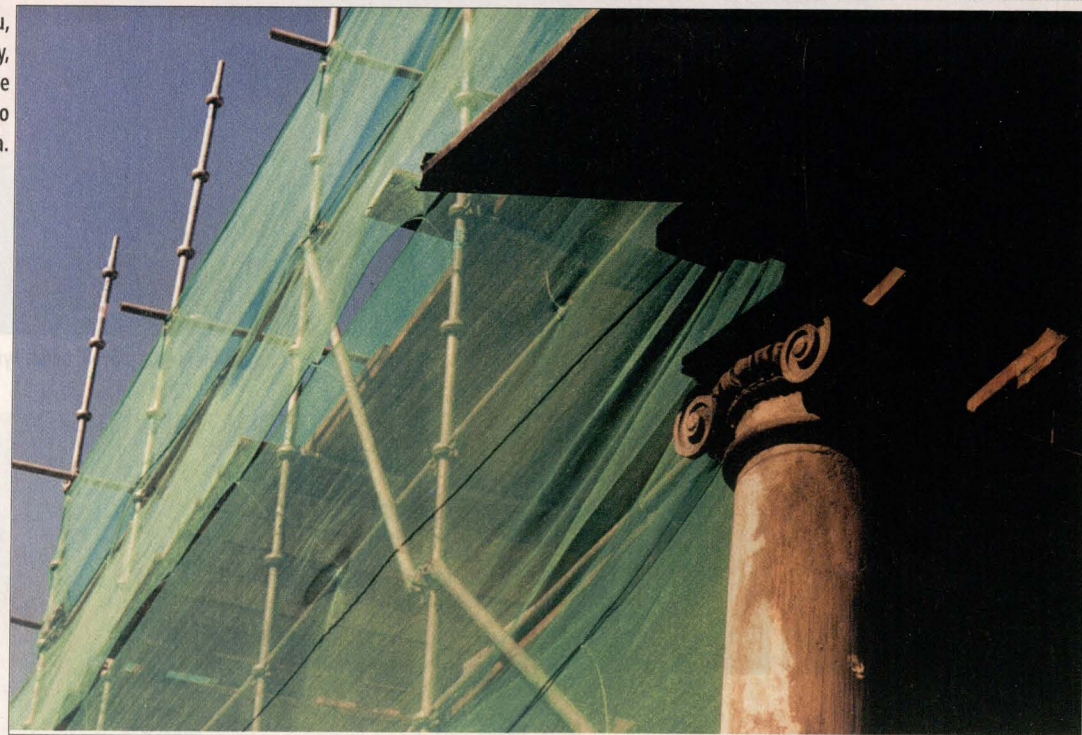
Sobie też lubię, więc poszedłem na piwo do „Alchemii” na rogu placu Nowego i Estery. Jacek Żakowski, niegdyś sprzedawca win, który kilka lat wcześniej prowadził całkiem udaną restaurację pod arkadami na Krakowskiej i był współwłaścicielem Teatru Bückleina na Lubiczu, otworzył przed rokiem z Olkiem Wityńskim „Alchemię”, która od razu, podobnie jak starszy o kilka lat „Singer” na rogu placu i Izaaka – stała się jednym z najbardziej znanych, lubianych i obleganych w Krakowie kawiarniano-piwnych miejsc, a w dodatku, jak przeczytałem w którejś z gazet, dosłużyła się miana miejsca „kultowego”. Kultowe, nie kultowe, piwo w upały przyjemna jest rzecz.

Przez otwarte drzwi patrzyłem na okraglak i myślałem o czasach, kiedy wi-





Tu, na Kazimierzu,
nic nam się nie należy,
a jednak stale
coś niezwykłego
się zdarza.



KAZIMIERZ SPONTANICZNY

Założone przez Kazimierza Wielkiego miasto o królewskim imieniu otrzymało prawo lokacyjne 27 lutego 1335 roku. W następnych latach przyłączono do niego sąsiednie wsie – m.in. Bawół (według przekazów historycznych to właśnie na jej terenie zaczął wznosić Kazimierz pierwszy budynek Akademii Krakowskiej). Z końcem XV w. osiedlili się tutaj Żydzi. Rozwój obu części Kazimierza – chrześcijańskiej i żydowskiej – trwał do połowy XVII w. Najazd szwedzki spowodował wielkie zniszczenia i położył kres epoce rozkwitu. Oddzielony od Krakowa Wisłą, która, rozgałęziając się pod Skalką, płynęła głównym nurtem przez ul. Dietla i Daszyńskiego, był Kazimierz do 1813 r. wyspą otoczoną murami miejskimi z bramami i basztami. Konstytucja 3 maja włączyła go do Krakowa. W XIX w. rozebrano mury miejskie, a z końcem lat siedemdziesiątych, za prezydentury Dietla, osuszono ostatecznie koryto starej Wisły. Kazimierz stał się dzielnicą Krakowa. Jedną z najbiedniejszych. W ostatnich latach zrodził się pomysł rewitalizacji Kazimierza. Powołano zespół ekspertów, powstało Towarzystwo Miłośników Królewskiego Miasta Kazimierz i utworzono Biuro Lokalne Kazimierz – na szczęście jednak Biuro nie posiada funduszy, dzięki czemu Kazimierz rewitalizuje się spontanicznie.



działem go w wyobraźni jako pomniejszoną replikę słynnego „Ula” – paryskiej siedziby artystów pierwszego ćwierćwiecza XX wieku na Montparnasse; La Ruche zastąpił Bateau-Lavoir w czasie, kiedy Montmartre zatracił autentyczność i stał się dzielnicą turystyczną. Wyobrażałem sobie kazimierski ul z jego sklepikami wokół i jatką w środku jako zespół pracowni i galerii z wielkim atelier malarskim w centralnym, posiadającym górne światło, okrągłym pomieszczeniu.

Wypić wszystko do dna

To było z końcem lat 50. Po upadku socrealizmu zaczęliśmy się karmić sztuką nowoczesną i egzystencjalizmem importo-

wanym z Paryża, piosenkami Piaf i Bransensa, francuską literaturą, poezją i dramatem, filmami René Claira i Marcela Carné. Stolicą sztuki był wciąż jeszcze Paryż. Tam przecież żył Picasso, Braque i Matisse. Z Montmartre'u i Montparnasse'u tamtych czasów docierały do nas wezwania, by dołączyć do ponadnarodowego cechu malarzy, do peintres maudits.

To była wizja absolutnej wolności, ofiarującej prawo do bycia sobą. Trzeba było tylko, wchodząc tam, nauczyć się wypijać wszystko do dna: miłość, sztukę, wino i nie bać się zamieniać nocy na dzień, nie obawiać się szaleństwa.

Wiedzieliśmy wtedy, że marzenia o Paryżu pozostaną nimi do końca, było oczywiste, że nigdy się tam nie dostaniemy – pozostawała lektura, filmy, reprodukcje. To dzięki nim staliśmy się bezpaszportowymi obywatelami Paryża.

Skoro nie dało się tam pojechać, można było Paryż w marzeniach ściągnąć tutaj. Jego namiastką stała się nowo narodzona Piwnica pod Baranami. Kiedy niemal co noc wracałem stamtąd na Krakowską przez śpiący Kraków, zbliżałem się do mojego, zbudowanego z marzeń, Montmartre'u. Czułem się artystą, miałem za sobą pierwsze wystawy w Piwnicy z Wiesławem Dymnym i Ryśkiem Horowiczem. Najtańszy z jaboli – „Flisak”, który pod-

grzewało się z goździkami w piwnicznym barku, nazywaliśmy grogiem, najtańszą z wódek – absyntem.

Całe życie spędziłem w tej dzielnicy – od 1939 do końca wojny na św. Stanisława między Paulińską i Dietla, później, od 1945 do teraz, na Krakowskiej, między Skaleczną i św. Katarzyny. Ochronka na Skalecznej, podstawówka na Podbrzeziu, pierwsza spowiedź i komunie w Bożego Ciała, pierwsza walka na pięści w jednej z bram na Józefa, pierwsze macanie dziewczyn na Krakowskiej, pierwsze pijactwo tamże.

Chodziłem wtedy często po Kazimierzu, po jego żydowskiej części, Szerokiej, Lewkowej, Kupa, Ciemnej, ze szki-

ILUSTRACJA PIOTR GOLEWSKI



... na piwo do „Alchemii” chodzę albo trochę bliżej, na Miodową do utrzymanej w guście czasów stalinowskich „Propagandy”.



cownikiem. Obrzeżone wyszczerbionymi ceglanymi ścianami, wzdymały się na parterach zburzonych domów pagóry porastające w lecie mleczem, pokrzywami, tasznikiem i łopianami. Słodko pachniały gówna, bzyczały gnojne muchy, miauczały wychudzone koty, pełno było rozbitych butelek, gnijących materaców, tu i ówdzie sterczały zardzewiałe sprężyny spróchniałych tapczanów i rozeschnięte futryny okien i drzwi, ponieważ się rozmokłe buty i gnijące szmaty.

To było dawno, niemal pół wieku temu. Potem to, co uznano za zabytek, dostało się w ręce konserwatorów, reszta niszczała sobie spokojnie jako dobro niczyje. Tu i ówdzie na ruinach zbudowano byle jaką plombę, jedną z synagog oddano w ręce rzeźbiarzy. Z końcem epoki go-

mułkowskiej wyburzono kilka budynków, pozwalając innym pękać i rozsypywać się samodzielnie. Żydowska część Kazimierza butwiała jak zrzucone, złachmanione ubranie, reszta dzielnicy udawała, że jest Krakowem, żyła w cieniu swojego starszego o kilkadziesiąt lat, szykownego brata.

Składanka ludzi nie stąd

Wstałem od stolika, zapłaciłem za piwo i poszedłem w stronę Krakowskiej. Mój olympus, fotografująca maszynka dla idiotów, domagał się kolejnego posiłku.

Kazimierz to składanka ludzi nie stąd – ludzi stąd już tu prawie nie ma. Dzielnica rodzi się na nowo, jest second hand, jak szmaciane sklepy, których tu pełno, szczególnie na Bożego Ciała. Ale jest też na Bożego Ciała sklep, jakiego nie

uświadczysz w Krakowie, nazywa się „Czar starej płyty” i mało, że można kupić stare płyty, to jeszcze znajdziesz tu fotostykinowe z lat 50. i 60. z filmów René Claira i Marcela Carné. A w ogóle to zaroilo się tutaj od sklepów ze starociami. Na samej Józefa są trzy: „Stary sklep” przeniesiony ze Starowiślniej, najbliższy Krakowskiej „Meander” i najmniejszy z nich, najstarszy i najładniejszy, nazywający się po prostu „Starocie”.

Jak to jednak dobrze, że przez kilka dziesiątków powojennych lat dano Kazimierzowi spokój, że pozwolono mu starzeć się i umierać spokojnie – bo jeszcze by mu się nieszcześnie jakieś przytrafiło w rodzaju konkursu na projekt zagospodarowania dzielnicy. Wtedy był czas na projekty zagospodarowania wszystkiego.

Jedynie, co się sprawdziło w tym projekcie i przetrwało dziejowe burze, to bary mleczne. Był taki jeden od niepamiętnych czasów na rogu Krakowskiej i Meiselsa, potem przeniosło go na róg Węglowej, a teraz wyparł dawną knajpę Kazimierz naprzeciw moich okien. Ruskie są droższe niż w barze mlecznym na Floriańskiej, ale też nieźle.

Prym w dobrym i tanim jedzeniu widzie jednak na Kazimierzu „Endzior” na placu Nowym, nazywanym niekiedy Żydowskim. Grochówka endziorówka, żerberka i nade wszystko gigantyczny, nie mieszczący się na talerzu kotlet z kurczaka z domową kapuchą i chlebem, wydawane przez Andrzeja Kamińskiego z jednego z okienek w okraglaku, to najpożywniejsze, najsmaczniejsze i najtańsze,

co można w Krakowie zjeść na poczekaniu. Jak komu nie w smak, niech obejdzie okraglak, a natrafi na konkurencyjną minigarkuchnię specjalizującą się w golonce i płuckach na kwaśno.

„Endzior”, „Alchemia”, „Czar starej płyty” – to miejsca, które się Kazimierzowi należały. Urodziły się z naturalnej, lokalnej potrzeby, są wolne od szpanu i blagi obliczonej na turystów, nie czarują żydowskim folklorem, nie oszukują. Jest więcej takich miejsc, ale jednak z trudem opiera się Kazimierz temu, czemu nie oparł się paryski Montmartre – stylizacji i kiczowi, żerowaniu na sentymentach. Ulica Szeroka, odwieczne centrum żydowskiego miasta, najwcześniej zamieniła się w centrum turystyczne Kazimierza, najszybciej

uciekl z niej autentyzm. To chyba nieuniknione, tak dzieje się na całym świecie, ale przykro widzieć, jak powracająca do życia dzielnica zaczyna się mizdrzyć, a martyrologia i ślady minionego czasu stają się pamiątkarskim towarem.

Zakochana do naga

Powoli dotarłem na Krakowską. U wylotu Józefa natknąłem się na Wieśka Obrzydowskiego. Obrzydowski – król żydowski, to kazimierski malarz, który potrafi malować wszystko i na wszystkim – kilkanaście lat temu okrzyknięto go antenatem polskich Młodych Dzikich, znalazł się w encyklopediach. Jego nie lubiane przedtem obrazy zaczęły się sprzedawać za ocean, zakochało się w nim do naga kilka Ameryka-



Ludzi stąd już prawie nie ma...

nek i Wiesiek – od gówniarza klepiący biedę i kopiący blaszane pudełko po paście do butów pod arkadami na Krakowskiej (stąd się znamy) – zaczął kupować oraz rozdawać pomarańcze i czekoladę kazimierskim brzdącom, a sobie kolorowe koszule.

Zawsze lubił kolor. U Taranczewskiego w Akademii malarstwo studiował, 40 różnobarwnych koszul nabył, się ożenił raz i drugi, stał się ojcem, ale w końcu sam się został, bez żony, dzieci, koszul, pomarańczy, czekoladek i pudełek po paście – bo kto by z takim kolorystą wytrzymał – ale za to z barwną czapczką, którą na głowę nałożył, kiedym go aparatem postraszył.

Kazimierz to miasto artystów. Na Stawiejskiej mieszkali dwaj ostatni rektorzy

ASP – Jaś Szancebach pod ósmym i Staś Rodziński pod 60. Ostatni Magnificencja uciekł z Kazimierza, kiedy otworzył się w jego kamienicy salon masażu erotycznego, odpowiednik barów mlecznych w Wolnej Polsce (dają tam ruskie, a nawet Ukrainki).

Na Kazimierzu żyje, albo już nie żyje, kilku innych wybitnych artystów – wśród nieżyjących trzeba wymienić rzeźbiarza i architekta Bartolomeo Berecciego, twórcę kaplicy Zyguntowskiej na Wawelu (tak, tak, był obywatelom Kazimierza, nie czaruję lajkonikiem, szopkami, Kantorem, wiankami i hejnałem z wieży Mariackiej. Kiedy już Kraków pęknie z pychy, puścimy znów Wisłę Plantami Dietla i niech krakowianie myto nam płacą, żeby się tutaj dostać.

Na Wolnicy działa też odpowiednik montmartre'owskiego sklepiku Père Tan-

guy dla malarzy; Andrzej i Małgosia Zajacowie przyjaźnią się z artystami, sprzedają farby i blejtramy na krechę. Jak nie masz gotówki, poczekają, ale możesz też zapłacić obrazkiem, rysunkiem albo grafiką. Stąd ich kolekcja rysunków kazimierskich surrealistów – Kołpanowicza z Wolnicy i Łukaszewskiego z Augustiańskiej, a także Obrzydowskiego, Grzywacza, Rodzińskiego – ba, nawet Jacka Gaja z odległego Krakowa.

Lubię po powrocie do domu wyjrzeć przez okno na ulicę, lubię sprawdzić, skąd przyszedłem. Naprzeciwko był tuż po okupacji przedwojenny sklep kolonialny pana Ogorzałego, gdzie kupowało się kuropatwy, przepiórki, raki, a raz nawet ma dzika na chodnik z furmanki zrzucili.

Teraz sklep nazywa się „Cristin”, nie ma raków i dzików, za to są goryle, bo jest otwarty całą dobę, nawet w największe święta. Obok mojej kamienicy, pod 19, działa feministyczne Centrum Praw Kobiet, a za rogiem, w małej uliczce św. Katarzyny, funkcjonuje, też całodobowo, klub biznesmena „Venus” – bogato pachnące, ale za to skąpo odziane panienki wpadają czasem nocą do „Cristin” i odpychając od lady drobnych pijaczków supłających z kieszeni bilon na zbawionego nocą jabola, kupują dla biznesmena luksusowy szampan.

Nie jestem biznesmenem, na piwo do „Alchemii” chodzę, albo trochę bliżej, na Miodową, do utrzymanej w guście czasów stalinowskich „Propagandy”, rzadziej do „Łaźni” na Paulińską. „Łaźnia” to awangardowa scena teatralna, gdzie niedawno festiwal Mroźka się odbywał i z tej okazji rysunki Daniela Mroza tam zawisły – tego Mroza, bez którego „Przekrój” nie byłby „Przekrojem” – podobnie jak bez Skarżyńskiego i Mikulskiego (Mikulski miał pracownię w tej samej plombie na Szerokiej, co Panek).

Pewnie kaźmirzanin przeze mnie mówi, ale coś na stare lata zaczynam nie lubić Krakowa z jego nabzdyczeniem i przekonaniem, że się mu wszystko należy. Tu, na Kazimierzu, nic nam się nie należy, a jednak stale coś niezwykłego się zdarza. Kazimierz oddycha głęboko swoim malarycznym powietrzem, nie czaruję lajkonikiem, szopkami, Kantorem, wiankami i hejnałem z wieży Mariackiej. Kiedy już Kraków pęknie z pychy, puścimy znów Wisłę Plantami Dietla i niech krakowianie myto nam płacą, żeby się tutaj dostać.

TADEUSZ PIÓRO

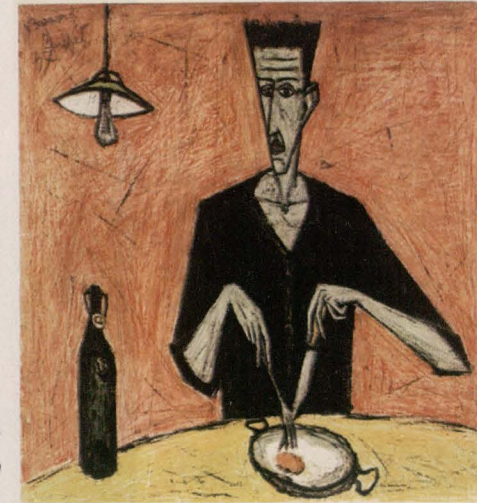
Największy poeta kuchni
i najlepszy kucharz poezji.
Na deser – tłumacz i redaktor.
Czterdziestolatek.



FOT. ELŻBIETA LEMPEL

Pociecha z przepisów

Dlaczego nie mogliśmy się
cieszyć przepisami
na marchew po kaprańsku,
po bosmańsku, po ormowsku
i à la Komitet Wojewódzki?



BERNARD BUFFET
Mężczyzna z jajkiem
na talerzu, 1947

Jak podają źródła dobrze poinformowane, Teatr „Wybrzeże” przygotowuje spektakl oparty na książkach Lucyny Cwierzczakiewiczowej. Nie wiem, na czym ma polegać adaptacja sceniczna książki kucharskiej, lecz pomysł budzi moją sympatię.

Po raz pierwszy zetknąłem się z dziełem Cwierzczakiewiczowej w latach 80., kiedy mieszkalem w Kalifornii. Czytając 365 obiadów, myślałem, że ta wznowiona właśnie w kraju nękanym przez kryzys gospodarczy książka zapewne przypomina czytelnikom polskim science fiction.

Nie wiem, czy się myliłem, lecz książka, która wpadła mi w ręce całkiem niedawno, zdaje się pośrednio potwierdzać moje domysły o recepcji Cwierzczakiewiczowej. Jest to... „Bukiet z warzyw” Henryka Dębskiego. Dwa tomy, jeden poświęcony warzywom gotowanym, drugi surówkom (wyd. 1988 r.). Całość zadeptykowana dowódcy Śląskiego Okręgu Wojskowego gen. dywizji Henrykowi Rapacewiczowi.

Przepisy podane przez Dębskiego ukazują mizериę polskich sklepów, żalosną nieadekwatność dostępnych produktów do nawet najskromniejszej gastronomii, a zarazem – inwencję, jaką wykazuje autor pragnący opisać, dajmy na to, dwadzieścia pięć dań ze szparagów czy dwadzieścia osiem z kalafiora. Mając do dyspozycji kilka rodzajów przypraw i ziół, Dębski manipuluje nimi tak, aby stworzyć pozory różnorodności, co wzbudza uznanie na płaszczyźnie teoretycznej, choć praktyczne rezultaty kolejnych permutacji śmietany, majonezu, ketchupu, migdałów, kminku, papryki i curry przypominają niektóre z literackich zabaw pisarzy z grupy OULIPO – zabawne, ale niejadalne.

Jednocześnie Dębski posługuje się ograniczonym i powtarzającym się zestawem nazw, stosując je bez większej konsekwencji. Dla przykładu, szpinak po redaktorsku I zawiera jaja, śmietanę, koperek i czosnek, a pory po redaktorsku I – śliwki suszone, natkę, cytrynę i olej. Karczochy po gene-

ralsku dusi się z baraniną i podaje z żółtym, twardym serem, natomiast szparagi po generalsku to wykwinne danie z kawiozem, śmietaną i ketchupem.

Zastanawiają kryteria doboru tych nazw. Wojskowy ukłon w dedykacji książki sugeruje pewną hierarchiczność – szparagi à la Pompadour II składają się z pieczarek, natki, ketchupu i „twardego, żółtego sera”, więc chyba jednak mają o gwiazdkę mniej od wersji z kawiozem. Natomiast kalafior po generalsku wzbogacamy „parówkami cienkimi”, ketchupem, śmietaną i serem (twardym, żółtym). Można by wnioskować, że „po generalsku” oznacza dania z ketchupem i serem, coś w stylu włoskiego sosu pizzaiola. Lecz nie: pory po generalsku podajemy z majonezem, kaparami, śmietaną i trybulką.

I tak Dębski okrasza warzywa nie tylko tym, co w peerelowskich sklepach bywało, lecz również fantazyjnymi nazwami. Chyba tylko tajemnicze, militarne upodobania nazewnictwa fantazje

MARCHEW PO GOSPODARSKU

aliści z książki Henryka Dębskiego.

Pół kilo marchwi pokroić w plasterki, nie za grube, nie za cienkie. W dwóch łyżkach dobrej oliwy usmażyć dużą, pokrojoną w talarki cebulę, na małym ogniu, pod pokrywką. Kiedy zmięknie, dodać marchew, dobrze wybełtać ją w tłuszczu i cebuli i dusić pod przykryciem przez dwadzieścia minut. Następnie posypać łyżką maki i mieszać przez parę minut, zarazem grzejąc ćwierć litra rosółu. Wycisnąć ząbek czosnku na marchew, polać wrzącym rosółem, dolać ćwierć litra chudej, słodkiej śmietanki i gotować bez przykrywy, aż sos będzie nieco gęstszy, a marchew miękka. Doprawić solą, pieprzem, ewentualnie cukrem, posypać natką lub koperkiem. Świetne do pieczonej kury bądź schabu.

tę ograniczają: czy zamiast czterech odmian marchwi à la „Hotel Europa” nie moglibyśmy cieszyć się przepisami na marchew po kaprańsku, po bosmańsku, po ormowsku i à la Komitet Wojewódzki? Skoro są dania po sułtańsku, po cesarsku, „Duchesse”, po kapitańsku, à la Jockey Club, „Rakoczy”, à la Comtesse, po hetmańsku, „Opera” i „Lord”, czemu nie à la Markiz de Sade, Dracula, Zagłoba, czy Brillat-Savarin? Kiedy autorowi nie pasuje żadna inna nazwa regionalna, pisze – „po wrocławsku”, choć dania określane jako andaluzyjskie, chorwackie, wiedeńskie czy kalifornijskie tyleż mają wspólnego z tamtejszymi tradycjami kulinarnymi, co karczochy ze Śląskim Okręgiem Wojskowym.

LISTY PIECZĘTOWANE SOSEM

Makłowicz do Bikonta

– z Puszczy Knyszyńskiej

Drogi Piotrusiu!

Z góry przepaszam za słowotok, ale Supraśl, Puszcza Knyszyńska, a nade wszystko porterówka nie pozwalają kondensować wrażeń. Myślę, że z trzech wymienionych na wstępie rzeczy najbardziej zainteresuje Cię ostatnia.

Tak, tak, ten zacny alkohol, znany w naszym zimnym kraju od wieków, choć ostatnimi laty całkowicie zapomniany, wyrabia się nadal domowymi sposobami na Białostocczyźnie. Zapewne wiesz, że to coś w rodzaju nalewki, sporządzanej z udziałem ciemnego piwa i spirytusu. Śniada, lekko słodka, niezwykle ekstraktywna i pozwalająca zapomnieć, że żyjemy w czasach liofilizowanej żywności i win z proszku (à propos – wina z proszku to podobno żelazny punkt przyjęć u jednego z naszych czołowych reżyserów). Białostocczyzna przenosi w przeszłość. Wieloreligijność, wielokulturowość – jakaś odmiana po płaskiej monotonii, którą pobrzmiwia większość dzisiejszej Polski. Ale głodnym i przypadkowym gościom Supraśl nie ma wiele do zaproponowania, bo choć gotują tu wyśmienicie, to raczej w domach. Babki i kiszki ziemniaczane – oto prawdziwa ozdoba okolicznych stołów, a co roku w maju urządzane są mistrzostwa świata w ich przyrządzaniu. Każdy może przyjechać, lecz nie dla każdego wystarczy. Trzeba zatem z kimś miejscowym się zaprzyjaźnić, o co doprawdy nietrudno, lub zjechać na letnisko. Najlepsze jedzenie na sprzedaż proponuje w Supraślu jadalnia „Łukaszówka”, a miła właścicielka, pani Maria, z pewnością przyrządzi babkę lub kiszkę, gdy da jej się odrobinę czasu.

I jeszcze jedna kulinarna perełka, choć dla większości, niestety, tylko teoretyczna. W Supraślu mieszkają polscy Tatarzy (w niedalekich Bohonikach i Kruszyńskach stoją czynne meczety) i nadal kultywują swą wspaniałą kuchnię. Takich kołdunów czy pirogów (cienkie płaty ciasta makaronowego, smarowane masłem i zwijane jak strudel z kawałkami wołowiny i cebulą lub jabłkami i rodzynkami, a potem pieczone), jak w domu u państwa Bogdanowiczów, nie jadłem w życiu.

Były plany, by w Białymstoku otworzyć restaurację tatarską, wiem, że pani Dżeneta Bogdanowicz przygotowuje książkę kucharską z tatarskimi przepisami, więc jest szansa, że te kapitalne dania przekroczą progi domowych pieleszy i przestaną być stawką tylko dla wtajemniczonych. Życzę tego wszystkim, a nam dwóm zwłaszcza.

BOBEK

PS. SMS

PIJE WŁASNIE SZWENDACZKA. TO ZBOZOWY BIMBER, WYRABIANY MASOWO W DZIKICH OSTEPACH PUSZCZY KNYSZYŃSKIEJ. ZWANY SZWENDACZKIEM, BO PEWNA CZĘŚĆ PRODUKCJI ZOSTAWIA SIĘ W WIADOMYM MIEJSCU WIADOMYM SŁUŻBOM, BY SIE ZA BARDZO NIE SZWENDALY. A LA VOTRE!!!

FOT. IGOR OMULECKI



Bikont do Makłowicza

– z Augustowa

Siedem dziewcząt z „Albatrosa” – tyś jedyna; Dziś pozostał mi po tobie smutek, żal...

Owóż, Bobeczku Drogi,

ów smutek i żal trwa nadal w „Albatrosie”, bo i „Albatros” trwa wciąż w Augustowie. A ten smutek i żal jest miły i wesoły, bo chociaż miejsce jest nieco obskurne, to jednak mgła legendy je spowija. I co niedzielię jest dancing i ponoć zdarza się czasami, że występuje osobiście Janusz „Żółty Jesienny Liść” Laskowski z Beatą na ustach.

I zjesz tu lepiej niż gdziekolwiek w Augustowie. Przede mną delikatny jak... (osiemnaście miałaś wtedy lat, dziewczyno...) „szczupak z rzeki Netty” (lokalny akwen) ugotowany jak trzeba, w jarzynach. Czekałem na niego godzinę, ale warto było.

Są różne świeże ryby, poza tym jeszcze plusik, że podają kartacze, czyli wrzecionowate kluchy z polsko-litewskiego pogranicza.

Bardzo tanio.

Nawet wolę się żywić w „Albatrosie” niż w „Starym Młynie”, gdzie jeżdżą na ryby (jeść) lokalni smakosze – paręnaście kilometrów za miasto, do Białobrzegów czy raczej „do Białobrzeg”, jak się tutaj mówi.

Ale w „Starym Młynie” jest fajnie, bo to jest rzeczywiście stary młyn nad wodą, gdzie miło jest kieliszeczek pod sielawkę wychylić.

Co i czynię, na Twoje zdrowie!

Piotr



ZŁOTA KAWKA u La Fontaine'a

Działająca od niedawna pod patronatem „Przekroju” samowznająca Galicyjska Akademia Smaku w składzie: Michał Ronikier (prezes) oraz Piotr Bikont, Bronisław Maj, Robert Makłowicz, Stanisław Mancewicz, prof. Jerzy Mikołowski-Pomorski, Piotr Mucharski, Jan Kanty Pawluśkiewicz, Andrzej Starmach – po raz czwarty przyznała swoją doroczną nagrodę Złotej Kawki dla najlepszej restauracji działającej w Galicji. Z pięciu nominatów jury postanowiło uhonorować restaurację „La Fontaine” przy ul. Sławkowskiej w Krakowie, prowadzoną przez kucharza z Lyonu, Pierre'a Gaillarda, który jest zarazem właścicielem tego lokalu (wcześniej Gaillard był szefem kuchni w innej krakowskiej restauracji – „Cyrano de Bergerac”, która zdobyła Złotą Kawkę trzy lata temu. Wyróżniono też „Copernicusa”, „Guliwera”, „Jareme” i „Pod Różą”. Nagrodę specjalną – Jajo Kawki za najlepszą potrawę roku, otrzymał pan Rafał Targosz z restauracji hotelu „Copernicus” za oryginalną sarninę. Obie statuetki wyrzeźbił Piotr Klamerus z Zakopanego.

MÓWIĄ LAUREACI:

PIERRE GAILLARD: – Staram się korzystać z „polskiej bazy”: grzybów – zdecydowanie lepszych niż we Francji, kapusty, wędliny, drobiu, ryb, jarzyn oraz owoców. Jest mi bardzo miło, kiedy słyszę, że w mojej francuskiej restauracji można zjeść bigos z polską duszą. Mogę zdradzić, że kiedy noszę się z zamiarem zmiany menu – wybieram się na krakowski Kleparz. Zanurzam się wtedy w krainę zapachów i kolorów, szczególnie intensywnych latem. Szczególną uwagę zwracam na śliwki, melony, szparagi i grzyby – zwłaszcza borowiki i kurki. Po takim spacerze rodzą się nowe pomysły. To właśnie w Polsce nauczyłem się robić konfiturę z róży. Ten pomysł również zrodził się na Kleparzu. Każde nowe danie sprawdzam komisyjnie wśród swoich kucharzy. W kuchni każdego kraju jest coś wartego zapamiętania – specyficznego. Kuchnia polska kojarzy mi się na przykład z kobiecą ręką, z czymś domowym. Nie jest to jednak kuchnia lekka. Prywatnie, moim ulubionym polskim daniem są domowe pierogi z mięsem. Koniecznie zrobione przez kobietę. Zgadza się ze stwierdzeniem, że każdy jest tym, co je. Ja jestem łasuchem. Szczególnym sentymentem darzę deser, który przywołuje wspomnienia z dzieciństwa: gorąca tarta jabłkowa z karmelem.

Licę na to, że tak jak Lyon we Francji, tak też Kraków stanie się kulinarną stolicą Polski. Dobra kuchnia jest sztuką. Jej miejsce powinno więc być tam, gdzie znajduje się kolebka artystów. W Krakowie. **RAFAŁ TARGOSZ:** – Chciałem uzyskać połączenie smaku typowej polskiej kuchni z nutą francuską. Świeży comber musi być „wyluzowany” i oczyszczony z wszelkich błon. Czyste mięso kroję na 5-centymetrowe kawałki, które zawijam w słoninę. Obsmażam na mocnym ogniu około 30 sek. i odstawiam do piekarnika. Przygotowuję ciasto pierogowe oraz farsz z kiszzonej kapusty i suszonych grzybów, z dużą ilością cebuli. Seler kroję w cienkie plasterki i smaży na głębokim tłuszczu. Po usmażeniu – posypuję solą. Teraz sos: prażone kości sarny zalane wodą z dodatkiem marchwi, selera, kapusty, cebuli, liścia laurowego oraz sporą ilością jałowca, długo redukuję, co oznacza zmniejszanie objętości przez gotowanie. Wyjętą z piekarnika sarninę delikatnie obsmażam, dodając gin oraz zredukowany wywar, a także masło. Gotuję pierogi. Na talerzu kładę trzy kawałki sarniny, usmażone chipsy z selera, obkładam piekarnikami i polewam gęstym sosem – z dziczyzny. Dekoruję natką pietruszki. (JT)



FOT. JUSTYNA MIELNIKIEWICZ

RYŚ. ANDRZEJ ZARĘBA

Szalona Wołowina

Sprzedaż mięsa wołowego spada. Nieufnie patrzymy też na galaretki, żelatyny, zupy w proszku, mrożone pierożki, kremy, a nawet leki w kapsułkach. Czy możemy czuć się bezpiecznie?



FOT. WOJCIECH PLEWIŃSKI

W Polsce nie wykryto dotąd przypadku choroby szalonych krów. Od roku 1992 r. trafiło do nas ponad 25 tys. krów z Zachodu. Nasze służby weterynaryjne nie dysponują co prawda systemami komputerowymi pozwalającymi na elektroniczne śledzenie każdego zwierzęcia, jednak tradycyjnymi metodami zorganizowano sprawny monitoring importowanego bydła.

Krasule pod specjalnym nadzorem

Państwowy Instytut Weterynarii w Puławach dysponuje 5 tys. szwajcarskich testów PRIONICS, pozwalających wykryć obecność zmutowanych, tzw. płaskich prionów. Testami będą objęte wszystkie zwierzęta z grupy wysokiego ryzyka, a zwłaszcza

sztuki importowane wykazujące objawy neurologiczne oraz padłe bądź kierowane do uboju z konieczności.

Wykonanie jednego testu kosztuje ok. 200 zł. Będzie go można przeprowadzić w laboratorium w Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu lub Krakowie. Funkcję laboratorium odwoławczego będzie pełnić ośrodek w Puławach. Planuje się, że w tym roku wykonanych zostanie kilkanaście tysięcy prób.

– Granice są szczelne – uważa Andrzej Komorowski, główny lekarz weterynarii. – Takiej mobilizacji na przejściach jeszcze nie widziałem. Wszyscy wiedzą, z jakim zagrożeniem mamy do czynienia. Poza tym do hodowców dotarło, że jeden wykryty przypadek BSE będzie oznaczał

wielkie koszty – stracą nie tylko zwierzę, ale wyeliminowane zostanie całe stado.

Jedzenie trafiające na nasze stoły jest w miarę bezpieczne.

Intryguje mnie jednak, co o zagrożeniu sądzi mój kot. „Kocie” puszk („psie” zresztą też) zawierają i wołowinę, i żelatynę. Co prawda na opakowaniu jako producentów karmy wymienia się polskie filie międzynarodowych koncernów, jednak obawiam się, że często „produkcja” polega tylko na pakowaniu do puszek i naklejaniu etykiet. A przecież BSE może przeniesić się też na koty.

Minister jada wołowinę

Minister Komorowski nie zrezygnował z wołowiny w menu. – Nie dziwię się, gdy ktoś mówi, że boi się jeść mięso wołowe. Moja rodzina kupuje je u znanego,

DOBRY SPIRALNY, ZŁY – PŁASKI

Za odkrycie prionów amerykański biochemik Stanley Prusiner dostał Nagrodę Nobla w 1997 r. Dołączył je do listy dobrze znanych czynników zakaźnych: bakterii, wirusów, grzybów i pasożytów. Priony są normalnymi białkami komórkowymi, mogą jednak zmieniać swoją strukturę w układy, które tworzą cząsteczki groźne dla ludzi i zwierząt. Choroby te mogą być dziedziczne, przeniesione przypadkowo lub pojawiać się spontanicznie. Cechą charakterystyczną zainfekowanego mózgu jest porowaty i gąbczasty wygląd. Białko prionu może przyjmować dwie postacie, z których jedna – płaska – prowadzi do choroby, a druga – spiralna – jest prawidłowa. Białko prionu chorobotwórczego ma właściwości zakaźne i może zapoczątkować reakcję, w wyniku której „dobre” białko jest przekształcane w „złe”. Priony chorobotwórcze są przy tym wyjątkowo stabilne i trwalsze od swojej niegroźnej wersji. Są poza tym naturalnymi białkami obecnymi w organizmie od urodzenia i dlatego nie ma reakcji odpornościowej.

sprawdzonego dostawcy i w czasie weekendów, gdy jestem w domu w Krakowie, co najmniej dwukrotnie wołowina trafia na stół – stwierdził.

Polska baranina też wydaje się całkiem bezpieczna. Nie jest to co prawda mięso popularne, czego konsekwencją jest spadek liczebności stada owiec w kraju z miliona do ok. 100 tys. sztuk. Polska jagnięcina częściej trafia na włoskie niż na polskie stoły. Jednak teraz może sytuacja się zmienić.

Na kryzysie związanym z chorobą BSE mogą też skorzystać producenci innego białka zwierzęcego: drobiu i ryb. O ile oczywiście Polacy zdecydują się na powrót do tradycyjnej kuch-

ni, w której prócz wszechobecnego bigosu kiedyś królowały ptaki – nie tylko kapłony, ale i gęsi, kaczki, bażanty itd., a także ryby w wyborze większym niż zakąskowy śledź i święteczny karp. O pasztecie z królika i dziczyźnie już nie wspominam.

Strach ma wielkie oczy

Jak rozpoznać BSE? Zwierzęta stają się lękliwe, zmienia się ich temperament i zachowanie, są agresywne, nadwrażliwe na dźwięk i doznania wzrokowe. Często oblizują nozdrza, nisko trzymają głowę, mają skłonność do szerokiego rozstawiania kończyn i ich wysokiego unoszenia, drżą im mięśnie, łatwo się potykają. Zauważa się też spadek mleczności i masy ciała mimo zachowanego apetytu.

Problem w tym, że takie same objawy występują w przypadku innych chorób: tężyczki pastwiskowej, nerwowej postaci ketozy, porażenia poporodowego, zalegania pourazowego, zatrucia ołowiem, listeriozy, wścieklizny, zatrucia jadem kiełbasianym, zapalenia opon mózgowych i mózgowia, a nawet ropnego zapalenia zatok. Nie ma obecnie metody pozwalającej wykluczyć lub potwierdzić BSE u żywego zwierzęcia. Wykazują to dopiero testy przeprowadzone na padłej sztuce.

Za mało wiemy, by z chorobą walczyć i za dużo, by się nią nie przejmować. Polskie służby sanitarne i weterynaryjne starają się opanować panikę podsycaną często przez dbających o własne interesy obcokrajowców oraz plotki, nadające BSE rozmiar apokalipsy. Mój kot zaczyna miauczeć, że za często dostaje ryby zamiast pysznej wołowinki, a ja sam waham się, czy nie stać się praktykującym vegetarianinem. Nie można bowiem wykluczyć, że z czasem choroba przeniesie się na wszystkie gatunki zwierząt. U Spielberga „prionami” zarażone były nawet dinozaury.

DZIERŻYSLAW PROSNIAK

NAUKOWO



FOT. EAST NEWS

TERMITY NA DESER

Milion lat temu nasi dalecy przodkowie jadaliby być może na deser – owady. Na południu Afryki archeolodzy odkryli ostro zakończone kości, które służyły do

dziurawienia kopców termitów. W jaskiniach Swartkrans w RPA członkowie francusko-południowoafrykańskiej ekspedycji znaleźli 23 tys. kości. Okazało się, że ślady typowe dla rozkopywania termitów występują na większości pradawnych narzędzi. Badania szczątków kostnych australopiteków wykazały, że pierwotni mieszkańcy tych terenów spożywali zaskakująco dużo białka, którego prawdopodobnie dostarczały owady.

DIAMENTOWE MIASTO

Na terenie dzisiejszej Bawarii 15 mln lat temu upadł meteoryt o średnicy około kilometra. Siła uderzenia była tak mocna, że znajdujące się pod ziemią pokłady węgla zamieniły się w diamenty wprasowane w skały. Niczego nieświadomi mieszkańcy miasta Noerdlingen od średniowiecza używali wydobywanych tu kamieni do budowy domów. Dopiero w ostatnich latach odkryto, z czego postawiono miasto. Łączną wagę diamentów ukrytych w murach ocenia się na ponad 70 tys. ton. Mimo to ceny nieruchomości w Noerdlingen się nie zmieniły. Największe kamienie szlachetne ledwie można dojrzeć gołym okiem – liczą 0,2 mm średnicy.

SŁUCHAWKA MU ZASZKODZIŁA

Zwykły telefon może się okazać bardzo niebezpiecznym urządzeniem, jeśli mamy zwyczaj przytrzymywania słuchawki ramieniem, aby sięgać po potrzebne papiery bez przerywania rozmowy. Ostrzeżeniem niech będzie przypadek 43-letniego francuskiego psychiatry, który w ten sposób rozmawiał ze swoim pacjentem ponad godzinę. Po odłożeniu słuchawki na moment oślepił, a następnie doznał lekkiego zawału serca. Lekarze doszli do wniosku, że zaburzenia spowodowane były uszkodzeniem arterii szyjnej, doprowadzającej krew do mózgu. Przyczyna? Długotrwały ucisk słuchawki.

MORZA MNIEJ SŁONE

Oceanografowie australijscy uważają, że maleje zasolenie wód morskich. Dokonali oni szczegółowych pomiarów na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim i na głębokości od 500 do 1000 m odkryli znaczny spadek zasolenia w ostatnich dwóch dziesięcioleciach. Badacze sądzą, że winny jest efekt globalnego ocieplenia klimatu. Topnieją lody Antarktydy i większe są opady na dużych szerokościach geograficznych. (LP)

OD TRZĘSAWKI DO CJD

Pierwsze doniesienie o śmiertelnej trzęsawce owiec pochodzi z Islandii z XVIII w. W latach 40. XX w. choroba została przeniesiona do Szkocji. BSE, czyli gąbczaste zwyrodnienie mózgu u bydła, wystąpiło po raz pierwszy w Anglii. Chorobą zostały zainfekowane krowy przez paszę wzbogaconą mączką z padłych owiec. Choroba może się przenosić na różne gatunki zwierząt. U ludzi priony wywołują również choroby Gertsmana-Sträusslera-Scheinkera (dziedziczne schorzenie o typie demencji), zespół śmiertelnej bezsenności rodzinnej oraz atakująca mniej więcej jedną osobę na milion choroba Creutzfeldta-Jakoba (CJD). Choroba ta zazwyczaj występuje spontanicznie (w 85–90 proc. przypadków), choć zdarzało się przeniesienie infekcji przez preparaty hormonu wzrostu, przygotowane z przysadki zakażonych osobników. Czas trwania choroby od wystąpienia pierwszych objawów zazwyczaj nie przekracza roku (jedynie GSS może trwać do 6 lat). W Polsce badania nad CJD prowadzone są od 1995 r., przebadano 80 osób podejrzanych o zachorowanie. Potwierdzenie uzyskano w 48 przypadkach, żaden nie występował w wariantcie związanym z BSE.

WIRTUALNE KONTO

Bankowość przez Internet? Czemu nie? Wygodnie, szybko, bez wizyt w banku, bez kolejek. Coraz więcej banków proponuje takie usługi. Można sprawdzić cenniki, zabezpieczenia i wybrać, co nam odpowiada.

Jak założyć internetowe konto? Zwykle wystarczy wejść na strony interesującego nas banku, wypełnić i wysłać znajdujący się tam formularz. Najczęściej jedynym warunkiem otwarcia rachunku jest nasza pełnoletność. Potem czeka nas jedna jedyna wizyta w wybranym, „na-ziemnym” oddziale banku, by podpisać umowę. To wszystko.

Czy to bezpieczne? To najczęstsza obawa. Banki zapewniają, że tak. Stosują w końcu różnorodne zabezpieczenia. Przede wszystkim dane są szyfrowane. Zwykle wygląda to tak, że zarówno serwer bankowy, jak i nasza przeglądarka przy każdym połączeniu tworzą specjalne klucze – prywatny i publiczny. Bank przesyła nam swój klucz publiczny (tylko za jego pomocą można odszyfrować to, co zaszyfruje prywatny klucz banku) i odwrotnie. Do tego dochodzą dość skomplikowane hasła, piny i inne formy podpisywania każdej operacji.

Pekao SA i LUKAS Bank proponują nam jeszcze jedno zabezpieczenie – token, niewielkie

USŁUGI INTERNETOWE

DLA KLIENTÓW INDYWIDUALNYCH PROWADZĄ OBECNIE:

- Pekao SA (TELEPEKAO24-www.pekao.com.pl)
- BPH (sez@m-www.bph.pl)
- Fortis Bank (pl@net-www.fortisbank.com.pl)
- LUKAS Bank (LUKAS e-Bank-www.lukas.com.pl)
- WBK (WBK 24 internet/wap-www.wbk.pl)
- Bank Śląski (HomeCash- www.bsk.com.pl)
- Handlobank (handlonet-www.handlobank.pl)

urządzone, które dostajemy przy podpisywaniu umowy. W LUKAS-ie jest to breloczek, który wyświetla zmieniający się co minutę ciąg cyfr. Przy każdej transakcji musimy dodatkowo wpisać aktualne wskazanie tokena (ich serwer wie, jakie cyferki powinien wskazywać nasz breloczek). W Pekao SA wygląda to trochę inaczej. Token przypomina mały kalkulator. Przy każdej transakcji na ekranie ukazuje nam się ciąg liczb. Gdy wprowadzimy je do tokena, on pokaże nam swoje. I to jest nasz podpis.

Coraz więcej banków decyduje się na otwarcie wirtualnych od-

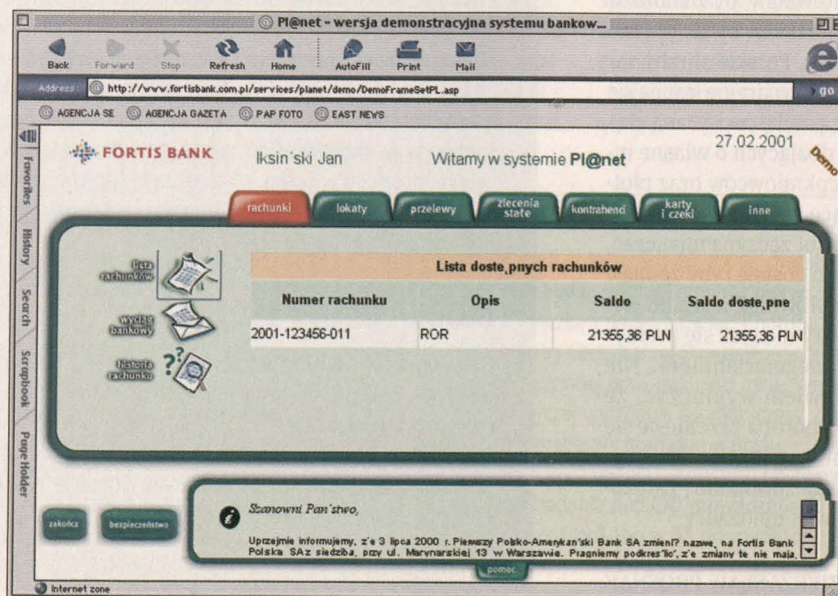
ziałów (np. niedługo zrobi to PKO BP). Inne rozszerzają swą internetową ofertę, to już nie jest tylko bieżący rachunek. Za pomocą komputera można założyć lokatę, starać się o kredyt, zamówić kartę debetową. Wciąż jest to jednak margines działalności banków.

Opinie rynkowe mówią, że w tej chwili z bankowych usług przez Internet korzysta od 30 do 80 tysięcy osób. Realnie jest to najwyżej 30, 40 tysięcy, bo część użytkowników korzysta z usług kilku banków jednocześnie – mówi Cezary Działowski, zajmujący się e-bankowością w LUKAS Banku.

Na Zachodzie konta internetowe też nie dominują jeszcze w usługach bankowych. Z roku na rok jednak wciąż ich przybywa.

Według nas w Polsce jest ponad 1 milion osób, które spełniają warunki, by zostać klientem bankowości on line (tzn. mają dostęp do Internetu i są pełnoletnie). Na to, by bankowość przez Internet miała znaczący udział w działalności naszych banków, trzeba będzie poczekać trzy do ośmiu lat. Przede wszystkim musi upowszechnić się sam Internet, a ludzie potrzebują czasu, żeby przyzwyczaić się do nowości – tłumaczy Sebastian Łuczak z Pekao SA.

MICHAŁ OLSZAŃSKI



Cracovii nie da się lubić

Bezgraniczna głupota i dzika agresja części „kiboli” Cracovii zmieniła sens i efekty jednej z najbardziej słusznych demonstracji ulicznych ostatnich lat.



FOT. RAAEL ULATOWSKI/AGENCJA GAZETA

Przeciwno demonstrantom policja użyła gumowych pocisków, a potem wpuściła ich na Stare Miasto. Zdaniem niektórych obserwatorów strzały sprowokowały tłum. Policjanci uważają, że działali w stanie wyższej konieczności.

Ostatniego dnia lutego około 600 osób demonstrowało pod oknami wojewody małopolskiego przeciwko decyzji o zablokowaniu – na należący do klubu działce – budowy Centrum Handlowego Ivaco. Blokada inwestycji trwa osiem lat, co sprawia, że najstarszy polski klub sportowy odcięty jest od stałego, solidnego źródła dochodów i skazany na powolną agonię.

Gdy wydawało się, że sprawa zmierza do korzystnego dla klubu rozwiązania, decyzję o budowie wstrzymał w ostatnim momencie wojewoda Ryszard Masłowski. Powodem były protesty ekologów, okolicznych mieszkańców oraz sądowy spór o działkę, do której praw domagają się jej dawne właścicielki, siostry nobertanki.

Cracovia, będąca kiedyś symbolem miasta, nieomal narodową wartością, pogrążyła się w finansowym upadku, przed którym ratunkiem miała być niemiecka inwestycja. Młodzi przedstawiciele kibiców, którzy (wraz z dwukrotnym prezesem klubu, dr. Józefem Kalitą) przyjęci zostali przez wojewodę, nie ukrywali, że nie jest to ostatnia demonstracja i że mogą zjawić się również pod budynkami kościelnymi.

Wojewoda twierdzi, że ani siostry (które nie chcą iść na jakiegokolwiek ustępstwa), ani Komisja Wspólna Rządu i Episkopatu nie wywierały na niego nacisku. Że postępuje lege-

artis. Komu się ten tryb nie podoba, może wnieść zażalenie.

Dla przyzwoitości napiszemy najpierw do naszego papieża, honorowego członka Cracovii, może on im przejdzie przez rozum, a jeśli nie, to... Takiej zadymy jeszcze nie było. Cracovia ma przyjaciół na dziesiątkach stadionów. Przyjadą, dołączą, pomogą – ostrzegali.

„Episkopat niszczy Cracovię, klub Ojca Świętego”. Takich i znacznie ostrzejszych transparentów było więcej.

Kiedy w gabinecie wojewody toczyły się rozmowy, pod urzędem wzburzyła się agresja. Wprawdzie kibice twierdzą, że rzucili w fasadę budynku zaledwie kilkanaście kamieni, to jednak z materiałów policyjnych wynika, że broniących wejścia funkcjonariuszy zaatakowano ostrymi narzędziami i kamieniami. Wtedy policja użyła broni, strzelając gumowymi pociskami, najpierw w powietrze, potem zaś do ludzi. To, co działo się potem, świadczy o kompletnym nieprzygotowaniu funkcjonariuszy. Wściekli i tylko chwilowo rozproszony tłum z łatwością zebrał się ponownie i przeszedł przez nikogo nie niepokojony Traktem Królewskim, demolując wystawy sklepowe i samochody.

Tłum był młody, dziki, wulgarny, chamski. Do czasu opisanych zajęć sympatia mieszkańców miasta oraz mediów była po stronie lubianego przez wszystkich klubu. I owa sympatia, i pewne – nieśmiałe, ale zawsze – obietnice ze strony wojewody zniknęły, gdy pijani bandyci, podając się za kibiców, zaczęli demolować witryny sklepowe, samochody. Szalikowcy „asów” pokazali, że nie warto lubić Cracovii. (LW)

Biuro Podróży **JORDAN**

ZAPRASZA DO KORZYSTANIA Z NOWEJ, KONCESJONOWANEJ LINII AUTOKAROWEJ



KRAKÓW - WIEDEN - LINZ - SALZBURG

Wyjazdy z Krakowa w piątki o godz. 20.00

Wyjazdy z Salzburga w soboty o godz. 16.00

UWAGA!

Możliwość połączeń z Wrocławia, Katowic, Tarnowa, Rzeszowa z przesiadką w Wiedniu.

INFORMACJE I SPRZEDAŻ BILETÓW M.IN.:

KRAKÓW, ul. Sławkowska 12, tel. /012/ 422 20 33, w godz. 10.00 - 18.00

WIEDEN, Südbahnhof - kiosk biletowy, tel. 01/ 796 85 52 12, w godz. 17.00 - 21.00

SALZBURG, Rudolf Biebl Str. 43, tel. 0662/42 10 84, pon., śr., pt. w godz. 12.00 - 17.00, wt., czw. w godz. 17.00 - 20.00

Ponadto polecamy przejazdy do:

Austrii (Wiedeń)
Belgii (Liege, Charleroi, Bruksela, Antwerpia, Genk)
Holandii (Hengelo, Utrecht, Amsterdam, Haga, Rotterdam Breda)
Włoch (Mestre, Wenecja, Verona, Bolonia, Brescia, Mediolan, Genua, Turyn, Rzym, Florencja, Neapol, S. Giuseppe)
i na Węgry (Budapest, Vać)

CAŁOROCZNE CHATKI GÓRALSKIE

Zakopane
Kościelisko-Kiry
(u wylotu Doliny Kościeliskiej)

Chatki 2 - 6 osobowe
Cena od: 60 zł/chatka/noc

Rezerwacje: Biuro **JORDAN**

tel. (012) 421 53 13, 429 36 01
turystyka@jordan.krakow.pl



EWA BEM

Zaczynała w 1969 roku w „Stodole” z zespołem Blueselka. Rok później występowała jako solistka. W 1972 r. zdobyła I nagrodę na konkursie wokalistów jazzowych w Lublinie. Szerokiej publiczności dała się poznać w zespole Bem i Bek (później Bem i Bem). Śpiewała ze wszystkimi liczącymi się jazzmanami. Jej program autorski „Tribute to Ella” w wersji płytowej – został uznany za wydarzenie artystyczne ostatnich lat.

KAWAŁEK CZEKOLADY NA SMUTKI

Co tutaj robisz?

Zajmuję się rodziną i śpiewam.

Najbardziej niedoceniona z Twoich zalet?

Altruizm.

Pokusa nie do odparcia?

Miłość i kawałek czekolady na smutki.

Co sprawia, że życie jest wyjątkowe?

Tylko miłość.

Gdybyś była psem, kogo byś ugryzła?

Tego, który mnie gnębił.

Twoje grzechy główne?

Niekonsekwencja i zmienność nastrojów.

Czego powinno nie być?

Wszelkiej przemocy i głodu.

Gdybyś była zegarkiem, na której godzinie byś się zatrzymała?

Na 19.00 w sobotę.

Czego masz za dużo?

Wątpliwości i siebie samej.

Pierwsze największe marzenie?

Ptasie mleczko i rodzice znowu razem.

Najbardziej staram się...

...zdążyć i czegoś nie zaniedbać.

Co odróżnia człowieka?

Czasem nie mam pojęcia.

Ostatnia tęsknota?

Zawsze za kimś.

Bez czego nie możesz zasnąć?

Bez pewności, że Gabrysia już śpi.

Wyjątek czy reguła?

Jedno i drugie.

Na co liczysz?

Na mądrość i łaskawość niebios.

Kiedy jestem sama...

...śpiewam, wysyłam SMS-y, czasem chlipię.

Za co zapłaciłabyś każdą cenę?

Za zdrowie bliskich.

Co podpowiadają ci złe siły?

Kawałek czekolady.

Twój najbardziej zaniedbany talent?

Pióro.

Jak chciałabyś być zapamiętana?

Fajny człowiek i kobieca kobieta.

Co nowego?

Zaczynam nagrywać płytę moich nadziei.

Diabelskie sztuczki

W reklamach jest diabeł, piękny jak Apollo, diabeł-kusiciel, który wciąga nas w pułapkę konsumpcjonizmu, prezentując proszki, pasty, samochody, ciasteczka oraz inne przedmioty zbytku i luksusu.

W programach politycznych diabeł czuje się jak u siebie (czytaj: w piekle), macha ogonem z zadowoleniem, wkładając cyrografy za pazuchę. Z politykami łatwo mu idzie. Oni nawet nie wstydzą się mówić o kontaktach z nim.

Józef Oleksy wyznał ostatnio, że „jakieś siły” przedłużają wydanie wyroku sądu lustracyjnego i on, biedaczek, nie może złożyć apelacji od wyroku. Zapachniało siarką!

Młodzież straszy Marilyn Manson na satanistycznych koncertach, wywołując panikę wśród radnych stolicy, a kulturalnych dorosłych (widzów „Pegaza”) – diabeł-wodzący na pokuszenie, ostatnio mocno zaangażowany w sprawy warszawskiej galerii Zachęta. Niekulturalnych dorosłych straszy redaktor Jaworowicz („Sprawa dla reportera”).

Nic więc dziwnego, że pan Jacek Weksler, szef Teatru Telewizji, dryfującego od kilku lat po telewizyjnej „ramówce” jak dziurawa łajba po Bajkale, uchwycił się – nie przymierzając, jak tonący brzytwy – tekstu chorwackiego dramaturga Ivo Brešana „Diabelskie nasienie”. Diabeł w tytule to idealny materiał telewizyjny.

Sztuka Brešana rozgrywa się w XVIII w., w prowincji zagrzebsko-kriżewackiej, gdzie mieszkańcy strasznie cierpią: a to powódź, a to grad, a to nieurodzaj i choroby. Panaceum, które aplikuje zbolełej ludności wielkorządca prowincji, to spalenie kilku czarownic na stosie.

Kostiumowy dramat Brešana – niby to komedię o mechanizmach władzy i sposobach manipulowania ludźmi, niby to satyrę na „wiek rozumu”, w której politycy, tak jak namiestnik Ivan, wyznają zasadę: „Wierzę we wszystko, co jest skuteczne” – organizuje przekonanie, że za rozumem i logiką diabeł stoi.

Ten tekst doskonały do wystawienia „we wsi Głucha Dolna”, dość niejasny w sensach i nie tak zabawny jak „Przedstawienie «Hamleta» we wsi Głucha Dolna” tego samego autora, Teatr Telewizji zaserwował widzom w poniedziałkowy wieczór (19 lutego, 1 pr. TVP).

„Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle”, a więc reżyserię i realizację telewizyjną dyrektor Weksler powierzył Oldze Lipińskiej. Efekt: obsada „Kabarecików” (Fronczewski, Pokora, Wons, Jungowska, Śleszyńska) w stylizowanych kostiumach miotła się (dosłownie) w tekturowej dekoracji. Kamery odbijały się w oknach z pleksi, upstrzonych odciskami paluchów, której to kolekcji nie powstydziliby się nawet Komenda Wojewódzka Policji m. Stołecznego Warszawy. Wbrew zasadom optyki każdy przedmiot i podmiot tego wizyjnego galimatiasu miał po trzy, a czasami i więcej cieni. Aktorzy dzielnie wykrzy-

kiwali swoje kwestie i zgrabnie zasłaniaли pobłyskujące zza ich pleców reflektory i dziury w dekoracji.

Diabeł tkwi w szczegółach. Dlatego przyznaję spektaklowi „Diabelskie nasienie” prywatną Nagrodę imienia Omena za bezpretensjonalne i żywiołowe lekceważenie widza.

Moja, świętej pamięci, ciocia mawiała: „Wyłącz dziecko tę diabelską skrzyneczkę, szkoda oczu. Popatrz na świat”.

– Ciociu, masz rację, ale gdzie zobaczę w naturze poetę Marcina Świełickiego, który, leżąc na ziemi, mówi do mnie. Tak jak to zrobił w ostatnim „Pegazie”?

Włajerka

Czy w telewizorze siedzi diabeł? Takie mam podejrzenia. Ostatnio coraz częściej śledzę jego medialne wcielenie.



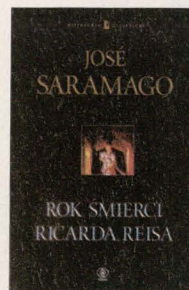
rys. BOGNA OTTO-WĘGŻYŃ



●●●●●

Jeden z największych badaczy – i krytyków – współczesnej kultury sięga po palący temat globalizacji, zwłaszcza w zestawieniu z lokalizacjami i uniwersalizmem. Obserwuje zjawisko kompetentnie i zjadliwie, umieszczając je w kontekstach szerszych – a dzięki temu pokazuje jego bogactwo i skomplikowanie. Bauman stosuje nie tylko naukowe metody, lecz korzysta także z codziennych zjawisk i anegdot. Dlatego jego książka nie sprowadza się do suchego akademickiego wywodu, lecz potrafi przykuć uwagę przeciętnego konsumenta i bezwiednego uczestnika opisywanych zjawisk i procesów. Książka to dla wszystkich – szczególnie tych, którzy globalizacją zawiadują na swoich konferencjach oraz tych, do których przy okazji tych samych konferencji strzela się gumowymi kulami, truje gazem łzawiącym i polewa strumieniami lodowatej wody. Ostatnio – w szwajcarskim Davos. (JAZ)

Zygmunt Bauman: „Globalizacja”. PIW 2000



●●●●●

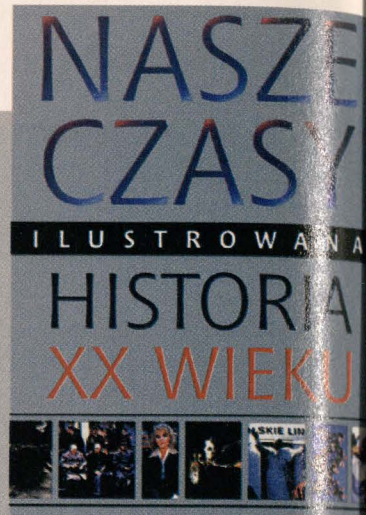
Kiedy w 1998 roku José Saramago otrzymał literacką Nagrodę Nobla, tylko niewielka grupka najbardziej wtajemniczonych osób wiedziała, co to za pisarz. Teraz jest pod tym względem lepiej, systematycznie ukazują się przekłady jego powieści, ale bardziej coś tam się o Saramago słyszało, wie o jego wybitności, niż rzeczywiście przeczytało kawałek jego prozy. Nie jest to bowiem autor łatwy. Taka też jest, napisana kilkanaście lat temu, powieść „Rok śmierci Ricarda Reisa”: pełna aluzji literackich (Borges, Cervantes, Calderón, ale przede wszystkim Fernando Pessoa) i historycznych, imitująca język mówiony z natury bardziej rozwichrzony niż literacki. Wszystko to sprawia, że opisy wędrowki tytułowego bohatera po labiryncie Lizbony trzeba bardziej smakować, niż połykać dużymi porcjami i dopiero wtedy uda się rozpoznać metaforyczne sensy tej powieści, przeniknąć jej wieloznaczność. Mówiąc krótko: wyższa szkoła literackiej jazdy. (LB)

José Saramago: „Rok śmierci Ricarda Reisa”. Przel. Wojciech Charchalis. Rebis, Poznań 2000

**ZDANIEM
mojej
ŻONY...**

...podróże są niezbędnym etapem pisarskiego rozwoju. „Człowiek, który nie podróżuje, rzuciła w przelocie między kuchnią a łazienką, nie dość, że skazuje się na podrzędność, to jeszcze przekreśla swoje szanse na literacki sukces. Życie w czterech ścianach ciasnego mieszkania ogranicza wyobraźnię, tamuje nieskrępowany przepływ wrażeń, bez których – jak wiadomo – nie ma literatury. Trzeba podjąć wyzwanie, jakie rzucają nam nowe przestrzenie, trzeba podjąć ryzykowną grę z obcością. Jeśli nie zdobędziemy się na wysiłek nieustannego przesuwania horyzontu naszego życia, literatura pozbędzie się nas jak niepotrzebny balastu. Czy nie rozumiesz, że tak nie można żyć?”. Rozumiałem, choć nie bardzo rozumiałem, do czego to wszystko zmierza. Nagle tknęło mnie przecucie. Gdy na chwilę wyszła do łazienki, zerknąłem ukradkiem do jej torebki. Z bocznej kieszonki wystawał dumnie bilet kolejowy drugiej klasy, relacji Kraków–Zabierzów. **mąż**

„Nasze czasy” to opasłe, przyozdobione świetnie dobranymi ilustracjami tomisko do przeglądania podczas przerw w pracach kuchennych lub przedłużającego się oczekiwania na powrót dorastającej córki z gimnazjum.



CZASY JAK CZASY, ale te obrazki

Jeśli szykujemy na obiad coś, co wymaga cierpliwości, możemy sobie przeczytać któryś z pomieszczonych w książce esejów, np. „Narody maszerują czwórkami” Stephena Spendera, „Bezgrzeszne lata” Mary Gordon bądź „Grozi nam klęska” Stephena J. Goulda.

Ponieważ jedną z największych przyjemności podczas kartkowania tego rodzaju publikacji jest ustawianie świata po swojemu, pozwoliłem sobie na taki całkowicie subiektywny i bezbolesny zabieg, który uprzyjemnił mi trzy kwadransy, potrzebne dostawcy pizzy na znalezienie mojego czteropiętrowego bloku.

Rok 1900. „Ladies’ Home Journal” (prototyp znanych nam pism kobiecych) zamieszcza zapowiedź nowego stulecia, a wśród nich coś takiego: „Człowiek będzie wiedział, co się dzieje na świecie. Postacie i przedmioty wszelkiego rodzaju będą uchwycone przez kamery połączone elektrycznie z ekranem na drugim końcu obwodu o rozpiętości tysięcy kilometrów. Amerykańska widownia w teatrach będzie mogła śledzić, na umieszczonych przed nią olbrzymich ekranach, koronacje królów w Europie lub przebieg wojny na Wschodzie”. Po pozo-

stałe, równie pyszne, szczegółowo techniczne odsyłam do „Naszych czasów”.

Rok 1922. Zdjęcie kobiety innego typu. Legendarna Texas Guinan, hostessa w lokalach czasów prohibicji, której popisowym numerem było dmuchanie w policyjny gwizdek i okrzyk: „Cześć, frajerze!”.

Rok 1929. Podpis pod portretem Virginii Woolf: „Mimo że wojna doprowadziła do poprawienia sytuacji kobiet, jak stwierdziła V. Woolf, ją samą wpędziła w głęboką depresję. Autorka utopiła się w 1941 roku”. Ciekawa synteza, prawda?

Rok 1931. Cała strona poświęcona królewskiemu słońtku o imieniu Babar, którego przygody, emitowane przez jeden z kanałów dziecięcych, od lat znajdują się w czołówce listy przebojów, sporządzonej przez komisję składającą się z mojego jedyńskiego syna.

Rok 1959. Wskazówka dla polskich reżyserów filmowych początku XXI w., zawarta w podpisie pod kadrem z „Do utraty tchu”: „Pierwszy film fabularny Godarda miał prostszą strukturę narracyjną niż jego późniejsze dzieła”.

Rok 1965. Cała strona poświęcona Sylvii Plath. Dobrze, że poetki już się tak nie czeszą.

Rok 1967. Jacques Derrida zostaje nazwany „literackim sabotażystą”.

Rok 1969. Cała strona poświęcona osobie Johna Berrymana, który nadal czeka na swoją pierwszą książkę po polsku.

Rok 1978. Zdjęcie z koncertu Sex Pistols w sali gimnastycznej. Basista Sid Vicious na pierwszym planie, w głębi wokalista Johnny Rotten wyznachuje mikrofonem. Uroczy podpis: Muzyka do tańca – przepychanki w wykonaniu punkowców Viciousa i Rottena”. Jeśli dobrze znam obyczaje punkowców, to pozostali członkowie grupy poszli się napić oranżady.

A potem był stan wojenny.

Redaktorzy znad Wisły tylko troszkę postawili się potężnej

Ameryce, która oczywiście dominuje w „Naszych czasach”: „Przygotowując wydanie polskie, postanowiliśmy dokonać niewielkich uzupełnień, zachowując jednakże charakterystyczne amerykańskie spojrzenie na historię XX wieku – jakże inne od punktu widzenia mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej”.

Trzeba przyznać, że „niewielkie uzupełnienia” nie rzucają się w oczy.

DAREK FOKS

„Nasze czasy. Ilustrowana historia XX wieku” pod redakcją Lorraine Glennon. Muza SA i Bertelsmann Media, Warszawa 2000.



WZDŁUŻ i WSZERZ

Rozmowa
z Tadeuszem Pióro
poetą, tłumaczem (16 lat w USA)

Co byś zalecił młodemu Polakowi, który pewnego dnia zapragnie szybko i dogłębnie poznać siłę Ameryki?

Popęlniać jak najwięcej przestępstw, to się zmierzy z aparatem wymiaru sprawiedliwości. Po drugie, powinien jak najszybciej podróżować samochodem, łamiąc jak najwięcej przepisów drogowych, to przy okazji poznawania siły wymiaru sprawiedliwości, zda sobie sprawę z terytorialnej rozciągłości kraju. Po trzecie, powinien rozmawiać z ludźmi i zadawać im podchwytliwe pytania.

A gdyby ten sam niedoświadczony podróżnik zapragnął szybko i dogłębnie poznać słabości ojczyzny Marilyn Monroe?

Powinien starać się jak najwięcej rozmawiać z ludźmi o literaturze. Po drugie, nie powinien oglądać telewizji, nie powinien zapożyczać się, nie powinien używać kart kredytowych i nie powinien mieć samochodu. Wówczas nie miałby ani o czym pogadać z ludźmi, ani jak się przemieszczać, ani za co żyć.

Czy przyglądanie się ubiegłemu stuleciu z amerykańskiej perspektywy może komuś zaszkodzić?

Z pewnością. Może zaszkodzić tym, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, że warunki życia w XX wieku dyktowali głównie Amerykanie. Nie przez cały czas i nie na całym świecie, ale raczej na ich wyszło. Jeśli ktoś chce żyć złudzeniami autonomii politycznej, kulturalnej czy innej, to przyjmując amerykańską perspektywę, może się tych złudzeń pozbyć. Jednym z najważniejszych wydarzeń w historii Ameryki są na przykład zmiany strategii promocyjnej Coca-Coli. (DF)



**Najbardziej znany Klub
studencki w Polsce.
Rok założenia: 1960**

KONCERTY i imprezy klubowe dla miłośników dobrej, ostrej muzyki.

KINEMATOGRAF w niepowtarzalnej sali Teatru 38 to najgorsze kino w mieście. No dolby. No surround. Filmy puszczane są na projektorze z 1954 roku. Można obejrzeć kultowe filmy przy najlepszym piwie OKOCIM.

NOCE TAŃCA to legendarne imprezy Klubowe. Dobra muzyka, 100% zabawy do białego rana. Gra STANIOR.

CZYTELNIA w której w ciągu dnia od godz. 9.00 można poczytać codzienną prasę, zagłębić się w lekturę ciekawej książki. A wszystko to przy dobrej kawie FELICIA.

**Przyjdź i sprawdź nowe
JASZCZURY!**

**Ważniejsze imprezy marcowe
13 wtorek g.18⁰⁰**

otwarcie wystawy malarstwa

**MACIEJA
GRYGLASZEWSKIEGO.**
wystawa do dnia 31.03. w Galerii Teatru 38

14 środa g.20⁰⁰

Prezentacje:

POCOS LOCOS
latin jazz koncert

21 środa g.18⁰⁰

spotkanie autorskie

**MARCINA
ŚWIETLICKIEGO**

21 środa g.19⁰⁰

Turniej Jednego Wiersza
o Jaszczurowy Laur

W turnieju może uczestniczyć każdy, kto zaprezentuje publicznie w obecności Jury jeden wiersz własnego autorstwa. Autor zgłasza swoje uczestnictwo na godzinę przed turniejem oraz przedkłada trzy egzemplarze własnego wiersza

Sponsorzy:



www.podjaszczurami.com

ABSTRAKCJE

CHRYSTUS BYŁ KOBIETĄ

Na wystawie fotografii w nowojorskim Muzeum Brooklyńskim pokazano zdjęcie Renée Cox „Ostatnia Wieczera twojej mamuski”, na którym czarnoskóra naga kobieta uosabia Chrystusa. Wokół niej znajduje się 12 czarnych apostołów. Inna fotografia przedstawia ukrzyżowaną nagą Murzynkę. Środowisko nowojorskich katolików jest zbulwersowane. Burmistrz Giuliani zapowiedział powołanie komitetu, który sprawdzi wydatkowanie publicznych pieniędzy na takie przedsięwzięcia.

OBIERANIE W GALERII

Trzy godziny trwał performance Julity Wójcik w Małym Salonie galerii Zachęta. Wydarzenie zatytułowane „Obieranie ziemniaków” rozpoczęło się o godz. 18. Artystka przygotowała 50 kg ziemniaków, które miała zamiar własnoręcznie obrać. Po trzech godzinach pracę przerwał portier, informując o zamknięciu galerii. Mimo wydatnej pomocy widzów i dziennikarzy, nie udało się obrać wszystkich bulw.



Powrót do korzeni

60. urodziny Jerzego Dudy-Gracza były pretekstem do zorganizowania wystawy „Kresy polskie 2000. Obrazy prowincjonalno-gminne”.

Wystawa pokazuje prace powstałe w latach 1996–2000 na plenerach m.in. w Brzegach, Nadrzeczcu, Łagowie, Buku, Kamionie. Cykl obrazów tworzy artysta od blisko 15 lat. Prowincjonalne obyczaje oraz ich bezpowrotne przemijanie są tematem dominującym.

Duda-Gracz próbuje zatrzymać wspomnienia, ukazać najprawdziwszy obraz polskiej prowincji i jej tradycję. Pokazuje Polskę, która odchodzi w niepamięć. Doskonale oddaje atmosferę gminu z jego przesadami („Ósmy miesiąc”, Nadrzeczce), pomó-

wieniami („Sensacja”, Zielin) czy niedzielą odświętnością („Fajf o kłok”). Przejmująco, sprawnym okiem obserwatora przedstawia świat nędzy („Adoracja konia”, Dziełoszyn), małomiasteczkowych miłości („Romeo i Julia”, Łagów) czy frywolnej erotyki na łonie natury („Grzeszny sierpień”, Hrebenne). Obrazy Dudy-Gracza zrodzone są z wieloletniej fascynacji miejscami, do których zwyczajny turysta nie przywykł trafiać.

Społeczna i publicystyczna wymowa tych prac to stała cecha twórczości

Dudy-Gracza obecna w jego wcześniejszych cyklach: „Motywach i portretach polskich” (1968–1980), „Obrazach jurajskich” (1983–1986) oraz obrazach arystokratyczno-historycznych (1986–1990). Wszystkie je łączy realistyczny obraz wsi i miasteczek na tle rodzimego krajobrazu, w który bezwzględnie wkracza cywilizacja. Na uwagę zasługuje również cykl obrazów poświęconych zmarłym przyjaciołom, m.in. Władysławowi Hasiorowi („Zaduszki”) oraz „Autoportret jubileuszowy” powstały w 30. rocznicę pracy twórczej.

ANNA KOSSOWSKA-CZUBAJ

„Kresy polskie 2000.

Obrazy prowincjonalno-gminne”.

Warszawa, Muzeum Etnograficzne

(ul. Kredytowa 1), do 31 maja.

życie erotyczne
PICASSA

„PICASSO EROTIQUE” – pierwsza wielka wystawa erotycznych dzieł mistrza została otwarta 20 lutego w paryskiej galerii Jeu de Paume.

Ekspozycję przygotowywano dwa lata. Składa się na nią około 300 rysunków, rzeźb i obrazów. Wiele z nich pochodzi z prywatnych kolekcji i jest pokazywane po raz pierwszy.

Wystawa ma udowodnić, że artysta, nazywany przez krytyków „najbardziej heteroseksualnym twórcą XX wieku”, potrafi szokować nawet dziś. Są tam m.in. młodzieńcze szkice ze scenami z domów publicznych, sceny miłości, żądzy i gwał-

tu, które Picasso malował w wieku średnim oraz późniejsze bulwersujące szczegółami dzieła, pozostawiające niewiele miejsca dla wyobraźni.

Organizatorzy podkreślają, że taka wystawa nigdy nie mogłaby być pokazana w Stanach Zjednoczonych. Wszystko przez „nową formę terroryzmu” – jak nazwał poprawność polityczną w USA dyrektor paryskiego muzeum Picassa, Gerard Regnier.

„Picasso Erotique” będzie czynna do 20 maja. Później pojedzie do Montrealu, a stamtąd trafi na trzy miesiące do Barcelony. (SR)

322 słowa MARTY DESKUR

MOJA RODZINA

W mojej rodzinie pradziadkowie są młodszy od wnuków, każdy może wybrać sobie brata, siostrę, matkę, ciotkę, wujka, ojca, dzieci, wnuki i dziadków. Każdy robi, co chce, nie ma przymusu bycia w rodzinie, jest bliskość, odczucia są prawdziwe i jest bardzo przyjemnie. Moją „Rodzinę” charakteryzuje jeszcze to, iż wszyscy narodzili się prawie jednocześnie, a ci, którzy dochodzą, są już narodzeni.

KORZENIE

W rodzinie są osoby, które znam od ich dzieciństwa – moi przyjaciele i część mojej biologicznej rodziny – dwóch braci, syn i pies. Wszyscy mieszkają w Krakowie, studiują muzykę, sztukę, wideo, fotografię, socjologię, psychologię. To dla nich powstała „Rodzina”.

Zaczęłam fotografować te osoby – chciałam udokumentować ten moment, to miasto. Pierwsza sesja zdjęć, potem następna, wspólne przebywanie były naturalnym powodem powstania „Rodziny”. Zapisywałam imiona i przyporządkowywałam im osoby, łączyłam je w zespoły i podzespoły, z czego tworzyło się drzewo genealogiczne. Sama nazwa przyszła później. „Rodzina” mogłaby nazywać się: grupa zespolona, muzyka, wiek.

INSPIRACJE

Dziś pojęcie rodziny jest bardzo popularne – reklamy przedstawiają rodziny dobre, uczuciowe, gdzie wszystko i wszyscy są na swoim miejscu. Brakuje prawdy o rodzinie. Na ogół w tradycyjnych (biologicznych) rodzinach są pewne niedociągnięcia, nieporozumienia, nie ma tolerancji i miłości. Wówczas takie rodziny jak „moja” stają się ważniejsze od tych naturalnych. Uważam, że nie można nakazać dziecku miłości do swoich rodziców. Kochanie nie może być obowiązkiem. Najważniejsza jest akceptacja drugiego człowieka takim, jakim on jest. Nowe pokolenia będą przecież zależeć od nas, bo nie tylko genetyka ma wpływ na przyszłość, ale atmosfera i kultura, w jakiej teraz żyjemy.

Marta Deskur „Rodzina”. Fotografia, wideo, instalacja, Gdańsk, CSW Łańnia. Wystawa czynna do 25 marca.



OBIEKTYW

CAŁKIEM NOWE

■ **ONONE** Alicji Żebrowskiej podróż w przyszłość. Wizualne próby przekroczenia granic między ciałem mężczyzny i kobiety.

Od 6 do 16 marca. Poznań, Galeria ON, ul. Fredry 7.
http://free.art.pl/on_gallery

TRWA

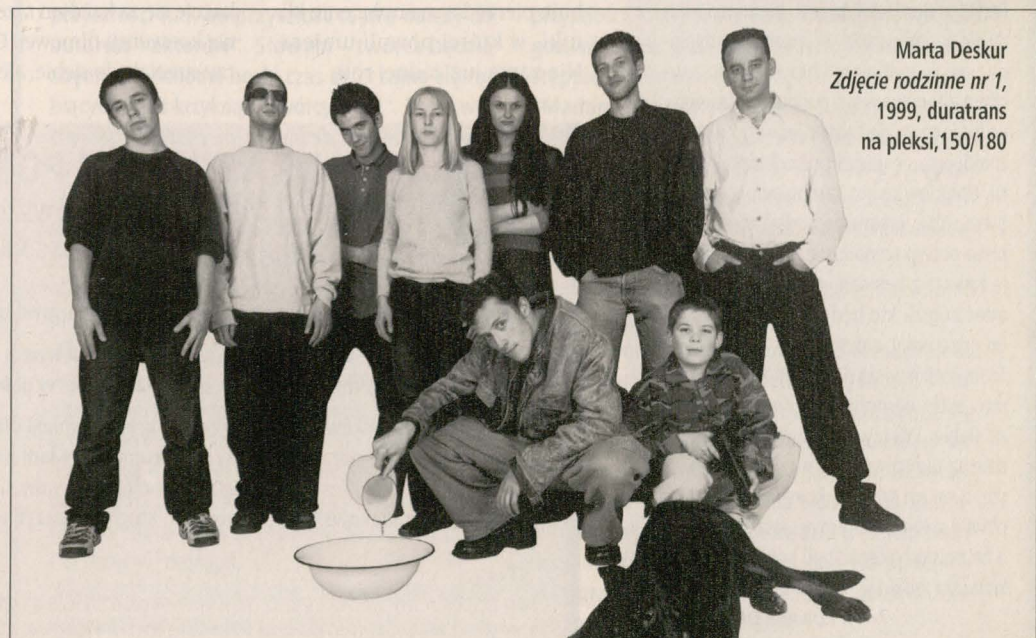
■ **SZTUKA ARCHITEKTURY** Wystawa prac laureatów „architektonicznego Nobla” – Nagrody Pritzкера, przyznawanej od 1979 r.

Do 23 marca. Warszawa, CSW Zamek Ujazdowski, al. Ujazdowskie 6. www.csw.art.pl

OSTATNIA SZANSA

■ **POZA SCHEMATEM. EKSPERYMENTY LAT 60.**

Do 11 marca. Warszawa, Zachęta, pl. Małachowskiego 3



Marta Deskur
Zdjęcie rodzinne nr 1,
1999, duratrans
na pleksi, 150/180



JANKO MUZYKANT

MARCIN BORTKIEWICZ to mistrz metamorfoz w monodramach według Tomasza Manna. „Satana” powstała na podstawie „Doktora Faustusa”, „Noc Walpurgii” to rezultat lektury „Czarodziejskiej góry”.

W każdym gra po kilka ról, przepoczwarcza się fizycznie, zmienia głos, dykcję, poziom świadomości postaci. Pokazuje, jak z choreografii twarzy zrobić muzykę, która zawsze rozbrzmiewa gdzieś w tle powieści Manna. Perfekcjonista: pilnuje każdego najdrobniejszego gestu swojego bohatera; wie, w którym momencie gwałtownie zmienić nastrój przedstawienia. Łączy komizm i powagę. Tworzy seanse łamiące reguły monodramu. Każdy jego spektakl przybiera formę wykładu, rzeczywistego spotkania z widzami, dopiero stopnio-

wo nasycając się fikcją.

Przykład Bortkiewicza jest budujący. Młody aktor udowadnia, że można bez dyplomu szkoły teatralnej i bez kontaktu z ruchem alternatywnym budować własną fascynującą wizję teatru jednego aktora, znajdującą się gdzieś pośrodku obu tradycji. Bortkiewicz jest samoukiem, sam wybiera sobie lektury, na podstawie których pisze potem scenariusze, ale współpracuje zawsze z tym samym reżyserem. Musi mieć kogoś, kto będzie obserwował jego grę z boku, z dystansu. Teatr Bortkiewicza nie jest głosem pokolenia, aktor demonstracyjnie mówi tylko za siebie. Wierzy, że wszyscy możliwi ludzie są ukryci w jednym człowieku-aktorze, a on ich tylko po kolei wypuszcza na chwilę z wnętrza głowy. Jeszcze trochę, a na polskich scenach od bohaterów Bortkiewicza zrobi się naprawdę ciasno.

ŁUKASZ DREWNIAK



Maria Peszek i Stanisław Brudny

CIELESNOŚĆ fikcji

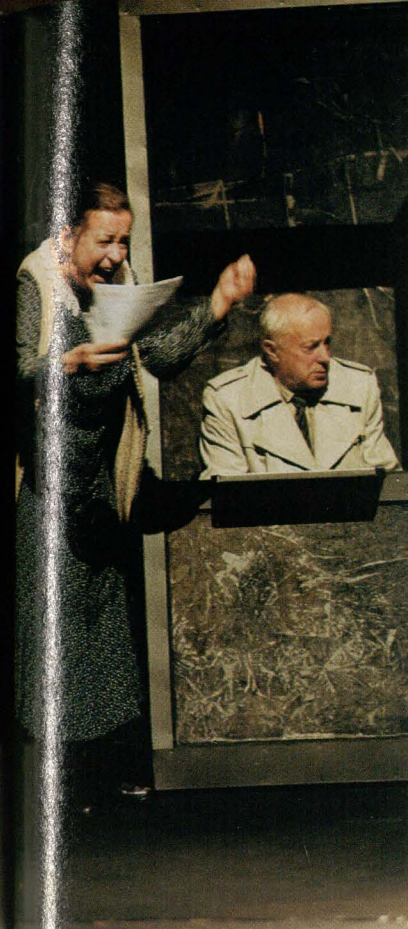
„Miłość na Madagaskarze” w reżyserii Zbigniewa Brzozy to spektakl o magii starego kina. I fascynacji filmową fantazją, która bywa równie realna jak życie.

Sztukę Turriniego czyta się jak scenariusz filmowy. Zdziwaczały właściciel starego kina Rittner (Stanisław Brudny) wyrusza w podróż do Cannes, by nakłonić kilku podejrzanych osobników do zainwestowania w film Klauza Kinskiego. Gwiazdor potrzebuje pieniędzy na opłacenie kliniki, w której powoli umiera. Nie zagra już żadnej roli.

Brzoza opowiada historię filmowymi cytatami i nasycia przedstawienie trudno uchwytną magiczną aurą. W uśpionym holu hotelowym wita Rittnera właściciel, wynaturzony jak bohaterowie Lyncha, których kalektwo ma w sobie zawsze jakąś tajemnicę. Aniołek stróż (Maria Peszek) pokazuje się za każdym razem w innej konwencji filmowej. Gangsterzy strzelają do siebie, ale podno-

sza się ze śmiechem, ratowani prawami fikcji. Do pokoju bohaterki przychodzi aktorka (Stanisława Celińska) – i przez bardzo krótką chwilę dwoje podstarzałych ludzi o zmęczonych twarzach i przegranych życiorysach staje się parą kochanków z „Casablanki”.

Przygoda Rittnera ma charakter filmowy, bo dzieje się tylko w jego wyobraźni. Bohater nigdzie nie wyjeżdża, nigdy nie przyjaź-



„Miłość na Madagaskarze”

nił się z Kinskim – tkwi w holu swojego kina, zastygając na długie godziny niczym stary, zużyty mebel. W rzeczywistości, którą zamieszkuje Ritter, mieszają się prawdziwe wydarzenia z filmowymi obrazami, zacierając się granica realności. Bohater odwrócił się kiedyś od chorej kobiety: w filmowym marzeniu podejmuje inną decyzję i przeżywa na Madagaskarze miłość swojego życia.

W finale postacie z podróży maszerują w rytm muzyki z filmu Felliniego w sali projekcyjnej, niejako w umyśle Rittnera. Nagle wdzierają się w realną przestrzeń i niepostrzeżenie zabierają ze sobą tego, w którego wyobraźni ożyli. W ciszy wyświetlana jest pusta taśma, na której skończył się film. Delikatne, a zarazem wyraziste zobrazowanie śmierci zamyka w pięknej fantazji to, co nieodwracalne.

MONIKA ŻÓŁKOŚ

Teatr Studio w Warszawie, „Miłość na Madagaskarze” Petera Turriniego. Reżyseria: Zbigniew Brzoza, scenografia: Dorota Kołodzyńska, muzyka: Jacek Grudzień, ruch sceniczny: Leszek Bzdyl. Premiera 11 XI 2000.

Zosia Samosia



FOT. BOGDAN KRZEL

Rozchmurz się, bucu zgorzkniały, bo nowe idzie” – jęczały do mnie zaprzyjaźnione skrzypce, gdyśmy do knajpy szli. „Się wyluzuj, bo dał nam przykład Roman Pawłowski, jak zwyciężać mamy, więc pójdą w zapomnienie niewoli gnuśne pęta, witaj jutrzeńko swobody, zbawienia za tobą słońce!”

Przy barze byli już wszyscy – dzieła sztuki, co się wreszcie zerwały z uwięzi twórców: „Czarodziejska góra” Tomasza Manna, „Słoneczniki” van Gogha, IX Symfonia Beethovena, „Osiem i pół” Feliniego oraz „Myśliciel” Rodina, a nad wszystkimi górował najobszerniejszy nadwiślański krytyk teatralny Pawłowski, wirtuoz koniunktury, spryciarz, który zawsze w lot wyczuwa, na którym dworze najlepiej jeść dają, w związku z czym aktualnie jest salonowym pudłem dramaturga Ingmara Villgista. Zasiedliśmy, wychylili, co należy – i wtedy mnie olśniło. Bankiet był na okoliczność najświeższego wolnościowego manifestu Romana, pod tytułem „Requiem dla reżysera”, co go Roman w „Wyborczej” z 8 stycznia 2001 odważnie popełnił. Szło o wstrząsającą Romanową prognozę, że mianowicie reżyser: „to zawód bez przyszłości (...), bo przyszłość teatru należy do autorów i aktorów”. Słowem – twórca będzie zbędny, nadchodzi boski czas dzieł samo się robiących. Ktoś krzyknął: „Twórcy won!”. Znowu wychyliliśmy, zaczęły się wyznania, a Roman znacząco klepał wszystkich po pupach.

„Dość już Konstantego Andrzeja Kulki (jęczały skrzypce), dość jego pulchnej łapy, co wciąż obleśnie nie swój gryf macając, Paganiniego z nas wy-ciska, gdy my chcemy na weseliskach Tango Milonga z siebie wydawać!” Ponownie wychyliliśmy. „Gdyby nie ten mruk z wąsem i brodawką na policzku (kwiliła „Czarodziejska góra”) to nie byłabyś śmiertelną nudą o nadwrażliwcu, co do gruźliczego sanatorium przybył na chwilę, a później przez dwa tomy wyjechać nie może, byłabyś czymś dla ludzi, wzruszającym Harlequinem »Trzy brzdące i tatuś« mianowicie!” Rzecz jasna i tu przechył następil.

„Wylącznie za sprawą czuba, co ucho sobie odciął (mruczały »Słoneczniki«), jesteśmy tak drogie, że nawet nie wiemy, kto nas kupił, i tylko z czuba wi-

ny farby nie ułożyły się nam w wielbionego przez lud ryczącego jelenia!” Kolejna bania.

„Co tam jedno ucho (dudniła IX Symfonia), mój kurdupe! na oba głuchy był jak pień, więc miast teraz u braciszków Golców w słodką pieśń, że »kochom jom« się ułożyć, wstrząsając fundamentalna i nikomu niepotrzebna być muszę!” Ponownie walnęliśmy.

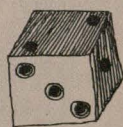
„Jeśli już jesteśmy przy bani (majaczyło »Osiem i pół«), ściśle dlatego, że oniryczny makaroniarz nie miał na myśli pół litra, jestem zakalcem o bólu tworzenia, a nie wziętymi »Psami« długiego Pasikowskiego!” I znowu pękła kolejka.

„Cóż wy możecie wiedzieć o bólu (dumał Myśliciel), to mnie brodaty geniusz dłułem w słabiznę trafił tak, że na wieki muszę udawać dumanie, w istocie będąc facetem, co z powodu nieusuwalnego zatwardzenia na sraczu skamieniał, ergo – nigdy nie będę ciupagą w Sukiennicach!” Tyknęliśmy nieodwołalnie, wyzwolone dzieła ryknęły: „Niech nam żyje i dorasta, wielki Roman-protoplasta!”, a Roman wciąż znacząco klepał wszystkich po pupach.

Zaiste – był powód! Dzieła pojęły studziennie głęboką prognozę Romana – myśl o świetlanej przyszłości, kiedy to wszędzie będzie, jak dziś jest gdzieś tam: płaściutko, prościutko, ogólnodostępnie. Bo Roman dostrzegł na piśmie, że dziś „Madame Butterfly” już zmieniła się w uroczą „Miss Saigon”, „Romeo i Julia” we wreszcie powszechnie zrozumiałą „West Side Story”, „Pigmalion” szczeł w masowo wielbioną „Pretty Woman”, a „Hamlet” jako „Król Lew” słusznie bawi przedszkola.

Oto jak zwyciężać mamy – trzeba nam króla na powrót w chłopa zmienić! Wychylałem więc, dumałem i nie protestowałem. Napawałem się pudlową wizją przyszłości, światem dzieł samo się kłęczących bądź samo się spłaszczających populistycznie, smakowałem wizję kultury bez twórców, co jest jak Zosia Samosia i godnie nosi imię Adama Słodowego. Patrzyłem uważnie, bo widok zatrwazał pięknem wtórnego analfabetyzmu. W rogu obrazka pudel Roman grał w zośkę z Konradem Swinarskim, celnie zmienionym w Psa Pluto.

PAWEŁ GŁOWACKI



TRZY DRASTYCZNE POWODY, DLA KTÓRYCH WIDZOWIE WROCŁAWSKIEJ „RZEŹNI” POWINNI NATYCHMIAST PO OBEJRZENIU SPEKTAKLU PRZEJŚĆ NA WEGETARIANIZM:

1. Figura i mentalność głównego bohatera są brawurową antyreklamą diety mięsnej.
2. Scena, w której Skrzypek ssie i liże krwisty kawał byczej wątroby, a następnie okłada nim swój instrument (mam na myśli skrzypce), pozwala docenić w pełni estetyczne zalety zwykłej rzeźuchy.
3. Kostiumy Rzeźników – białe schlapane krwią gumki i fartuchy założone na nagie ciała – przypominają stroje oprawców krów z wirusem BSE. Mam nadzieję, że spektaklu Wiśniewskiego nie obejrzy nigdy żadna Krasula czy Łaciata, inaczej gotowaby się nabawić trwałej psychozy lękowej, tak jak to przydarza się krakowskim recenzentom, którzy zobaczyli w teatrze o jednego Mrożka za dużo. (ŁD)

Teatr Współczesny we Wrocławiu, Sławomir Mrożek „Rzeźnia”. Reż. Grzegorz Wiśniewski, scenografia Maciej Preyer, muzyka Bolesław Rawski. Premiera: 25 listopada 2000.



„PRZEDWIOŚNIE” STEFANA ŻEROMSKIEGO NA MAŁYM I DUŻYM EKRANIE

- 1928 – ekranizacja w reżyserii Henryka Szaro, scenariusz Andrzej Strug i Anatol Stern. W roli Cezarego Baryki – Zbigniew Sawan, w roli Seweryna Baryki – Stefan Jaracz
- 1981 – spektakl telewizyjny w adaptacji i reżyserii Wojciecha Solarza. W roli Cezarego Baryki – Tomasz Stockinger, jako Seweryn Baryka – Tadeusz Łomnicki, Zbigniew Zapasiewicz jako Szymon Gajowiec



FOT. JACEK SZYMCHAN/FORUM (3)

Mnie się mój film bardzo podoba

Rozmowa z FILIPEM BAJONEM

Andrzej Wajda przez wiele lat nosił się z zamiarem ekranizacji „Przedwiośnia”, wpięrn napotykał przeszkody cenzuralne, następnie finansowe, a gdy przestały one mieć znaczenie, uznał, że na realizację filmu jest za późno. Co spowodowało, że doszedł pan do wniosku, iż warto zrobić ten film?

Odpowiedź jest jedna – Cezary Baryka. W polskiej literaturze nie mamy takich bohaterów, może jeszcze poza Maćkiem Chemiczkiem. Chodzi o bohatera, który tak intensywnie przeżywa doświadczenia swojego pokolenia, losu męskiego, ogólnoludzkiego. Jest to diament tej powieści. Dodatkowo, jeśli popatrzeć na polską literaturę, to w „Pannach z Wilka” mamy przecież Nawłóć,

tylko trochę później. Patrząc jeszcze dalej – „Ferdynand”. To jest przecież Nawłóć – tyle że wykrzywiona. Dokonywane w ostatnich latach ekranizacje polskiej klasyki odnosiły ogromne sukcesy, ale wyłącznie u nas. Czy sądzi pan, że „Przedwiośnie” ma szansę znaleźć uznanie w innych krajach?

Robiąc ten film, starałem się, aby zrozumiał to symboliczny farmer z Iowa, który tam jeździ na kombajnie i raz do roku idzie do kina. Nie wiem jednak, czy te polskie perturbacje można zrozumieć. Natomiast bardzo by mi zależało, aby Polska jako pewien fenomen intelektualny – nie narodowy czy patriotyczny – mogła się pojawić i pokazać jako coś, co nas pięknie różni od innych.

Czy już przygotowuje się w jakimś kraju akcję promocyjną związaną z dystrybucją filmu?

Tak, oczywiście w USA. Tam najłatwiej rozpocząć – na przykład od Iowa. Z uwagi na podobieństwo momentu historycznego, w jakim pojawiły się książka i film, ekranizacja ta, pańskim zdaniem, może przynieść dziś równie gorącą publiczną dyskusję o społecznej warstwie obrazu? Bardzo bym się z tego cieszył, gdyż ogromnie odczuwam brak dyskusji – nie politycznych, tych mamy za dużo – o wartościach, postawach, sensie życia. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby mój film był zaczynem takiej dyskusji. Nasza kinematografia potrafi zgromadzić znaczące środki, sporą

widownię w salach oraz powiedzieć coś o naszej współczesności – paradoksalnie – korzystając z dawnej literatury. Dlaczego nie umiemy mówić atrakcyjnie o sobie bez ubierania się w kostium?

Czytam bardzo dużo scenariuszy, gdyż prowadzę studio filmowe „Dom”. Nie znajduję takich projektów. Do zrobienia jest polskie „Słodkie życie” i o tym mówiłem Trelińskiemu przy „Egoistach”, ale chyba nie rozumiał tego właściwie. Pojawia się tu problem finansowy – na filmy współczesne trudno zgromadzić odpowiednie środki. Ale widziałem kilka udanych kameralnych filmów: „Ewę” Artura Urbańskiego czy „Patrz na ciebie, Marysiu” Łukasza Barczyka. Są to godzinne, skromne filmy te-

lewizyjne, które ciekawie mówią o naszej rzeczywistości i są o parę klas lepsze od tego, co widzimy na ekranach kin.

A czy widzi pan teksty ze skarbicy literatury narodowej, które warto by jeszcze sfilmować?

Na pewno chętnie zrobiłbym film na podstawie wielkiej książki Kazimierza Brandysa „Wariacje pocztowe”. Także od zaraz mógłbym zekranizować „Miazgę” Andrzejewskiego. Paweł Huelle kończy pisać powieść i będę pierwszym, który rozważy, czy zrobić z tego film.

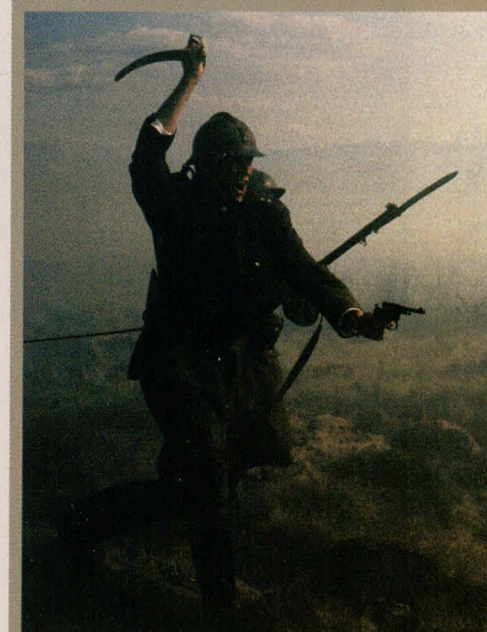
Symbolika i forma pana filmu jest dla mnie nazbyt plakatuowa, komiksowa. Czy to cena za komunikatywność i chęć dotarcia do widzów młodych, czy też zagranicznych?

To, co pan powiedział, traktuję jako komplement. Zawsze uznawałem byłem za reżysera trudnego. Starałem się zrobić ten film przy użyciu języka, który znam. Jeżeli ma to być język komiksu, to się nie obrażam, choć sekwencja w Nawłóci z pewnością taka nie jest. Również końcówka filmu jest inna. Z przykrością muszę powiedzieć, że film mnie bardzo zawiódł. Czy pan jest z niego zadowolony?

Mnie się film bardzo podoba.

Rozmawiał
TOMASZ PRZYBYŁKIEWICZ

● SŁABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● WYBITNE ●●●●● ZNAKOMITE



PRZEDWIOŚNIE. Wreszcie – pierwszy raz po II wojnie – kino polskie zdecydowało się na ekranizację „Przedwiośnia”. Ciężar historii Cezarego Baryki wziął na swoje barki Filip Bajon – twórca filmów inteligentnych. Tym razem jednak zamiar się nie powiódł – otrzymaliśmy męczącą piłę (dwie i pół godziny projekcji – bez uzasadnienia aż tak długiego metrażu), nudniejszą od najbardziej beznadziejnej lektury szkolnej. Historia młodego Baryki – w wykonaniu kreowanego na ekranowego

idola, słabutkiego aktorsko Mateusza Damięckiego – opowiedziana zostaje poprzez sekwencje jego pobytu w Baku (akcent na drugą sylabę) i Rosji, u kolegi Hipolita w majątku Nawłóć i wreszcie w kipiącej od politycznego napięcia Warszawie. Wszystkie te epizody opowiedziane są nieudolnie i w każdym z nich istnieją fundamentalne błędy. Nie oszczędzono nam nawet plastycznej realizacji koncepcji szklanych domów. W Baku Bajon epatuje orientalistką i egzotyką, co podkreśla irytująca muzyka Michała Lorenca à la „Operacja Samum”. Nawłóć to nawiązanie do własnego „Magnata”, ze skłonnością do niezamierzonej parodii. Warszawa to chromo zarysowane polityczne tło i retoryczne tyrady Szymona Gajowca (posagowy Daniel Olbrychski). Bajon stara się o wystylizowanie swojego filmu na dzieła Wajdy z jego najlepszego okresu (jest nawet chochoł!) – i tym większy pojawia się zgrzyt między zamiarami a efektem końcowym. Gdzieś podziła się gryząca ironia powieści Żeromskiego, dramaty – tak obyczajowe, jak światopoglądowe: bohaterowie przypominają woskowe figury, między którymi nie zachodzi żadne iskrzenie. „Przedwiośnie” okazało się letnie jak zupa w barze mlecznym. Dobra ekranizacja słabej powieści cieszy, a kiepska ekranizacja powieści dobrej – bardzo smuci.

Ale, ale... w kasie pan o powierzchowności zaferowanego pedagoga poprosił o 60 biletów. Zatem Filip Bajon rozpoczął swoim filmem tegoroczny sezon kina lektur szkolnych.

JACEK ZIEMEK

reż. Filip Bajon, Polska 2000

Najświeższa śmietanka filmowa

Trzęsą murami sal projekcyjnych decybele w dolby, od mięśniackiego „Rambo” do partackiego „Reichu”. Bodaj jednak o stanie bieżącym mniej świadczą owe zabawki norymberskie dla małych psujów, chętnych wszystko rozwałczyć, a bardziej pyszności smakowane w salonach artystycznych: „Wszystko o mojej matce”, „Tańcząc w ciemnościach”, „Spragnieni miłości”. Gdy dodać cwaniacką ciuciubabkę w pasiach na temat piękności życia, czyli wygłupy Roberta Benigniego, zyskamy komplet najbardziej ostatnio smakowany przez Akademię Filmową i Wysokie Jury. Wszystko to są melodramaty z różnymi porcjami komedii, ze wspólną cechą przekładania znanych kłódek i dużym wzięciem także u publiczności, wszędzie, gdzie stoi jakiś projektor. Mocno poruszają uczucia, ale ślizgają się po prostych szynach, a prowokacyjność ich układów tematycznych jest zdecydowanie naskórkowa. Źródło sukcesów tej śmietanki najlepiej chyba widać w „Spragnionych miłości” Wonga

z Hongkongu. Fabularnie mamy tu odpowiednik kina sprzed ponad pół wieku: to historia miłosna podobnego pokroju, co w „Spotkaniu” Leana (1945) czy „14 lipca” Claira (1932), zapięta pod szyję (bohaterka paraduje wyłącznie w kilkunastu bliźniaczym kroju sukienkach) i nie zmuszająca widza do walki sumienia. Słów też pada mało. Wszystko mieści się w sposobie opowiadania.

Jak w każdym z owej korony filmów, ujmujący jest klimat muzyczny; w chińskim przypadku kołyszą nas ciepłe tony latynoskie. Nade wszystko jednak chodzi o finezję snucia obrazów. Wong i jego operator, Christopher Doyle, robią to z lekkością godną Mozarta. Przez krytykę brytyjską zostali uznani za największych innowatorów ostatniej dekady. Nieskomplikowaniem intelektualnym wraca dziś kino do fabuły Chaplina, ale na pewno umie wciąż coraz bardziej cieszyć oko. Czy to znak naszego czasu, czy odzew pierwotnej natury X Muzy?

ADAM GARBICZ

W Bielsku i okolicach od kilku lat działa zespół Akurat, który powoli, lecz konsekwentnie zdobywa pozycję na scenie muzycznej. Niedawno ukazała się jego płyta. Na pytania nie tylko w tej sprawie odpowiada lider zespołu, Piotr Wróbel.

AKURAT teraz „Pomarańcza”

Ile macie lat, pytam o średnią wieku, bo na zdjęciu wyglądacie młodo.

Najmłodszy ma 21 lat, a najstarszy chyba jeszcze 26.

Jak wam się udaje utrzymać sześciuosobową kapelę razem?

Właściwie ciągle się docieramy. Gramy już długo i trzymamy się razem – co postrzegamy z jednej strony w kategoriach cudu, a z drugiej – naszego uporu, desperacji, można by powiedzieć. Trudności, jakie się pojawiały, udawało się pokonać. Jakoś sobie radziliśmy, nawet kiedy wokalista Tomek Kłaptocz dojeżdżał z Tarnowa.

Do Bielska?

Próby robiliśmy w weekendy, nie zmienia to faktu, że miał ponad sto kilometrów.

Jaki jest wasz rodowód muzyczny?

Jesteśmy samoukami. Poza saksofonistą Przemkiem Zwiasek, który ma pierwszy stopień szkoły muzycznej, i Tomkiem, który przez pewien czas studiował wychowanie muzyczne. Ale właściwie uczyliśmy się sami, jeśli chodzi o perkusję, gitary i resztę.

„Pomarańcza” jest debiutem płytowym, co działo się wcześniej?

Najpierw graliśmy lokalnie. Kiedy udało nam się wygrać jakiś

bielski przegląd, a później zająć drugie miejsce na przeglądzie w Andrychowie, nasze perspektywy się rozszerzyły. Ludziom podobało się to, co robimy, więc graliśmy jeszcze więcej. Na przykład: zagraliśmy raz w Czeskim Cieszynie i to spowodowało, że Czesi zaczęli zapraszać nas częściej. Wystąpiliśmy także na Przystanku Woodstock. Za pierwszym razem pomógł nam klub Gaja – udało się, więc za rok mogliśmy powtórzyć występ.

Co to za klub?

Jest to organizacja ekologiczna z Bielska.

Jesteście proekologiczni i „zieloni” jak na zdjęciu w bluszczu?

Myszę, że tak. Współpracujemy z klubem Gaja bardziej pod kątem artystycznym, jako zespół, bo klub organizuje często koncerty.

Czy mógłbyś określić inspiracje muzyczne zespołu?

Właściwie jest tak, że każdy z sześciu facetów tworzących Akurat słucha dokładnie czegoś innego, nawet skrajnych rzeczy: od hard core, przez reggae, do piosenki aktorskiej. Każdy z nas ma zupełnie inne upodobania i to daje miksturkę, jaką mamy na płycie.

Ciekawą i dosyć charakterystyczną – tak mi się wydaje.

Nam też się tak wydaje.

Jaki jest wpływ Podbeskidzia na waszą muzykę?

Jeśli chodzi o muzykę, to takiego wpływu nie ma. Fala folku nas ominęła, natomiast spory wpływ ma klimat Bielska, które odbierane jest jako miasto żyjące inaczej, bardziej zielone, pozytywnie. Wydaje mi się, że może być to czynnik, który jakoś

nas cementuje. Muzyka też jest lekka.

Jak powstaje?

Pytasz o kompozycje? Powstają wspólnie na próbach.

A kto pisze teksty?

Głównie ja. Na płycie 11 kawałków jest mojego autorstwa. Wokalista Tomek napisał jeden tekst i gitarzysta Wojtek – dwa. Mamy jeden wiersz Kazimierza Wierzyńskiego „Nuta o ptakach”, a jeden tekst napisała koleżanka naszego wokalisty, Tomka.

Co znaczy hasło, że gracie poezję ska-kaną?

Mamy dobre teksty i przy naszej muzyce można się doskonale bawić – ludzie przy niej skaczą – nie ma co ukrywać. Jest to też czytelne nawiązanie do ska, które często pojawia się w naszej muzyce.

Akurat teraz zespół Akurat wydał płytę. Dlaczego Akurat?

Niektórzy mówią, że gramy akuracie, czyli dokładnie tak, jak powinniśmy grać.

LAZARUS

GYMESIK DLA MELOMANA



TANGO Z DUSZĄ. Kiedy Astor Piazzola przyjechał do Paryża, ze wstydem przyznawał, że jako chłopiec grał na bandoneonie. Instrument kojarzony z taniem nie pasował do nagrody, jaką zdobył w konkursie dla młodych kompozytorów. A jednak nie czuł się dobrze w utworach fortepianowych pełnych odniesień do Strawińskiego czy Bartoka i z ulgą przyjął propozycję Nadii BOLLANGER, by powrócić do bandoneonu. Wkrótce przemienił tango z tańca towarzyskiego w dramatyczną i piękną muzykę, w której,

mimo klasycznych elementów stylu europejskiego, zawsze słychać argentyńskie korzenie. „To więcej niż nuty. To rodzaj wolności, pasji, ekstazy” – mówią autorzy pierwszej anglojęzycznej biografii kompozytora, wydanej w 2000 r., do której przedmowę napisał Yo Yo Ma. Ten chiński wiolonczelista równie dobrze interpretuje Bacha, jak wyczuwa charakterystyczny rytm tanga. Utwory na płycie „Soul of the tango. The music of Astor Piazzolla”, wzbogacone głębokim brzmieniem wiolonczeli, są niespokojne, nerwowe, ale i zmysłowe. Choć Yo Yo Ma i kompozytor nigdy się nie spotkali, tutaj grają razem. „Tango Remembrances” powstało z połączenia nagrania Piazzoli solo z 1987 r. z partią na wiolonczelę napisaną już pięć lat po jego śmierci, przez Jorge Calandrellego. Yo Yo Ma uznał, że po tym eksperymencie naprawdę rozumie tę muzykę. Rzeczywiście, słuchając tego tanga, trudno mieć pewność, kto kogo nawołuje do swojego świata.

MAŁGORZATA KUCAB



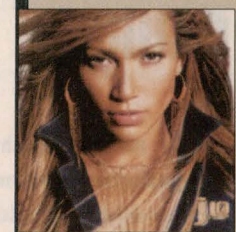
B. B. KING & ERIC CLAPTON. „Riding with the king”. Kiedy dwóch muzyków tej klasy współpracuje ze sobą, nie może być inaczej – rewelacja. To jeden z najlepszych albumów bluesowych ostatnich lat. Mało która płyta tak bardzo wciąga podczas słuchania. Nie potrzebuje rekomendacji – po prostu trzeba ją mieć. (MG)

Reprise Records/Warner



PAUL WERTICO TRIO. Przyzwoita płyta z pogranicza jazzu i rocka. „Don't be scared anymore” to album, na którym trzech muzyków udowadnia sobie i słuchaczom, że potrafią komponować, grać, a przede wszystkim zaintrygować słuchającego i go nie zanudzić. A nuda i samozadowolenie wśród muzyków jazzowych są nagminne. (RZ)

Premonition/Multikulti



JENNIFER LOPEZ. Wymiary ma prawie idealne 80/60/90, toteż w 1999 r. trafiła na listę 50 najpiękniejszych ludzi świata, opracowaną przez amerykański magazyn „People”. Zadebiutowała w „Co z oczu, to i z serca”, w minionym roku zagrała w filmie „Cela”. Ubiera się w obcisłe jeansy i odsłaniające biust koszule. Nosi najmłodniejsze policyjne okulary z pomarańczowymi szklami. Jej logo stworzone jest z setek maleńkich brylantków układających się w inicjały „J. Lo”. Wszystko, co robi, robi dla swoich fanów, „ponieważ ich kocha na zawsze”. Podczas przerw w tym kochaniu także śpiewa. Gdyby choć jedna polska diwa zabrzmiała tak jak ona. Niestety, polska śpiewająca młodzież potępia imperializm. Imperializm ją też. (PU)

Sony Music

akurat pomarańcza



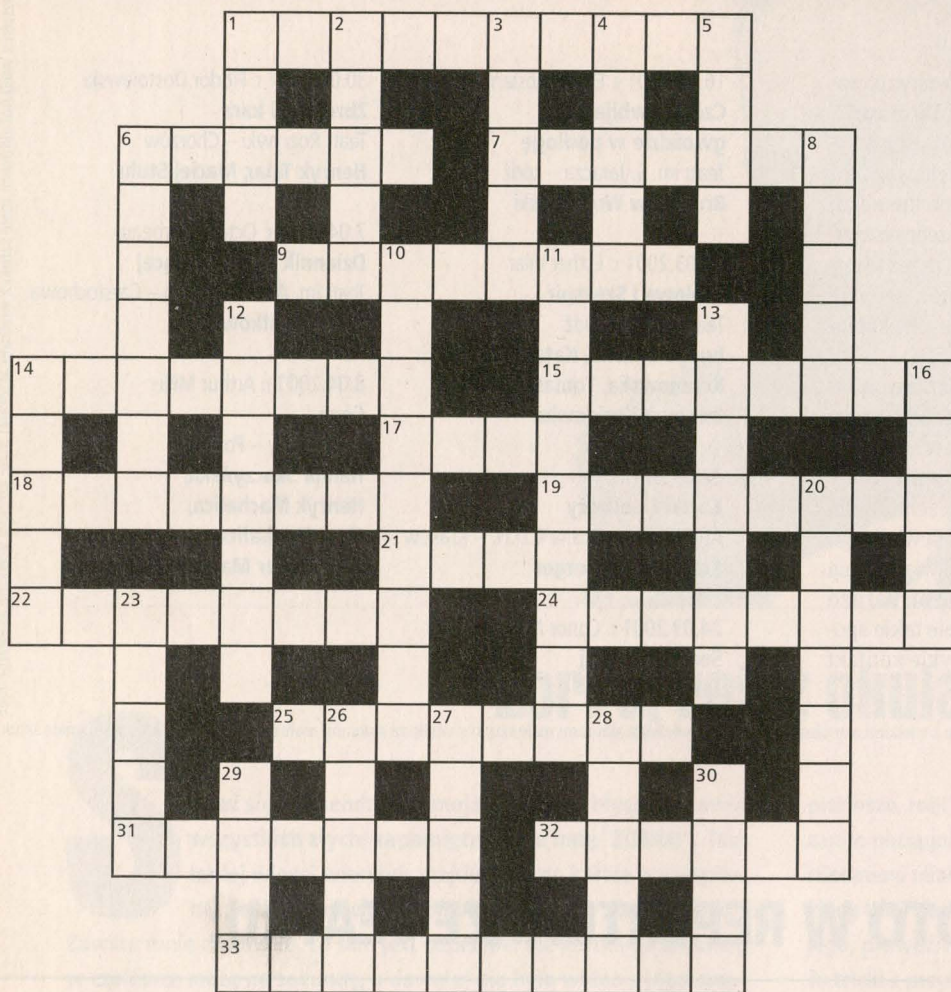
Scena FM/Universal

AKURAT. Płytę „Pomarańcza” polecić można nie tylko młodym słuchaczom. Choć zawiera olbrzymią dawkę energetycznej muzyki w szybkim rytmie ska, co powoduje, że trudno ustać w miejscu, nie powinna nikomu zaszkodzić, nawet nieruchliwym melomanom, którzy satysfakcję znajdują w słowach – poetycko przednie, oparte na wyrafinowanym surrealistycznie-dowcipnym guście – aż trudno czasem uwierzyć. Aranżacje głównie na instrumenty dęte (trąbka, saksofon, flet) oraz gitary – szybkie i cięte riffy. Płyta radosna i pogodna jak dojrzała w słońcu pomarańcza – słodka i kwaśna. (TSE)

78



KRZYŻÓWKA nr 10



POZIOMO:

1. utrwalone wspomnienie
6. węgielny
7. skusił Fausta
9. wieńczy flaszke
14. modeluje krój bluzki
15. zielony na wielkanocny stół
17. odpłaca mu się Pan Bóg
18. udaje marmur
19. czapka z daszkiem
21. do roznoszenia
22. siostry miłosierdzia
24. poczucie piękna
25. urodą nie grzeszy
31. mów mi wuju
32. pieniądze marzenie każdego
33. lęk przed otwartą przestrzenią

PIONOWO:

1. niesie
2. sceniczna drżączka
3. armia = zbrojne narodu
4. szczeka w „P”
5. niechęć
6. najważniejsze kreteńskie miasto odkopane przez Evansa
8. Julian Konstanty od reputy
10. taniec smoczego grodu
11. dla nosa
12. folklorystyczna wianienka
13. atrybut piłkarskiego sędziego
14. czarny mieszkaniec RPA
16. na gorącym blaszanym dachu
20. tytułowy bohater dramatu Krasińskiego
23. malarski napitek
26. metal z gorączką
27. awaga wspak
28. nie klap nim, boś nie ptak
29. z uchem nie dla wielbłąda
30. z niecodzienną wieżą

• Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 18 marca (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć nagród-niespodzianek ufundowanych przez redakcję „Przekroju”. Nasz adres: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka 10”.

Rozwiązanie krzyżówki nr 8

P	A	P	A	C	H	A	S	K	L	E	P	I	K
O	R	I					I	I	L				
T	R	Z	N	A	D	L	E	D	Z	I	E	J	E
Y	E	Ł					N	O	C	M			
C	Y	K	L	O	N		I	N	K	L	U	Z	J
Z	A						E	G	A		Ę	T	
K	Z	N	A	K	O	M	I	T	O	Ś	Ć	I	
A		U	T	A		A	L	S					
	N	A	M	I	A	R	O	R	B	I	T	A	
K		E	R	P	Y	W		S					
A	P	R	Z	Y	T	O	M	N	I	A	K	I	
M	A		N	M	K		O	E					
P	A	N	O	R	A	M	A	A	M	O	R	E	K
I	T	Z		D	U	O	I						
N	I	E	M	E	N		K	U	S	Z	E	N	I
O	O	K		I		Y	K	R					
S	E	N	S	A	T		O	K	T	A	W	A	

• Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 7 – pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez URODĘ SA wylosowali: Ewa Flizbieta Ślósarczyk, Wrocław; Wiesława Młynarska, Żelów; Barbara Lenkiewicz, Olsztyn; Zbigniew Kamieński, Debrzno; Anita Kaczowska, Warszawa. **Gratulujemy!**



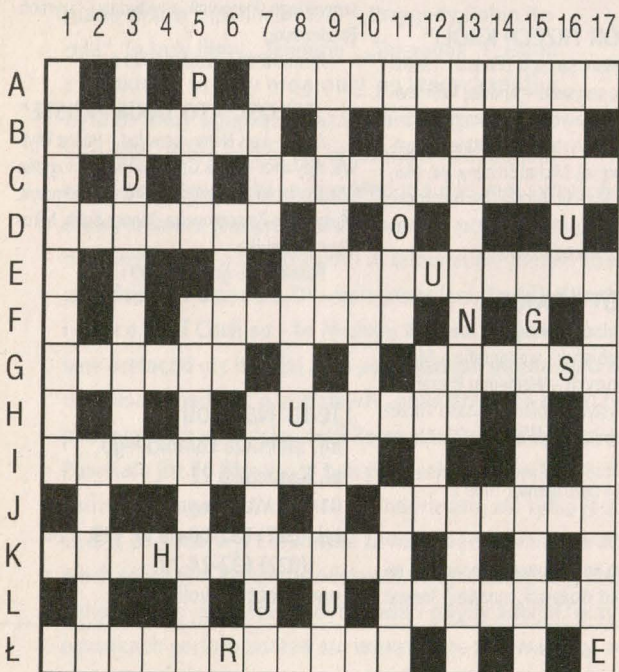
– 6. Pionowo: „Często wchodzi pod pantofel”. Trzy litery, pierwsza „m”.

JOLKA nr 10



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

H5 – B3 – G8 – K6 – F1 – E17 / L14 / B2 – D13 – I4 / J2 / E16 – J15 – I9 – B11 – K1 / G17 / F9 – B13 – H11 – A8 – L1 – D3 – C14 – G14.



Wyrazy 11-literowe:

- noc w elektronicznych drgawkach
- kawiarniany tenor • zdaje, choć nie uczęszcza • zamiast pisać, wybiera i składa

Wyrazy 10-literowe:

- chrześcijanin-wyspiarz • buta koguta

Wyrazy 9-literowe:

- źródółko ciepła • obserwowany z bocianiego gniazda • pompka lub rowerek • Jak dwa jabłka na ... (pisał Stachura)

Wyrazy 8-literowe:

- drożdż, który z tyłu ma tego, co na przodku • na nim grzech

Wyrazy 7-literowe:

- człowiek po przejściu • słodka tafałka • leżą w radzieckim filmie •

jeszcze nie głupawka • jeden z filmowych Ketlingów • poecie się wydaje

Wyrazy 6-literowe:

- „klębek”, który się ciska • zimą na baronowej • tyce centymetrów zazdrości • żądło wielorybnika • Wszak wiesz, że Święte nie ma innych szańców, / Prócz naszych ... i mieczy • wyżyny sztuki

Wyrazy 5-literowe:

- ... Muminka i morze • figura na finał • bywalec osłej ławki • turyńskie płótno

Wyrazy 4-literowe:

- belka Małyszka • rywal zechycka • stowy nie pożycz • tam, gdzie ryby śpiewają w Ukajali • olimpijski zabijaka • wycieka z tankowca

• Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie „Jolki” do niedzieli 18 marca (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć upominków-niespodzianek ufundowanych przez „Przekroju”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Jolka 10”.

Rozwiązanie Jolki nr 8: OBREĆC NIEBIOS W PĘD SZALONY ZŁE PUŚCIŁY MAŁPISZONY (z „Balu w Operze” Tuwima).

• Rzędami: suwerenność, tarło, mrówki, Dolina Issy, krab, łucznik, chwalięta, ażur, neon, siodlarstwo, łotrzyk, erka, głupstewko, Wolarz, sigma, Afrykańczyk.

• Kolumnami: szmelf, slugus, wartburg, ekwipaż, ludziska, eliksir, sknera, nuda, Obłęgorek, Rowy, ćwikła, nadawca, Thatcher, ospalec, Rosynant, omyłka, obrzęk.

• Za poprawne rozwiązanie JOLKI nr 7 – pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali: Tadeusz Izbiński, Warszawa; Maria Wach, Wolsztyn; Anna Mączyńska, Płock; Grażyna Mrozowicka, Sopot; Teresa Dziudziel, Oświęcim. **Gratulujemy!**

ul. Wielopole 3
Kraków **RadTur**
tel. 423-16-76 421-80-22

bilety lotnicze
wczasy - cały świat
bilety autokarowe

KRAKÓW
ul. Sławkowska 12,
tel. 012/422 20 33,
ul. Długa 9
tel. 012/421 21 25
TARNÓW
ul. Pułaskiego 7
tel. 014/626 08 88

JORDAN

TWOJE BIURO PODRÓŻY

intercars
INTERNATIONAL FRANCE SP. Z O.O.

EUROPEJSKIE LINIE AUTOKAROWE

KRAKÓW, ul. PIJARSKA 21
Tel.: (0-12) 422 73 48, 423 20 61
e-mail: krakow@intercars.pl
WARSZAWA, ul. ŻURAWIA 20
Tel.: (0-22) 625 53 54
e-mail: warszawa@intercars.pl
www.intercars.pl

EUROPALM
BIURO TURYSTYCZNO - PRZEWÓZOWE
Kraków, ul. Sienna 14 tel. 421 97 47 tel/fax 421 97 19
WZASY I WYCIECZKI ZAGRANICZNE WYNAJEM AUTOKARÓW

Ten numer „P” gości w:

radio TAK 98,0 i 106,5 FM
Biuro Reklamy
25-363 Kielce,
Wesola 47/49,
tel. (041) 362 09 51

98.10 FM Radio MAKS Tarnów
Biuro reklam Radio MAKS tel./fax (014) 621-29-29

TWOJE RADIO
WAŁBRZYCH 91,8 FM

radio Merkur 91.1 FM
POZNAN 91.9 FM
100.9 FM
102.7 FM
103.6 FM
Reklama: tel. (0-61) 865-83-73

RADIO KRAKÓW
Małopolska

Kraków: 101,6 FM
Tarnów: 101,0 FM
Nowy Sącz: 90,0 FM
Zakopane: 100,0 FM
Krynica: 102,1 FM
Rabka: 87,6 FM
Sucha Beskidzka: 87,6 FM
Święto: www.radio-krakow.pl

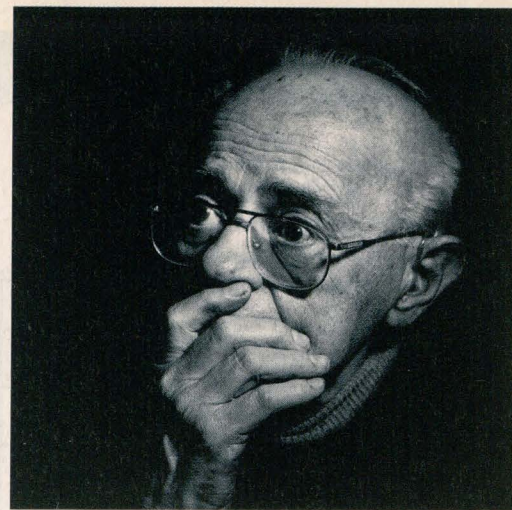
RADIO ECHO 93,80 FM

ul. Wałowa 6
33-300 Nowy Sącz
tel. (0-18) 443-73-21

RADIO PARADA 96.00 FM

TWOJE RADIO
JOWISZ 106,2 FM

Co Pan na to, Panie LEM!



FOT. BOGDAN KRZEL

Sterując swoją ewolucją, człowiek nie będzie konkurował wzrostem z żyrafą, lecz przybliży się do ziemi. Wyposażony zostanie w przystawki domózgowe, potęgujące sprawność i inteligencję ogólną.

Pragnę złożyć oświadczenie w miejsce przysięgi. To, co napiszę poniżej, nie jest w najmniejszej mierze płodem mojej fantazji. Stanowi natomiast prezentację prognostycznych poglądów, które zostały omówione w poważnym, naukowym periodyku amerykańskim „SCIENCE”.

O mawiając przyszłą budowę oraz szczegółowe ukształtowanie człowieka w głębi naszego stulecia, autor prezentuje następujący pogląd. Człowiek współczesny nieprzypadkowo mierzy od stu sześćdziesięciu do dwustu dziesięciu centymetrów. Jest tak dlatego, ponieważ – spędzając znaczną część życia na dwóch nogach w postawie wyprostnej – narażony jest na urazy czaszki bardziej od wszystkich czworonogów.

Z przyczyn oczywistych, im niższy osobnik naszego gatunku, tym mniejsze ryzyko wystąpienia przykrych konsekwencji upadku. Ze względu na to, sterując swoją dalszą ewolucją, człowiek nie będzie konkurował wzrostem z żyrafą, lecz przeciwnie, będzie się starał jak najbardziej przybliżyć do ziemi. Aby dodatkowo obniżyć środek ciężkości ciała, co spowoduje zwiększenie stateczności, mięśnie glutealne oraz poruszające udami spotęgnieją. Równocześnie człowiek nie będzie mógł zginać nóg w stawach kolanowych, tak jak obecnie, lecz prze-

ciwnie, kolana będą się składać do tyłu, jak o tym zresztą napisałem w mojej „WIZJI LOKALNEJ”. Ogólną stateczność ma zapewnić z lekka kabłąkowaty grzbiet, tchawica zaś wraz z nagłośnią zostaną tak obniżone w klatce piersiowej, ażeby nowemu człowiekowi było trudniej się udławić.

Prognozie towarzyszy anatomicznie ilustrująca ją rycina, na której widać owego człowieka przyszłości o muskularnie potężnej dupie. Autor zaznacza wprawdzie, że obniżenie tchawicy razem z krtanią pogorszy nasze możliwości werbalnego kontaktu, ale jakoś przechodzi nad tym do porządku. Dlatego dodam mój własny komentarz, że gadatliwość jest przywarą napiętnowaną w znanym porzekadzie „mowa jest srebrem, a milczenie złotem”.

Autor owej przyszłej anatomii człowieka nie zajmuje się spotęgowaniem jego sprawności umysłowej, w czym wyręcza go jednak inny uczony. Jego koncepcja jest nowa i radykalna technicznie. Gacie przyszłego człowieka będą posiadać wkład elektroniczny, sterujący termostatem dla właściwego utrzymywania cielesnej ciepłoty. Prądu będzie dostarczać temu człowiekowi dwucłonowy agregat, znajdujący się w obu obcasach jego bucików. Poruszając się, niby tłoki w cylindrach, obcasy będą w czasie chodu napędzać miniaturowe

zespoły elektrodajne, służące gaciom. Z kolei od gaci iść będzie przewód do okularów na nosie, a bodaj jedno szkło tych okularów będzie telewizyjnym monitorem. Możliwe stanie się również polepszenie słuchu dzięki odpowiednim wtyczkom dousznym. Najlepszym dodatkiem stać się mają przystawki domózgowe, potęgujące pamięć, sprawność obliczeniową oraz, przypuszczam, że także inteligencję ogólną. Autor przepowiedni lokalizację owych przystawek pozostawia jednak otwartą, jako adresowaną do przyszłych psychoinżynierów.

Obie prognozy nie wywołały u mnie bynajmniej entuzjazmu. Przytaczam je, ponieważ dobrze jest wiedzieć, co nam futurologowie z uniwersyteckimi dyplomami szykują. Człowiek przyszłości z nazwanej, wielobarwnej ryciny w tygodniku „SCIENCE” przypomniał mi trochę przygarbioną małpę krótkonogą o szczególnie silnym zadzie, gwarantującym dobrą stateczność. Być może znajdują się amatorzy takiego fizjoanatomicznego rozwiązania modelu homo sapiens, ja jednak do nich nie należę.

Oczywiście, przytoczone koncepcje dają do zrozumienia, że tak wzmocniony, ustateczniony, udoskonalony człowiek będzie się znajdował w nieustającej łączności z Internetem czy raczej z taką przyszłościową siecią łączności światowej, którą Internet zastąpi. Przypuszczam, że domyślne powinny być strumienie gigabajtów, które tej człeko-pochodnej małpie do obu uszu będą podszeptowały kalesonowe elektrony, lecz winienem niezwłocznie dodać, iż ten ostatni akapit mojego tekstu już nie pochodzi ze stronic amerykańskiego czasopisma. Został przeze mnie na własną rękę logicznie wydedukowany i do przedstawionego streszczenia dołączony.



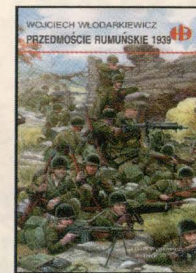
© SCIENCE

23 lutego 2001

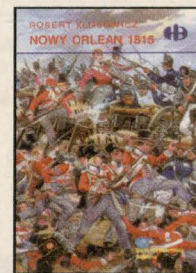
Dom Wydawniczy Bellona

proponuje:
Historyczne Bitwy

Seria prezentuje najważniejsze wydarzenia militarne świata i Polski od starożytności po czasy współczesne. Monografie bitew opracowane przez historyków na podstawie wiarygodnych dokumentów mają niekwestionowaną wartość poznawczą. Historyczne Bitwy zostały wyróżnione nagrodą KLIO jako najlepsza historyczna seria wydawnicza.



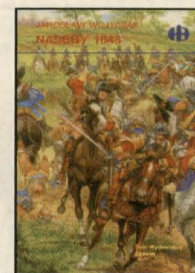
Wojciech Włodarkiewicz
PRZEDMOŚCIE
RUMUŃSKIE 1939
cena det. 18 zł



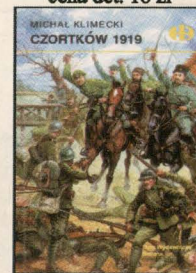
Robert Kłosowicz
NOWY ORLEAN 1815
cena det. 18 zł



Piotr Derdej
ZIELEŃCE, MIR,
DUBIENKA 1792
cena det. 18 zł



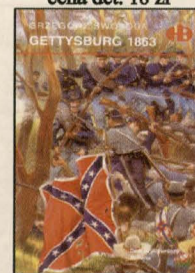
Jarosław Wojtczak
NASEBY 1645
cena det. 19 zł



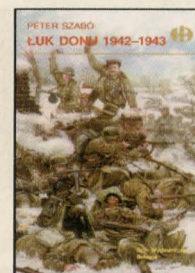
Michał Klimecki
CZORTKÓW 1919
cena det. 20 zł



Karol Olejnik
GŁOGÓW 1109
cena det. 16 zł

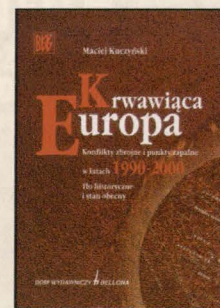


Grzegorz Swoboda
GETTYSBURG 1863
cena det. 20 zł



Peter Szabó
ŁUK DONU 1942-1943
cena det. 22 zł

Książki o tematyce historycznej



Maciej Kuczyński
KRWAWIACA EUROPA
cena det. 38 zł



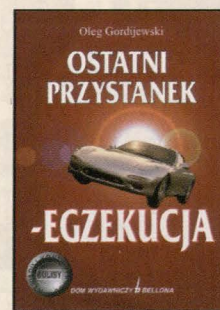
Robert B. Edgerton
ŻOŁNIERZE IMPERIUM
JAPOŃSKIEGO
cena det. 37 zł



Dennis Piskiewicz
PRZEZ ZBRODNIĘ
DO GWIAZD
cena det. 32 zł



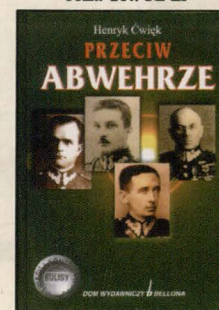
Erich von Manstein
STRACONE ŻYCIĘSTWA.
WSPOMNIENIA 1939-1944 t. 1 i 2
cena det. 49 zł (t. 1 i 2)



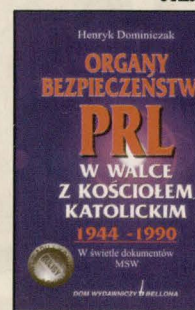
Oleg Gordijewski
OSTATNI PRZYSTANEK
-EGZEKUCJA
cena det. 36 zł



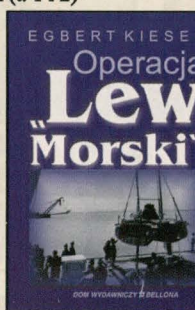
Paul Lashmar
LOTY SZPIEGOWSKIE
CZASU ZIMNEJ WOJNY
cena det. 35 zł



Henryk Cwiąg
PRZECIW
ABWEHRZE
cena det. 35 zł



Henryk Dominiczak
ORGANY BEZPIECZEŃSTWA PRL
W WALCE Z KOŚCIOŁEM
KATOLICKIM 1944-1990
cena det. 45 zł



Egbert Kieser
OPERACJA
LEW MORSKI
cena det. 33 zł

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową za zaliczeniem pocztowym z 20 % rabatem od ceny detalicznej. Zamówienia prosimy przysyłać pod adresem: Dom Wydawniczy Bellona, ul. Grzybowska 77, 00-844 Warszawa, tel. 652 27 01, 620-20-44 wew. 306, 426 (dział wysyłki), e-mail: handel@bellona.pl, infolinia 0 801 120 367. Zapraszamy do naszej księgarni internetowej <http://ksiegarnia.bellona.pl>

PROSIMY NIE POWTARZAĆ

Jeśli jesteś prawdziwym patriotą, nie ociągaj się, odejmij sobie, dzieciom i żonie od ust, i natychmiast kup przynajmniej ze trzy samochody, żeby zapobiec gwałtownie zagładającej w oczy fabrykantów aut i ich dilerów, nędzy.

O WACUSIU

- Śliczna waza - zauważyła Falczakowa podczas pewnej pierwszej wizyty.
- Kwiaty w niej muszą pięknie wyglądać...
- Ale gdzie tam, tam są popioły mego męża.
- Jakże mi przykro - jęknęła Falczakowa. - Nie wiedziałam, że pani mąż zmarł.
- Zmarł? Kto pani powiedział, że on zmarł? To nógus, ni- gdy nie chce mu się szukać popielniczki.

JEST SZANSA...

Objaśnienie zdjęcia portretowego z numeru 1 "Przełomu".
Piotr Pierzynka: 3 lata, technik elektryk, żonaty, dwójka dzieci, rodowity mieszkaniec Alwerni.
Jest szansa, że jak jeszcze trochę podrośnie, to będzie miał więcej dzieci niż ten nasz najstarszy elektryk.
(Nadesłała: E. Holeczkowa)

Feliks Nowowiejski był kompozyto- rem, autorem muzyki Doroty Konop- nickiej.

Gałęziński pisał do "Cyryla Warszawskiego".

Znam różne zwroty z mitologii greckiej np. pię- ta Achillesa, bluzka Pandory...

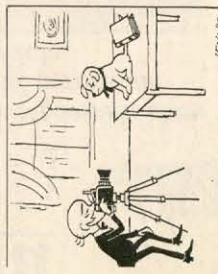
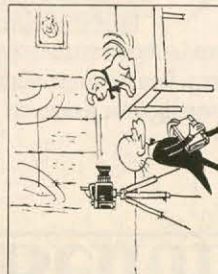
Służąc przez prawie dwa lata w wojsku, brat mój zdobył zawód piromana.

HUMOR ZESZYTÓW dostarczyli nam: J. Geldon z Olaszyna, K. Kidawa z Będzina i J. Kaptur z Tomaszowa Lubelskiego. Dziękujemy.

ZABIJ MNIE, KOSZYKÓWKO!

Dla uatrakcyjnienia zimowych ferii urządzono w Międzychodzie rozgrywki street-balla (miało być pewnie street), czyli ulicznej koszykówki. Żeby było głupiej, te uliczne rozgrywki rozgrywano w sali. Jak poinformował 5 lutego "Głos Wielkopolski":
"Głos Wielkopolski":
była Eutanazja...
I to jest właśnie ta pierwsza wygrana eutanazji w naszej ojczyźnie.
(Nadesłał: B. Falkowski)

FLUTER



Rys. Adam MACEDONSKI



- Jak wreszcie spadnie śnieg, to babci będzie lżej...

PROŚNE NADZIEJE

Z rubryki "Dam pracę" w "Supermarkcie" z 26 stycznia:

Poszukuję osoby do napisania książki...

Te osoby, co potrafią pisać książki, zostały już dawno zatrudnione przez Kapuścińskiego, Miłosza, Szymborską i paru jeszcze innych pracodawców.
(Nadesłał: J. Pyzyński)

O WACUSIU

- Dolar spada i spada - mówi Falczak - ale jeszcze nigdy nie spadł tak nisko, żeby nie można go było podnieść.

AAAAMATOR

Ogłoszenie w "Anon-sach" (nr 45) w dziale KUPIE ANTYKI:

STARE motocykle do 1045 r.

W tamtych latach, o ile nam wiadomo, motocykle produkowano wyłącznie w postaci kucy i napędzane były bezoktanowym sianem.
(Nadesłał: M. Narbutt)

O WACUSIU

- Nie chwał się nigdy, że masz złote serce - poucza Falczak. - To samo ma być jajko na twardo.

O Leninie w Poroninie

Rewelacja z numeru 4 "Dziennika Polskiego":
Włodzimierz Iljicz Lenin przebywał na Podhalu w 1913 i w 1924 roku. W 1924 roku przebywał chyba b. krótko, bo pod koniec stycznia owego

ŻONA MAŁA

Pojął ktoś żonę, a że dosyć małą, Siła go ludzi o to strofowało. Ten odpowiedział: "Panowie, ze złego Trzeba obierać, co jest najmniejszego".
(Jan Gawiński, 1622-1684)

roku powiększył grono czerwonych amolków.
(Nadesłał: A. Mikulski)

ŚMIESZNOTY

Polska służba zdrowia zafundowała sobie tasemca, czyli pasozyta, który ją zżera. Ten tasiemiec nazywa się kasja chorych. Kasie chorych nie wychodzi. Przypomina się kuplet Gozdawcy i Stępnia z warszawskiego Teatru Syrena. Chłopczyk miał tasiemca. Le-karz zapisał mu lekarstwo, po którym tasiemiec miał wyleźć z chłopczyka. Chłopiec tyknął, posadzone go na nocniku, rodzina ustawiła się wokoło i czekają, czekają, czekają... A tu nic:

*I jakoś nie wychodzi,
I jakoś nie wychodzi,
Gdzieś tam się coś zacięło,
Stanęło, ani rusz.
Matego wciągnę się głodzi,
Matemu się dowodzi,
A tamto nie wychodzi,
Nie wychodzi i już.*

Wystarczy, żeby tatuś i mamusia podczas ten tego, czyli w trakcie prokreacji, rozmawiali z sobą przez telefony komórkowe, a istnieje duże prawdopodobieństwo, że dziecina zostanie poczęta z telefonem komórkowym przy uchu. Jak tylko rozwinie się jej pierwszy paluszek, to ponaciska, co trzeba i zaraz zadzwoni, żeby opowiedzieć, co słycać w brzuchu. Connecting family.

Coraz więcej cudownie zapowiadających się przedsięwzięć politycznych, zamiast wymarzoną happy endem, kończy się klappy-endem.

PODSŁUCHANE W RECEPCJI
EKSKLUDYWNEGO HOTELU

- Poproszę o kopertę i papier listowy.
- Pan jest naszym gościem?
- Gościem? Jakim gościem! Ja tu płacę 500 zł za dobe!

Brat PRZEK-ROJEK